

KORPUS OCHRONY POGRANICZA



29
30

MUZEUM
Polskich
Formacji
Granicznych
im. mjr. WŁADYSŁAWA BAGINISZA

Rysunek - 12-
-31-

KORPUS OCHRONY POGRANICZA



Fot. H. Poddębski

W SZÓSTĄ ROCZNICĘ OBJĘCIA SŁUŻBY
NA GRANICACH RZECZYPOSPOLITEJ
1929 — 1930.



FOT. A. MASŁOWSKI

GEN. BRYG. JAN KRUSZEWSKI
DOWÓDCA KORPUSU OCHRONY POGRANICZA

REPRODUKCJA WZBRONIONA

ROZKAZ POŻEGNALNY B. DOWÓDCY KORPUSU

ŻOLNIERZE KORPUSU OCHRONY POGRANICZA!

Powołany dekretem Pana Prezydenta Rzeczypospolitej na inne stanowisko służbowe, opuszczam szeregi Korpusu.

Szczęśliwy jestem i dumny, że danem mi było przez półtora roku stać na Waszem czele, — na czele tych, którzy oprócz wspólnych wszystkim Żołnierzom Rzeczypospolitej obowiązków, specjalnie jeszcze zaszczytne, choć często tak wielkich wysiłków ducha i ciała wymagające, mają do spełnienia zadania.

Reprezentowanie godności i powagi Państwa w obliczu wschodnich sąsiadów; strzeżenie nienaruszalności linii granicznej, zagwarantowanie bezpieczeństwa, spokoju i ładu w pasie granicznym; krzewienie idei państwowych i zaszczepianie kultury wśród przygranicznej ludności — oto Wasze już w czasie pokoju obowiązki.

Z chwilą zaś wybuchu wojny Wy będziecie mieli obowiązek utworzyć ze stali serc Waszych i bagnetów mur nieprzebyty, za którym bracia Wasi spokojnie do zwycięskiej z wrogiem rozprawy się przygotowują.

To też okres mego życia, w którym czapkę K. O. P'u nosząc, zaszczyt miałem Waszemi pracami kierować, do najcenniejszych swych wspomnień zaliczać będę.

Poznałem Wasze wysokie obywatelskie uświadomienie, Waszą wielką w służbie ofiarność i ogrom Waszych wysiłków.

W imieniu służby składam Wam za nie podziękę.

Nie wymieniam najbardziej zasłużonych, bo bym stronice całe ich nazwiskami wypełnić musiał.

NASZE ZADANIA

Proste i jasne są obowiązki żołnierza: być wiernym obrońcą Państwa i umieć pokonać każdego, ktoby chciał zagrozić wolności, całości i potędze Ojczyzny. W czasie pokoju nauczyć się władać bronią, którą Ojczyzna w nasze ręce złożyła, by ta broń była sprawnym narzędziem Państwa a postrachem i klęską dla wroga.

Gdy ogień sięga po rodzinną zagrodę, gdy powódź zagraża osadom lub złoczyńca podnosi rękę na życie naszych bliskich i współobywateli — nie starcy i kobiety, nie tchórze i niedołęgi, nie małoduszni i samoluby spieszą na ratunek, ale najodważniejsi, najsilniejsi i najbardziej ofiarni bronią życia i dobra swojego i współziomków.

W naszym żołnierskim powołaniu to jest najpiękniejsze, że Ojczyzna, wezwawszy nas do szeregu, nas właśnie wybrała na swoich obrońców. Tak wyróżniając nas, dała nam sposobność do ubiegania się o zaszczytną nazwę żołnierza, a już od nas samych zależy dać dowód, że zadaniu temu sprostać potrafimy i wstydu mundurowi nie przyniesiemy.

Dla nas, żołnierzy Korpusu Ochrony Pogranicza, mundur żołnierski daje więcej może powodów do dumy, bo jesteśmy tymi, którzy już w czasie pokoju nietylko uczą się władać bronią i nietylko sposobią się do obrony kraju przed niebezpieczeństwem. Jesteśmy bowiem jakby czujkami naszej armji, jakby jej strażą przednią, dla Państwa zaś tymi, którzy wysunięci na najdalsze rubieże kraju mają mu zapewnić spokój i bezpieczeństwo, ład i porządek. Mamy więc już w czasie pokoju więcej zadań do spełnienia i to zadań nietylko żołnierskich, ale i obywatelskich. Gotowi do odparcia każdej napaści mamy być pionierami polskości, mamy naprawiać u naszych

wschodnich granic to, co przez półtora wieku niewoli psuł i rujnował zły sąsiad od chwili, gdy gwałtem i zdradą zagrabił nasze ziemie.

Przez sto pięćdziesiąt lat Kresy wschodnie pozostawały w niewoli rosyjskiej. Przez ten czas wróg wyteżał swe siły, by nietylko zniszczyć wszystko co nasze i polskie, by zgnębić mowę i wiarę, by zatrzeć wszelkie ślady, że te ziemie do Polski należały, ale co gorsze starał się pogrążyć mieszkańców tych ziem w ciemnocie i biedzie.

To też, gdy zwycięski Wódz, Marszałek Józef Piłsudski, ostrzem bagnetów wypędził zaborcę, po długiej niewoli ziemie te do wolnej Ojczyzny przywrócił i dał możność pokojowego rozwoju i spokojnej pracy — na Kresach właśnie najsilniej dały się odczuć zbrodnicze, długotrwałe zniszczenia i klęski niewoli.

Ludność tych ziem, ponadto zubożała wskutek spustoszeń wojennych, składająca się zresztą częściowo z obywateli narodowości niepolskiej, którzy z chwilą odrodzenia Pań-

stwa polskiego nie zdołali jeszcze zorientować się w nowej dla nich sytuacji państwowej — była dogodnym podłożem dla wrogich knozań niedawnego zaborcy.

Przez nasłanych agitatorów i bandy dywersyjne, przez wspieranie zbrodniczych elementów ta wroga akcja sprawiała, że przed objęciem przez Korpus służby na Kresach dzień w dzień zdarzały się napady, niszczenie mienia obywateli, urzędzeń państwowych i mordowanie spokojnych obywateli. Pobity w otwartej walce przeciwnik siał w ten sposób zamęt i niepokój, by osłabić zaufanie obywateli do Państwa i zatruć ich jadem przeciwpolskiej agitacji.



Były Dowódca Korpusu gen. bryg. Stanisław Tessaro



Ks. Biskup Polowy Gall w czasie objazdu pasterskiego w 9 bataljonie



Bataljony i szwadrony Korpusu potrafiły w krótkim czasie przywrócić spokój i poszanowanie prawa, zabezpieczyć granice, rozbić i wyrzucić z Kresów nasłane bandy, unieszkodliwić siewców zbrodni i niepokoju. Na tem skończyła się zwycięsko ogniowa próba pracy bojowej żołnierza K. O. P., okupiona obficie krwią i życiem pierwszych jego żołnierzy. Na tem nie skończyły się jednak nasze obowiązki żołnierskie.

Z tą chwilą bowiem zaczął się dla nas okres pracy obywatelskiej, którą powierzyło nam Państwo dodając to wielkie zadanie do naszych czysto żołnierskich obowiązków.

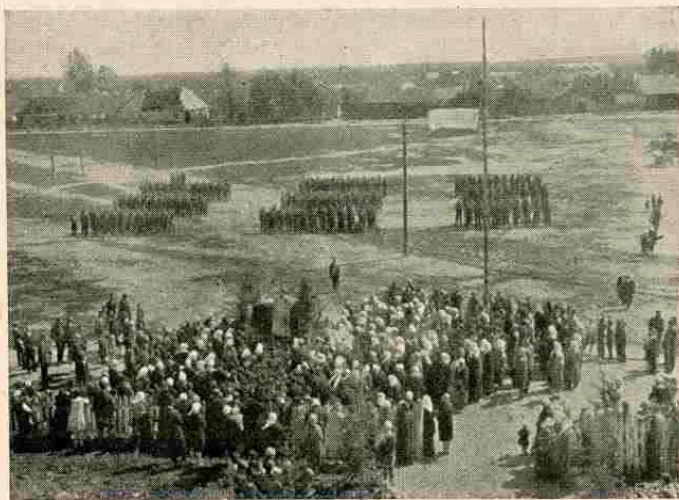
Pracę obywatelską i państwową, która stała się już tradycją Korpusu, rozpoczęliśmy i zrozumieliśmy od pierwszej chwili, zanim jeszcze mieliśmy czas wziąć broń do nogi. Pozostaje nam teraz pracę tę dalej rozwinąć i pogłębić.

Żyjąc i pracując na ziemiach wschodnich, wiemy najlepiej, że mieszkańcy tych ziem różnią się od swoich współobywateli z głębi kraju. Ta właśnie różnica jest miarą zła, jakie sprowadziła długoletnia niewola, a w ostatnich latach także wojna światowa i propaganda komunistyczna.

Naszym pierwszym obowiązkiem jest to zło naprawić, przez współdziałanie nad wychowaniem naszych kresowych współziomków na dobrych obywateli Państwa. W pracy tej musimy uświadamić mieszkańców ziem kresowych, ile złego i nieszczęść sprawili im ci, którzy przy pomocy wrogiej Państwu agitacji chcą się narzucić tej ludności jako obrońcy i opiekunowie, by zpowrotem zakuć ją w więzy nędzy i niewoli, z której tak niedawno zastała wyzwolona.

Dalszem naszym zadaniem powinno być rozwijanie wśród ludności poczucia ładu i porządku. Wróg panujący tam przez długie lata przemocą i bezprawiem, nieludzkim postępowaniem i krzewieniem wschodniej kultury i ciemnoty nie wychowywał ludności w tym kierunku.

To też przez sprawiedliwe i ludzkie postępowanie musimy wpajać ludności poczucie prawa i kultury. Ten nakaz sprawiedliwego postępowania wymaga od nas stanowczego i silnego przeciwstawienia się gwałcicielom prawa i porządku, ale zarazem każe mieć braterską dłoń w pogotowiu dla dania pomocy spokojnym i lojalnym obywatelom. Poczucie zaś ludzkości nie pozwoli nawet wobec przestępcy postępować ostrzej niż tego wymagają przepisy służby, a tembardziej każe odczuć niedolę spokojnych i uczciwych obywateli i przyjść im w miarę własnej możliwości i środków z poradą i pomocą.



Msza polowa w dniu Święta Żołnierza w Budslawiu



W dniu 3 maja w Hoszczy



Procesja Bożego Ciała i pochód w dniu 3 maja w Dziśnie

W tej pracy my żołnierze K. O. P. możliwości mamy wiele.

Nieść pomoc w razie klęsk żywiołowych, bronić przed napadem i zbrodniczą przemocą — jest naszym obowiązkiem służbowym, ale zyskać sobie serca i umysły zdołamy najlepiej przez okazywanie swej życzliwości i pomocy gdy ku temu znajdziemy sposobność, jak również przez udzielanie rad, wskazanie środków poprawy w pracy na roli, w gospodarstwie, w chacie, czy też na wsi.

Szczególnie w życiu pozasłużbowym wiele do tego znajdziemy sposobności.

Pozatem przed oddziałami K. O. P. otwiera się wdzięczne pole do stworzenia ośrodków życia społecznego i kulturalnego w naszych rejonach pracy. Dotychczasowa nasza działalność w tym kierunku, inicjatywa i rzutkość, dają pewność, że z misji tej potrafimy się wywiązać. Wokoło nas powinno się skupiać to, co polskie, co w stosunku do Państwa lojalne. W ścisłej współpracy z władzami administracyjnymi, szkolnymi i samorządowymi mogą oddziały Korpusu być zawsze źródłem inicjatywy i energii. Nasze świetlice, biblioteki, radja i kinematografy, nasze spółdzielnie, boiska sportowe, izby chorych będą, jak dotychczas tak i nadal, ważnym środkiem w tej pracy zmierzającej do podniesienia kulturalnego i umysłowego mieszkańców, do szerzenia oświaty, higieny i rozwoju społecznej dojrzałości.

W uroczystościach państwowych i narodowych, w dziedzinie pracy kulturalnej i sportowej, organizowanych przez nas znajdują szerokie rzesze obywateli możliwość krzepienia swoich państwowych i patriotycznych uczuć.

W ten sposób skupią się wokół nas coraz szersze koła mieszkańców, których długie lata niewoli upośledziły, a przemoc wschodu i bieda uczyniły wprawdzie nieufnymi i podatnymi na podszepty złe, ale czułymi na dobro i serce, gdy się z nimi spotkają.

W szeregach naszych mamy kolegów ze wszystkich ziem Polski. Powinniśmy zatem dawać Kresom wszystko to, co Polska ma najlep-

szego, czem silni jesteśmy i czem chlubić się możemy.

Przedewszystkiem więc powinniśmy szerzyć wśród obywateli Kresów znajomość życia, historii i potęgi naszego Państwa, jego przemysłu i naturalnych bogactw, jego pomników wielkiej przeszłości i rodzimej kultury. Możemy to uczynić przy pomocy wykładów i odczytów, przez inicjatywę i pomoc w organizowaniu wycieczek krajo-



Obchód 3 maja w Korcu



Święto 3 maja w Bielczakach

znawczych i obsyłaniu obozów harcerskich i przysposobienia wojskowego w kraju przez młodzież Kresów wschodnich.

A jednocześnie, szanując zwyczaje i obchody tej ludności, powinniśmy brać udział w jej uroczystościach i ceremonjach religijnych.

We wszystkich państwach ziemie pograniczne są największym skarbem dla swej ojczyzny. Są jakby groblą regulującą bezpośrednie stosunki z sąsiadami i jakby szansem obronnym państwa. O tę groblę rozbijają się w chwili burzy wrogie żywioły i najczęściej zawsze krwi obrońców wsiąka w ziemię tych wysuniętych szanów. Najwięcej poświęcenia wykazać muszą w chwili zagrożenia kraju mieszkańcy pogranicza, którzy u nas na wschodzie są ponadto strażnikami kultury i cywilizacji zachodniej. Dlatego na Kresach w ogniu wiekowym prób, walk i niebezpieczeństw, bujnie rozwijał się patriotyzm i bohaterstwo.

Krzewiąca się i rozwijająca w Państwie idea przysposobienia wojskowego tem głębiej i silniej powinna zapuścić swoje korzenie właśnie na krańcach Państwa. Warunki tej pracy dla nas, żołnierzy K. O. P. są może trudniejsze, tem większy jednak i skuteczniejszy wysiłek musimy na tem polu wykazać, by pracę tę, tak nam bliską a dla obrony Państwa ważną, mocno i trwale ugruntować.

Początkowo powinna ta praca objąć i zrzeszyć wszystkich obywatelsko uświadomionych i wiernych Państwu. Stwarzając takie zręby, damy w nich oparcie dla tych, którzy może



Procesja zdążająca na poświęcenie pomnika w Sapożynie



Pomnik postawiony ku czci żołnierza K. O. P. przez ludność Wołynia w Sapożynie

jeszcze do tej roli w swej świadomości nie dorosli, ale w miarę rezultatów naszej pracy kulturalno-państwowej będą mogli stopniowo być w nią wciągnięci. Mamy więc wielkie i ważne zadanie: stać się kierownikami i wychowawcami świadomych i silnych obrońców ziem kresowych.

To byłyby nasze zadania żołnierzy obywateli, zadania zaszczytne, które wymagają konsekwentnego wysiłku i głębokiego zrozumienia, a przede wszystkim ciągłości.

Od chwili, kiedy pierwszy żołnierz K. O. P. stanął na Kresach, dużo już w tym kierunku zdołaliśmy uczynić. Świadczą o tem liczne podziękowania ludności za ratowanie jej dobytku przed napadami i w czasie klęsk żywiołowych od kilku lat nadsyłane na ręce dowódcy Korpusu i władz administracyjnych.

Zachętą na przyszłość w naszej pracy niech będzie wzniesiony przez mieszkańców Wołynia pomnik wdzięczności dla żołnierza K. O. P. w Sapożynie. Mieszkańcy ci nie szczędzili swych skromnych składek, aby w okolicy, która może najczęściej ucierpiała od napadów z tamtej strony granicy, stanął pomnik — symbol współpracy żołnierza z ludnością. Rzucone przez naszych poprzedników podwaliny tej pracy potrafimy rozszerzyć i rozbudować w stałym żołnierskim i obywatelskim trudzie w myśl rozkazu tego, który jako wódz i budowniczy wolnej Polski, dawszy nam zwycięstwo, przestrzegł zarazem, że zwyciężyć i spocząć na laurach — to klęska.

Nie wolno nam więc spocząć w tej pracy i — nie spoczniemy!

T. M.



Wydawanie obiadu dla biednej dziewczyny w 5 baonie

ROK PRACY

Szósty rok naszej pracy u granic Rzeczypospolitej nie przyniósł nam żadnych ważniejszych wydarzeń. Był rokiem dalszego ugruntowania się i pogłębienia naszej działalności na Kresach.

W dziedzinie służby stwierdzić możemy prawie całkowite uspokojenie Kresów, co sprawdzić można na załączonej tabeli wypadków na granicy. Podane cyfry, w porównaniu z latami ubiegłymi, świadczą najlepiej o tem, czego potrafił dokonać żołnierz poparty zdecydowanym rozkazem swoich przełożonych.

Niektóre cyfry w podanym wykazie wymagają jednak omówienia, aby przez osoby nie znające stosunków na granicy nie zostały fałszywie zrozumiane. Przedewszystkiem wymaga omówienia rubryka pierwsza — osób przytrzymanych za nielegalne przejście granicy do Polski; oto gdy w r. 1928/29 mieliśmy ich 849, w 1929/30 roku mamy 2.963.

Nie są to osoby powracające do kraju, jak to było dawniej (reemigranci). Przedewszystkiem są to chłopcy z wiosek pogranicznych Rosji sowieckiej, uciekający przed kolektywizacją. Liczba ta jest stosunkowo niewielka. Pamiętać jednak należy, że władze bolszewickie strzegły swej granicy, w ostatnich miesiącach 1930 r., jak nigdy dotąd. Grodzenie granicy drutem kolczastym, zwłaszcza na Wołyniu i Podolu, a nawet burzenie nie tylko pojedynczych zagrodzisk, ale całych wiosek w pasie granicznym, było na porządku dziennym.

Pogorszenie się warunków życiowych po tamtej stronie granicy można także zaobserwować w rubryce 2., gdyż liczba usiłujących przekraść się z Polski do Rosji spadła w ciągu roku blisko o połowę.

Liczby rubryk 6, 7 i 8 wyraźnie wskazują, że zbrojne wystąpienia, nie mając widoków powodzenia, zostały zaniechane, natomiast widać dalsze wzmocnienie działalności sabotażowej i szpiegowskiej, o czym mówią rubryki: 14 i 17. Wzrastająca ilość zlikwidowanych afer szpiegowskich i w związku z tem zatrzymanych osób, świadczy, że i z tą akcją radzimy sobie skutecznie.

Ilość aktów sabotażu nie przedstawi się nam tak groźnie, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że z ogólnej liczby 51 wypadków, na odcinek brygady podolskiej przypada 24, t. j. prawie

połowa. Cały zaś odcinek brygady podolskiej leży w Małopolsce Wschodniej, która w 1930 r. była ożywionym terenem działalności żywołów antypaństwowych. Wypadki te były więc zjawiskiem ogólnym, niezwiązanym z pograniczem.

Ruch ludności za przepustkami z Litwą, Łotwą i Rumunją świadczy o coraz normalniejszych stosunkach; szczególnie ruch z Rumunją z każdym rokiem ożywia się, bo gdy w r. 1927/28 wynosił tylko: z Polski 244, do Polski 162, to w r. 1928/29 wzrasta: z Polski do 3911 osób, do Polski 3349 osób, w ostatnim zaś roku podnosi się prawie dwukrotnie.

Wszystkie te cyfry świadczą o coraz to spokojniejszych i lepszych warunkach pracy ludności kresowej, pozwalających żołnierzom Korpusu oddać się pracy społecznej, oświatowej, odbudowie Kresów, oraz udzielaniu pomocy ludności w razie klęsk żywiołowych.

Dzięki spokojniejszym warunkom służby szczególnie praca kulturalno - oświatowa przybiera coraz to szerszy zakres, uodporniając żołnierza na działanie wrogiej agitacji i wychowując go na dobrego żołnierza-obywatela.

Podane wyniki pracy kulturalno-oświatowej, osiągnięte w ciągu ostatniego roku, mówią same za siebie. Niektóre formy pracy

naszej siłą rzeczy nie ograniczają się do żołnierzy, lecz wciągają w swój zasięg także i ludność, która z chęcią korzysta z naszych urządzeń i skutecz-



Sprawdzanie służby
(w pobliżu żołnierz sowiecki)



Budowa kładki patrolowej na odcinku 9 baonu

ZESTAWIENIE STATYSTYCZNE

wypadków zaszych na terenie działania Korpusu za czas od 1 listopada 1929 r. do 31 października 1930 r.

L. p.	WYSZCZEGÓLNIENIE	Rok 1924—1925	Rok 1925—1926	Rok 1926—1927	Rok 1927—1928	Rok 1928—1929	Rok 1929 — 1930					U W A G I	
							Na ca- łem pogra- niczu	Z tego na granicy:					
								Pol- sko- sow.	Pol- sko- litew.	Pol- sko- lot.	Pol- sko- niem.		Pol- sko- rum.
1	Przytrzymano osób za nielegalne przejście granicy do Polski . . .	4.323	16.179	10.172	1.583	849	2.963	2.568	171	35	170	19	
2	Przytrzymano osób usiłujących przejść granicę z Polski . . .	1.064	1.828	1.022	676	594	370	229	38	23	78	2	
3	Przytrzymano osób za nielegalne przebywanie w pasie granicznym	nie ze- stawia- no	1.165	1.062	1.200	970	1.207	878	151	31	133	14	
4	Stwierdzono wypadków wysiedlenia przez władze ościennych państw	644	970	1.120	1.120	642	427	157	218	45	5	2	
5	Stwierdzono wypadków oddania strażaków do żołnierzy Korpusu przez posterunki państw ościennych	219	78	23	15	39	39	33	6	—	—	—	
6	Oparto ogniem próby wdarcia się przez granicę zbrojnych band	89	25	3	3	2	—	—	—	—	—	—	
7	Wytropiono band lub organizacyj bandycko-dywersyjnych w strefie działania Korpusu	51	23	10	4	5	1	—	1	—	—	—	
8	Z tego wskutek pościgu rozproszyło się względnie za granicę uciekło dywersantów	25	6	7	5	11	3	—	3	—	—	—	
9	Przekraczających nielegalnie granicę i niesłuchających wezwania trzykrotnego do zatrzymania się, wzgl. usiłujących zbiec eskortę, lub z bronią w ręku stawiających opór	40	39	34	14	30	11	4	2	—	3	2	
	zraniono	30	30	2	9	7	4	2	1	—	—	1	
	zastrzelono	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	
10	Zlikwidowano band przemytniczych	—	—	—	18	29	4	—	1	—	3	—	
11	Ujęto przemytników podczas przekraczania granicy z przemytem i podczas likwidacji band	nie zestawiano	—	—	445	398	311	3	190	20	60	38	
12	Było napadów bandyckich, rabunkowych w pasie granicznym	21	32	7	14	7	15	10	3	—	—	2	
13	Przytrzymano osób podejrzanych o udział w napadach	320	330	10	18	17	22	11	8	—	2	1	
14	Stwierdzono faktów dywersyjno-sabotażowych, wzgl. złośliwego uszkodzenia urządzeń państwowych	76	46	7	13	34	51	40	9	2	—	—	
15	Udzielono ludności miejscowej skutecznej pomocy w wypadkach klęsk żywiołowych i pożarów	—	190	116	134	157	246	192	45	5	4	—	
16	Wypadków przejścia granicy za przepustkami (w okresie robót polnych i t. p.) było:	nie zestawiano	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	
	z Polski	—	66.569	97.517	88.046	116.353	102.599	—	88.177	5.778	811	7.833	
	do Polski	—	34.289	65.343	60.656	70.852	60.242	—	49.138	5.771	660	4.673	
17	Zlikwidowano na pograniczu afer szpiegowskich	nie zestawiano	—	—	47	58	85	76	9	—	—	—	
	Przyczem ujęto szpiegów	—	—	—	117	123	301	274	27	—	—	—	
18	Zlikwidowano na pograniczu afer kryminalnych	nie zestawiano	—	—	25	8	7	4	—	—	3	—	
	Przytem zatrzymano bandytów	—	—	—	32	13	10	5	1	—	4	—	



Zabawa na strażnicy Grzybowa

nie z nami na tem polu współpracuje. Szczególnie widać to oddziaływanie kulturalne przy organizowaniu uroczystości narodowych, przedstawień kinematograficznych, przedstawień żołnierskich zespołów teatralnych, oraz w korzystaniu z bibliotek.

W naszej pracy społecznej dużą pomoc okaże nam w przyszłości utworzony w tym roku t. zw. „Fundusz społeczny żołnierzy K.O.P.” Fundusz ten, zorganizowany z inicjatywy b. dowódcy Korpusu pana generała Stanisława Tessaro, powstaje ze składek wszystkich żołnierzy Korpusu, a więc oficerów, podoficerów i szeregowców. Zadaniem funduszu jest przede wszystkim koordynacja finansowego zasilania działalności różnych stowarzyszeń społecznych, zwracających się do żołnierzy Korpusu o pomoc, dotychczas bowiem sprawa ta w różnych jednostkach Korpusu przedstawiała się rozmaicie.

Wciągnięcie do tej akcji także i szeregowców ma na celu wyrobienie w żołnierzu ofiarności na cele społeczne, żąbry i on, oddając groszową ofiarę, brał żywy udział w życiu kulturalnym zrzeczeń i był świadkiem owoców pracy, powstałej z jego drobnej finansowej pomocy.

Roczne wpływy funduszu sięgać będą zgó-
rą 40.000 zł., które pozwolą wydatnie zasilić

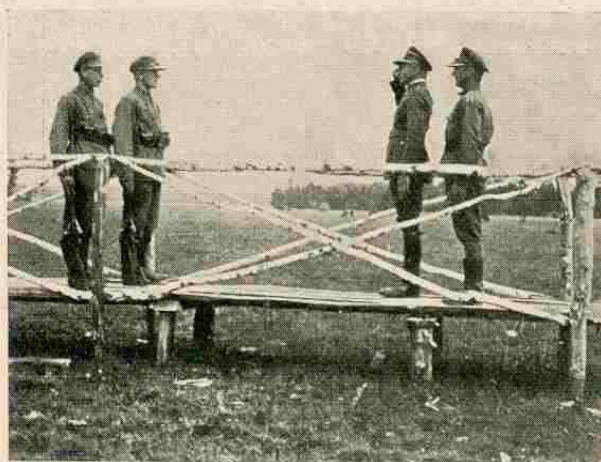
działalność stowarzyszeń, przede wszystkim tych, które mają na celu obronę kraju i rozwój kulturalny ziem kresowych.

Pogłębienie i rozszerzenie naszych prac nastąpiło przede wszystkim na polu wychowania fizycznego i sportu. W tej dziedzinie dążyliśmy do podniesienia sprawności fizycznej ogółu żołnierzy, mniej poświęcając czasu na zdobywanie rekordów. Wszystkie zawody wojskowo-sportowe, organizowane w jednostkach Korpusu, miały na celu rozbudzenie zainteresowań, ambicji i współzawodnictwa wśród żołnierzy. Skromnymi środkami budowane w każdym roku strzelnice, boiska sportowe, pływalnie i przystanie wioślarskie ułatwiały nam wyrobienie tężyzny fizycznej wśród żołnierzy.

Największą troską i opieką wszyscy dowódcy otaczali sport strzelecki, który, szczególnie w służbie granicznej, decyduje o wartości pojedynczego żołnierza. Sportowi temu poświęcaliśmy wiele czasu, osiągając lepsze wyniki, niż w latach ubiegłych, jak świadczą o tem sprawo-

zдания z zawodów strzeleckich, podane w załączonych tabelach.

Sport narciarski, dzięki swemu praktycznemu zastosowaniu w służbie, zrobił w ostatnim roku duże postępy. Obecnie niema u nas najdrobniejszych jednostek, nawet strażnic, które nie



Na kładce patrolowej

ZESTAWIENIE WYNIKÓW PRACY KULTURALNO-OŚWIATOWEJ

ZA CZAS OD I.XI 1929 r. DO 31.X 1930 r.

1929/30	1928/29	R o k		
6.113	6.869	I Stopień	Ukończyło stopnia nauuczania	w nich
11.315	11.784	II Stopień		
4.445	4.048	III Stopień		
515	510	B i b l j o t e k	Wypożyczono	zobnie- rzom cy- wilnym
61.562	55.913	Dzieł		
77.966	68.771	Tomów	Pre- nume- rowano	I L O Ś Ć
80.155	70.914	Dzieł		
85.687	80.054	Tomów	Ilość	Przedsta- wień
7.889	5.621	Dzieł		
9.588	6.854	Tomów	Ilość	Domów żołnierza
237	214	Gazet		
—	1.643	Egzemplarzy	Ilość	Ilość aparatów „Patrié Baby”
318	294	Światlic		
29/14a)	27	Kinematografów	Ilość	Ilość aparatów „Patrié Baby”
33	33	Zespołów teatralnych		
25	19	Chórów	Ilość	Ilość aparatów „Patrié Baby”
30	30	Zespołów teatralnych muzycznych		
166	109	Radjoodbiorników	Ilość	Ilość aparatów „Patrié Baby”
8.074	7.738	Wygłoszonych pogadańek		
196	172	Koncertów	Ilość	Ilość aparatów „Patrié Baby”
30	30	Spółdzielni		
48	54	Sklepów	Ilość	Ilość aparatów „Patrié Baby”
1.829	1.020	Ilość		
79.393	65.128	Przy obecności żołnierzy	Ilość	Ilość aparatów „Patrié Baby”
45.971	51.316	Przy obecności cywilnych		
289	271	Ilość	Ilość	Ilość aparatów „Patrié Baby”
30.283	18.596	Przy obecności żołnierzy		
26.604	21.507	Przy obecności wycwilnych	Ilość	Ilość aparatów „Patrié Baby”
5	4	Gotowych		
—	1	W budowie	Ilość	Ilość aparatów „Patrié Baby”
—	2	Projektowanych		

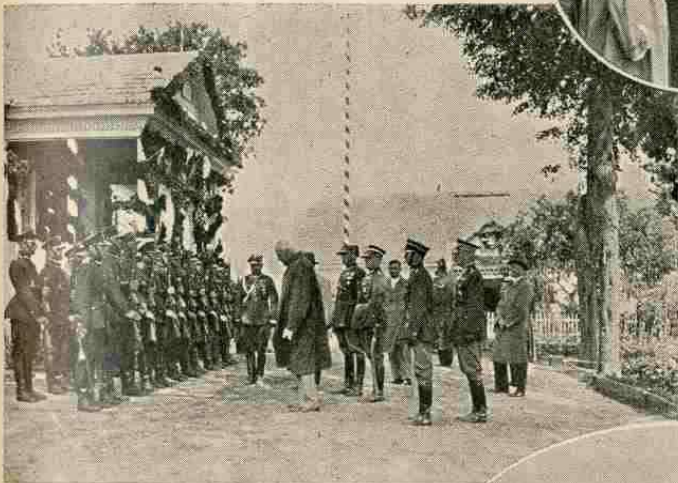
Z POBYTU PANA PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ NA ODCINKU
BRYGADY WILEŃSKIEJ.



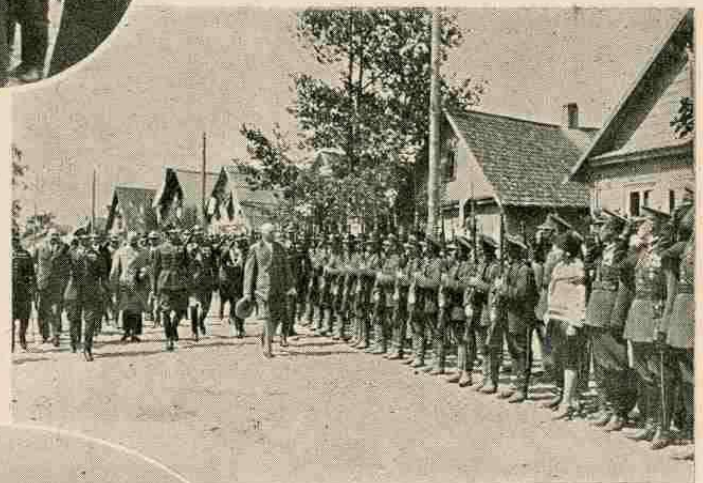
Przed frontem szwadronu honorowego
w Głębokiem



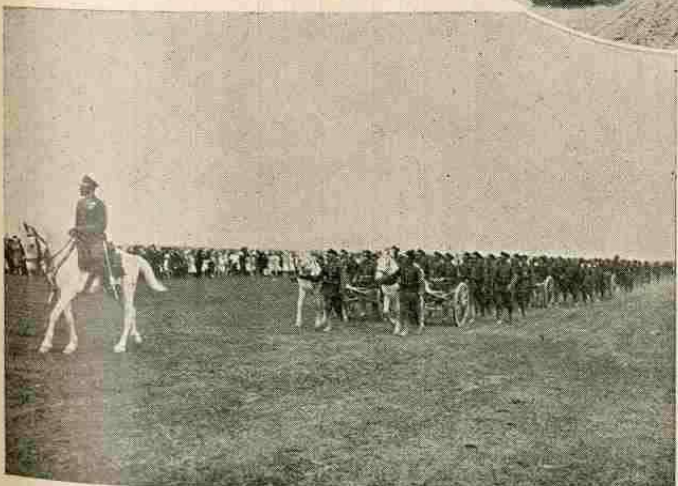
Przed frontem kompanji honorowej
w Krasnem n/Uszą



Na strażnicy Łyngmiany



Raport w Nowych Trokach



na Porubanku pod Wilnem



na drodze Głębokie—Berezwecz

posiadałyby wyszkolonych narciarzy. Ilość nart przekroczyła już cyfrę 4.000 par, lecz jest jeszcze za mała, aby mogła pokryć całkowite nasze zapotrzebowanie. Ze względów budżetowych nie możemy spodziewać się znacznej poprawy w tej dziedzinie w najbliższym czasie.

Chcąc zaznajomić ludność pogranicza z tym pięknym sportem, zorganizowaliśmy dla młodzieży kilka kursów jazdy i domowego wyrobu nart. Osiągnęliśmy bardzo dobre rezultaty.

Stosunkowo dogodne warunki nauki pływania, jakie są na Kresach w lecie, wykorzystaliśmy całkowicie. Stosując zaś zasadę, że w sporcie pływackim zajmuje pierwsze miejsce ten oddział, który posiada największy procent pływających, doszliśmy do tego, że w niektórych oddziałach, ilość pływających przekroczyła w 1930 r. 80% ogólnego stanu.

W pracy na polu wychowania fizycznego i sportu z dużą pomocą przychodziły dowódcom wojskowe kluby sportowe, których liczba doszła już do 31. Kluby te liczyły ogółem 3.290 członków, obejmując oficerów, podoficerów, szeregowców i osoby cywilne. Za interesowanie klubów sportowych jest dosyć duże, skoro liczyły one razem 140 sekcji, a mianowicie:

piłki nożnej — 24, narciarskich — 15, wioślarskich — 8, lekko-atl. — 21, strzeleckich — 9, pływackich — 8, tenisowych — 21, piłki nożnej — 9, piłki siatk. — 6, myśliwskich — 5, szermierki — 5, łyżwiarских — 4, hipicznych — 4, boksu — 2, kolarskich — 2, i łuczniczych — 1.

Ze względu na ograniczoną ilość obowiązkowych rodzajów sportu, jakie uprawia się w wojsku, działalność klubów sportowych jest duża, gdyż nie ogranicza się jedynie do przymusowych rodzajów sportu, ale sięga i w inne dziedziny sportu, w wojsku nieobowiązujące.

Jednym z najważniejszych zadań, jakie mają do spełnienia wojskowe kluby sportowe — jest współpraca ze społeczeństwem kresowym nad wyrobieniem sportowem młodzieży, propaganda sportu, oraz rozwój działalności cywilnych klubów sportowych.

Nasze prace z dziedziny przysposobienia wojskowego ograniczały się dotychczas jedynie do współpracy ze stowarzyszeniami p. w. i hufcami szkolnymi przez udzielanie im instruktorów,

sprzętu sportowego i do wyszkolenia, oraz strzelnic i boisk sportowych

Obecnie dzięki całkowitemu oddaniu przez Państwowy Urząd Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego w nasze ręce prac p. w. i w. f. w 18 powiatach i w niektórych gminach 6 powiatów nadgranicznych, będziemy mogli pracę tę należycie zorganizować i rozwinąć.

Obozy harcerskie, które były jednym z działów naszej pracy na polu p. w., i w tym roku gościły na naszych terenach w dosyć znacznej liczbie. Przedstawiony wykaz obozów obrazuje, jakie chorągwie korzystały z naszej opieki i pomocy P. U. W. F. i P. W. Działalność obozów także i w ubiegłym roku miała charakter nie tylko pracy p. w. ale przede wszystkim społeczny — tak w stosunku do żołnierzy jak i ludności cywilnej.

Nasze ośrodki pionierów prócz spełniania prac, związanych z usprawnieniem służby jednostek Korpusu i poświęconych wyszkoleniu, w dalszym ciągu oddają się na usługi ludności. I tak w ostatnim roku wybudowały mostów i kładek dla pieszych — długości przeszło 160 m, oraz usypały zupełnie nowych gro-

bli na przeszło 200 m. Na innym miejscu omawiamy prace wykonane w tej dziedzinie przez kompanje saperów z armji.

Wykaz obozów harcerskich zorganizowanych w roku 1930 na terenach Korpusu.

L. P.	Z jakiej chorągwi	Ilość obozów			Ilość obozujących			Przyznane subsydjum na wyżywienie z P. U. W. F. i P. W. i D-twa Kop.
		męskich	żeńskich	razem	harcerzy	harcerek	razem	
1	Białostocka . . .	1		1	18		18	492.03
2	Brzeska	2		2	43		43	800.—
3	Górnośląska . . .	1		1	23		23	559.—
4	Kielecka	2		2	40		40	964.—
5	Krakowska	8	3	11	161	74	235	5083.58
6	Lubelska	1		1	30		30	665.—
7	Lwowska	2		2	72		72	1184.—
8	Łódzka	2	2	4	48	68	116	2712.43
9	Mazowiecka	6		6	176		176	4883.98
10	Poznańska	5		5	145		145	2946.04
11	Śląska	4		4	110		110	1922.—
12	Warszawska	8	3	11	273	114	387	12454.05
13	Wileńska	4	1	5	102	33	135	2573.58
14	Wołyńska	4		4	124		124	3065.—
15	Zagłębiańska	1		1	16		16	415.—
Razem		51	9	60	1381	289	1670	40719.63

MUZEUM
Polskich
Formacji
Granicznych
im. mjr. WŁADYSŁAWA RAGINISZA



Składanie wieńca na cmentarzu poległych w r. 1920 w Wilejce



Ćwiczenia Strzelca w Dziśnie



Ćwiczenia narciarskie w 12 baonie

W naszych wysiłkach, tak w dziedzinie bezpieczeństwa, jak pracy kulturalnej i społecznej, doznawaliśmy dużego poparcia ze strony władz administracyjnych, samorządowych i ludności.

Z radością także podkreślamy pamięć, życzliwość i opiekę, jaką stale otacza nas Pan Prezydent Rzeczypospolitej Prof. Ignacy Mościcki, który i w tym roku zaszczylił nasze oddziały swoją obecnością. Z okazji swego pobytu na Wileńszczyźnie w czerwcu 1930 r. nie szczędził swego trudu, by zobaczyć, jak pełnimy swą służbę. W zainteresowaniu swem nie ograniczył się tylko do odwołów. Dnia 29 czerwca 1930 r. zwiedził strażnicę Łyngmiany.

W tym roku Pan Marszałek Józef Piłsudski spędził znów kilka tygodni w uzdrowisku Druksienikach, gdzie żołnierze 23 baonu mieli zaszczyt czuwać nad Jego bezpieczeństwem.

W ciągu roku przeżyliśmy także i smutną chwilę pożegnania drugiego już z rzędu Dowódcy generała bryg. Tessaro Stanisława, który dowodząc Korpusem, w krótkim stosunkowo czasie zdołał sobie zaskarbić naszą miłość i szacunek. Prócz niego opuściło nasze szeregi wielu kolegów,

którzy od pierwszej chwili powstania Korpusu brali udział w najcięższej pracy, wymagającej ofiarności i poświęcenia.

Do podniosłych chwil, jakie przeżyliśmy w ub. r., zaliczamy także i uroczystości organizowane na pograniczu i w kraju w celu uczczenia 10-ej rocznicy zakończenia zwycięskiej wojny z Rosją sowiecką.

Echa tych uroczystości, jakie dochodziły nas z kraju, były dla nas zachętą i przypomnieniem do tem gorliwszego i ofiarniejszego pełnienia obowiązków, jakie na nas włożyło Państwo. Dowody pamięci, okazywane tym, którzy życie swe poświęcili przy wytyczaniu granicy, są pamięcią i o nas, gdyż tam, gdzie obecnie pełnimy służbę, rozgrywały się przed 10 laty najkrwawsze walki. Dowodem tego są setki pobojoisk i tysiące mogił, które codziennie odwiedzamy w swej służbie. Mogiły te, to jakby słupy graniczne, gęsto rozsiane wzdłuż naszych ścieżek patrolowych, dające nam przykład poświęcenia dla Ojczyzny, a świadczące przed całym światem o naszych prawach do ziem kresowych, tak często przez naszych wrogów kwestjonowanych.

j. k.

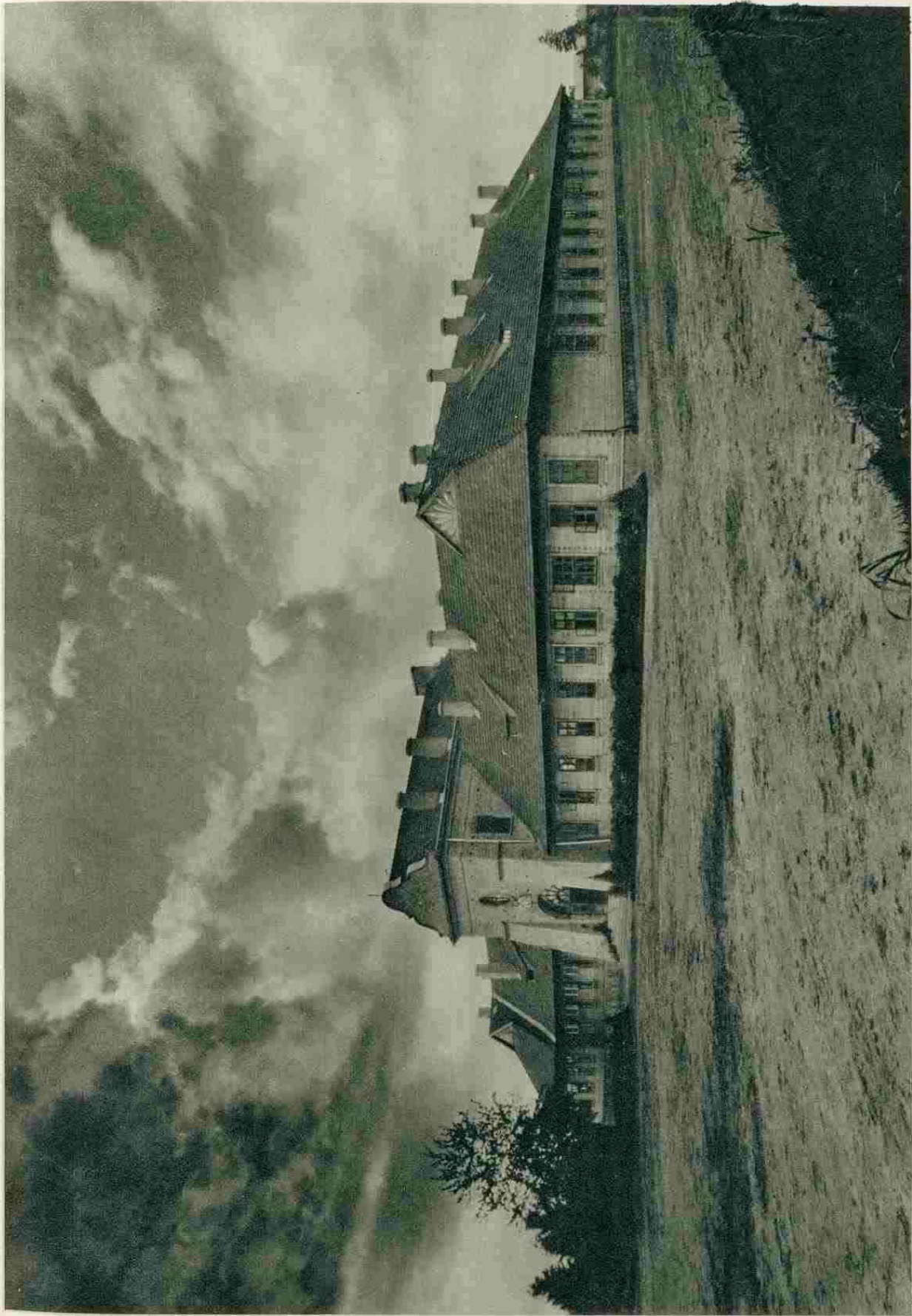


Zawody narciarskie w Ormianach na odciku 21 baonu. Wręczenie nagród zawodnikom grupy młodszych

for. Piotr Sledziński

WYNIKI ZAWODÓW STRZELECKICH O MISTRZOSTWO KORPUSU W 1930 R.

L. p.	Konkurencja	Wyniki w punktach	Miejsce	Z A W O D N I K			U W A G I
				Stopień	Nazwisko i imię	Przydział	
1	2	3	4	5	6	7	8
1	Strzelanie zespołowe bojowe i dokładne	2085 ²⁾	I	sierz. zaw	Drużyna w składzie: ¹⁾	Centralna Szkoła Podoficerska	1) Mistrz Korpusu. 2) Drużyna 21 baonu Niemenczyn zdobyła w strzelaniu bojowym 1192 pkty, zaś łącznie ze strzelaniem dokładnym 2177 pktów, została ona zdyskwalifikowana za to, że tarczowi manewr tarcz dla tej drużyny przeprowadzili w czasie o 15 sekund dłuższym niż przewiduje regulamin zawodów.
				plut. zaw	Lehman Michał		
				„	Filipiak Leonard		
				„	Sikora Józef		
				strzel.	Trzeciak Ludwik		
				„	Gola Franciszek		
				„	Haladyn Bolesław		
				„	Jędrzejak Franciszek		
				„	Rybczyński Józef		
				„	Skubisz Teodor		
„	Paternoga Herman						
„	Stefański Józef						
„	Matusiak Franciszek						
„	Kliber Roman						
„	„	„	„	„	„	„	„
„	„	1783	II	st. sierż kpr.	Drużyna w składzie:	2 baon „Bereźno”	Warunki strzelania bojowego wyjątkowo trudne: b. dużo małych krzaczków i pni oraz trawa, co powodowało, że cele zlewając się z terenem były bardzo mało widoczne.
„	„	„	„	Chojnowski Jan	„		
„	„	„	„	Hanyś Antoni	„		
„	„	„	„	Paluch Ludwik	„		
„	„	„	strzel.	Depkał Konrad	„		
„	„	„	„	Zielke Ewald	„		
„	„	„	„	Grzeszczak Władysław	„		
„	„	„	„	Cichoń Franciszek	„		
„	„	„	„	Grzybowski Franciszek	„		
„	„	„	„	Ulatowski Daniel	„		
„	„	„	„	Bogusz Aleksander	„		
„	„	„	„	Grzegorzczak Władysław	„		
„	„	„	„	Podpora Kazimierz	„		
„	„	„	„	Krych Godfryd	„		
„	„	1500	III	plut. kapr.	Drużyna w składzie:	27 baon „Żytyn”	
„	„	„	„	„	Ławniczak Józef	„	
„	„	„	„	„	Kozłowski Piotr	„	
„	„	„	„	„	Smólski Stefan	„	
„	„	„	strzel.	„	Prał Franciszek	„	
„	„	„	„	„	Gorazda Stefan	„	
„	„	„	strzel.	„	Banaszkiewicz Józef	„	
„	„	„	„	„	Bąk Józef	„	
„	„	„	„	„	Majkut Wincenty	„	
„	„	„	„	„	Pituła Józef	„	
„	„	„	„	„	Wilczek Józef	„	
„	„	„	„	„	Harnas Piotr	„	
„	„	„	„	„	Garbala Władysław	„	
„	„	„	„	„	Banach Antoni	„	
2	Strzelanie bojowe zespołowe	458	I	st. sierż kpr.	Drużyna w składzie: ¹⁾	2 baon Bereźno”	
				„	Chojnowski Jan		
				„	Hanyś Antoni		
				„	Paluch Ludwik		
				strzel.	Depkał Konrad		
				„	Zielke Ewald		
				„	Grzeszczak Władysław		
				„	Cichoń Franciszek		
				„	Grzybowski Franciszek		
				„	Ulatowski Daniel		
„	Bogusz Aleksander						
„	Grzegorzczak Władysław						
„	Podpora Kazimierz						
„	Krych Godfryd						
„	„	„	„	„	„	„	„
„	„	437	II	sierz plut.	Drużyna w składzie:	Centr. Szkoła Podoficerska	
„	„	„	„	„	Lehman Michał	„	
„	„	„	„	„	Filipiak Leonard	„	
„	„	„	„	„	Sikora Józef	„	
„	„	„	strzel.	„	Trzeciak Ludwik	„	
„	„	„	„	„	Gola Franciszek	„	
„	„	„	„	„	Haladyn Bolesław	„	
„	„	„	„	„	Jędrzejak Franciszek	„	
„	„	„	„	„	Rybczyński Józef	„	
„	„	„	„	„	Skubisz Teodor	„	
„	„	„	„	„	Paternoga Herman	„	
„	„	„	„	„	Stefański Józef	„	
„	„	„	„	„	Matuszczak Franciszek	„	
„	„	„	„	„	Kliber Roman	„	



FOT. W. PIKIEL

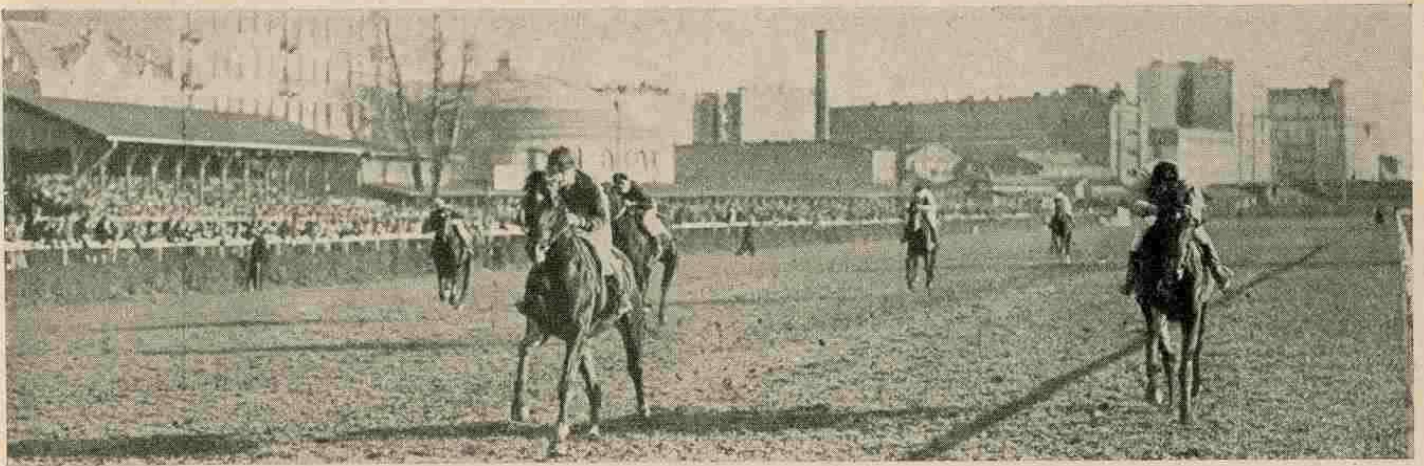
KOSZARY ODWODU BATALJONOWEGO

REPRODUKCJA WZBRONIONA

Rotogrąwura Koziańskich w Warszawie.

L. p.	Konkurencja	Wyniki w punkt- tach	Miejsce	Z A W O D N I K			U W A G I
				Stopień	Nazwisko i imię	Przydział	
1	2	3	4	5	6	7	8
2	Strzelanie bojowe zespołowe	394	III	plut. kapr. .. strzel.	Drużyna w składzie: Ławniczak Józef Kozłowski Piotr Smólski Stefan Pral Franciszek Gorazda Stefan Banaszkiwiecz Józef Bąk Józef Majkut Wincenty Pityła Józef Wilczek Józef Harnas Piotr Garbala Władysław Banach Antoni	26 baon „Żytyń”	
3	Strzelanie dokładne zespo- łowe	1648	I	sierz. plut. .. strzel.	Drużyna w składzie ¹⁾ Lehman Michał Filipiak Leonard Sikora Józef Trzeciak Ludwik Gola Franciszek Haladyn Bolesław Jędrzejak Franciszek Rybczyński Józef Skubisz Teodor Paternoga Herman Stefański Józef Matusiak Franciszek Kliber Roman	„Centr. Szkoła Podoficerska”	
	1325	II	st. szer. kpr. .. strzel.	Drużyna w składzie: Chojnowski Jan Hanyś Antoni Paluch Ludwik Depkał Konrad Zielke Ewald Grzeszczak Władysław Cichoń Franciszek Grzybowski Franciszek Ulatowski Daniel Bogusz Aleksander Grzegorzczak Władysław Podpora Kazimierz Krych Godfryd	2 baon „Bereźno”	
	1244	III	plut. kapr. .. st. strzel. strzel.	Drużyna w składzie: Antoniak Szczepan Ochajm Paweł Żmija Ludwik Rdzonek Jan Migas Jan Hutnik Jan Sobczyk Władysław Kubiak Józef Kownacki Ignacy Czyżewski Stefan Bandemer Herbut Hanf Alfred Książek Jan	6 baon „Iwieniec”	
4	Strzelanie dokładne jednostk. z broni długiej wojskowej na 300 m w 3 postawach	179	I	kapr.	Kozłowski Mikołaj ¹⁾	26 b. „Żytyń”	
	168	II	..	Paluch Ludwik	2 b. „Bereźno”	
	167	III	strzel.	Stefański Józef	C. P. S.	
5	Strzelanie jednostkowe z pistoletu wojskowego a) bojowe i dokładne	217	I	plk.d ypl.	Bottuc Mikołaj ¹⁾	D-ca Brygady „Grodno”	
	169	II	por.	Wojciechowski Hieronim	10 b. „Krasne” ²⁾	
	138	III	kpt.	Tarnowski Wojciech	19b. „Słobódka”	
	b) bojowe na 10 m	120	I	plk. dypl.	Bottuc Mikołaj ¹⁾	D-ca Brygady „Grodno”	

L. p.	Konkurencja	Wyniki w punktach	Miejsce	Z A W O D N I K			U W A G I	
				Stopień	Nazwisko i imię	Przydział		
1	2	3	4	5	6	7	8	
5	b) bojowe na 10 m	109	II	sierz.	Mierzwa Leopold	8 b. „Stołpce”		
	„ „	60	III	kpt.	Tarnowski Wojciech	19b. „Słobódka”		
	c) dokładne na 20 m	97	I	Plk.dypl.	Bołtuć Mikołaj ¹⁾	D-ca Br. „Grodno”		
	„ „	78	II	kpt.	Tarnowski Wojciech	19b. „Słobódka”		
	„ „	76	III	por.	Nowicki Stanisław	C. S. P.		
6	Strzelanie dokładne jednostkowe z broni długiej dowolnej na 300 metrów							
	a) w 3 postawach	387	I	por.	Nowicki Stanisław ¹⁾	C. S. P.		
	„ „	343	II	por.	Wojciechowski Eugenjusz	23 b. „Orany”		
	„ „	312	III	kapr.	Kozłowski Mikołaj	26b. „Żytyń”		
	b) w postawie „leżąc”	139	I	por.	Szymański Tomasz ¹⁾	20b. „Nowo-Świeciany”		
	„ „	136	II	„	Nowicki Stanisław	C. S. P.		
	„ „	129	III	„	Suchorzewski Kazimierz	1 b. „Budslaw”		
	c) w postawie „kłęcząc”	142	I	„	Nowicki Stanisław ¹⁾	S. C. P.		
	„ „	126	II	„	Wojciechowski Eugenjusz	23 b. „Orany”		
	„ „	115	III	szer.	Dzitko Józef	26 b. „Żytyń”		
	d) w postawie „stojąc”	109	I	por.	Nowicki Stanisław ¹⁾	C. S. P.		
	„ „	92	II	kapr.	Kozłowski Mikołaj	26b. „Żytyń”		
	„ „	90	III	por.	Wojciechowski Eugenjusz	23 b. „Orany”		
	7	Strzelanie dokładne jednostkowe z broni małokalibrowej na 50 m.						
		a) w 2 postawach	656	I	por.	Nowicki Stanisław ¹⁾	C. S. P.	
„ „		548	II	kpt.	Wittek Stanisław	2b. „Bereźno”		
„ „		543	III	por.	Kurowski Mieczysław	6 b. „Iwieniec”		
b) w postawie „stojąc”		240	I	kpt.	Wittek Stanisław ¹⁾	2 b. „Bereźno”		
„ „		225	II	por.	Kurowski Mieczysław	6 b. „Iwieniec”		
„ „		215	III	„	Lechna Stanisław	21 b. „Niemen-czyn”		
c) w postawie „leżąc”		358	I	por.	Nowicki Stanisław ¹⁾	C. S. P.		
„ „		318	II	„	Kurowski Mieczysław	6 b. „Iwieniec”		
„ „		317	III	„	Radziszewski Wiesław	C. S. P.		
8	Strzelanie dokładne jednostkowe z pistoletu dowol. na 50 m.							
	„ „	129	I	por.	Nowicki Stanisław	C. S. P.		
	„ „	111	II	Mjr. K.S.	Rybicki Tomasz	D-two K O. P.		
„ „	110	III	Plk.dypl.	Bołtuć Mikołaj	D-ca Brygady „Grodno”			



Na torze wyścigowym w Warszawie

TYTUS BADAWSKI, ppłk.

S P O R T K O N N Y

Od początku istnienia Korpusu sport konny w szwadronach miał bardzo niekorzystne warunki rozwoju. Szwadrony nasze bowiem są porozrzucane wzdłuż rozciągłej przeszło 2.000 klm granicy, i mogą utrzymać ze sobą tylko luźny kontakt służbowy. Trudne warunki komunikacyjne, znaczna odległość od ośrodków życia sportowego, które są bodźcem dla ambicji sportowej, brak wzajemnej rywalizacji i nacisku jaki wywiera każdy dowódca pułku kawalerji na swych oficerów, aby jak najwyżej podnieść sport konny w powierzonym sobie pułku, złe warunki zakwaterowania, brak krytych ujeżdżalni — wszystko to wywierało bardzo niekorzystny wpływ i nie zachęcało do zajmowania się sportem konnym.

Sport konny rozwijał się więc samorzutnie, zależnie od tego jakie tradycje wyniósł dany oficer ze swego rodzimego pułku.

W momencie formowania się zgłosiła się do Korpusu pokaźna ilość pierwszorzędnych oficerów kawalerji, zamilowanych sportmanów, którzy osiągnęli bardzo ładne wyniki i dzięki nim pomimo niesprzyjających warunków sport konny nie był jednak u nas w zaniedbaniu.

W brygadach rok rocznie urządzano konkursy hipiczne, rozgrywki o mistrzostwo Korpusu. Po szczególności jeźdźcy brali udział w zawodach kon-

nych armji, na wyścigach i biegach myśliwskich, a nawet w Międzynarodowych konkursach hipicznych w Warszawie.

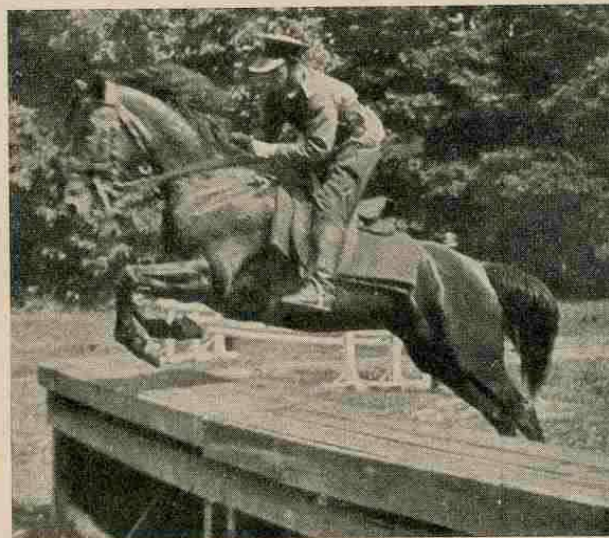
Najpomyślniejszym pod tym względem był rok 1928. Ekipa Korpusu zdobyła 2-gie miejsce w rozgrywkach o mistrzostwo armji i jako nagrodę otrzymała wspaniały obraz Fałata, który zdobi gabinet dowódcy Korpusu.

W roku następnym w tych samych rozgrywkach liczone się jeszcze bardzo poważnie z naszą ekipą i uważano ją za groźną konkurentkę do 1-szej nagrody narówni z ekipami: 15, 16 i 19 pułku ułanów. Niestety, wskutek nieszczęśliwego wypadku przy rozgrywkach, nasza ekipa zdobyła tylko 7 miejsce.

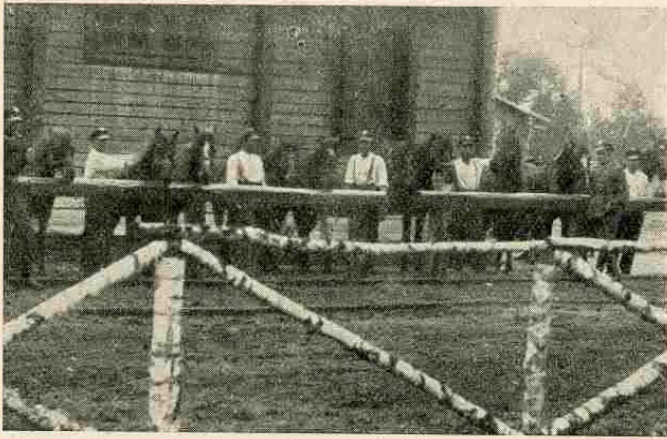
Wydatna akcja prowadzona w tym kierunku była na jak najlepszej drodze rozwoju, niestety — wyłoniła się nowa trud-

ność: redukcja budżetu, uniemożliwiająca branie udziału w zawodach o mistrzostwo armji ani też zorganizowanie rozgrywek o mistrzostwo Korpusu.

Te niepowodzenia nie zniechęciły nas jednak do dalszej pracy na tem polu i mimo trudnych warunków dokładamy starań, aby sport konny w Korpusie postawić na wysokim poziomie, tembardziej, że ma on wielkie znaczenie propagandowe na kresach i że zacieśnia węzły współzycia między naszymi oddziałami a ludnością miejscową. Ludność pogranicza bierze tłum-



Skok przez mur na zawodach w Iwieńcu

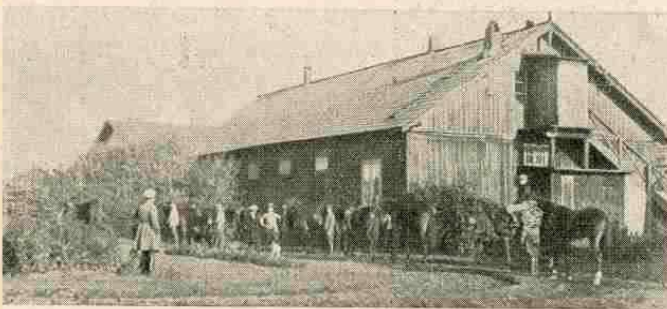


Czyszczenie koni

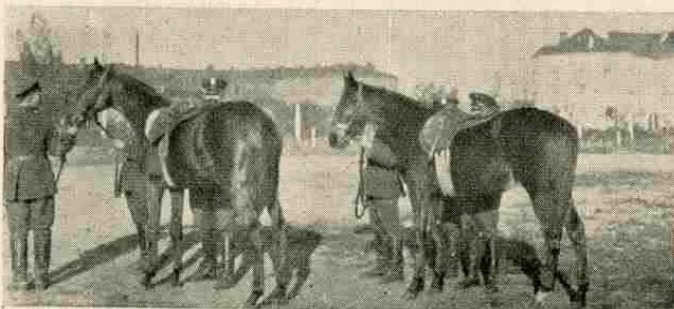
ny udział w zawodach i różnych imprezach konnych nietylko w charakterze widzów, lecz często czynnie.

W roku bieżącym zawody konne urządziliśmy na Wołyniu w Niewirkowie i Mizoczu, na Podolu—w Zaleszczykach, Czortkowie i w Hnolicach-Wielkich, w woj. nowogrodzkim—w Wołożynie i Iwieńcu i na Wileńszczyźnie—w Januliskach i Druji.

Zawody konne w Niewirkowie zorganizowane w dniu 7.IX. z okazji ukończenia kursu w Szkole Podoficerów Zawodowych Kawalerji, zakończone zostały wyścigiem włościąńskim, do którego stanęło 18 jeźdźców z okolicznych wiosek na swych krępych konikach. O zainteresowaniu miejscowej ludności może świadczyć fakt, że zawodom tym przyglądał się przeszło 6-cio tysięcy tłum ludzi, z których wielu przybyło ze



Przed stajnią wyścigową



Roczniaki



Pożegnanie z końmi ułanów odchodzących do rezerwy

znacznie oddalonych wsi. Również wielkie było zainteresowanie zawodami w Druji, Wołożynie, Mizoczu, Zaleszczykach i Czortkowie. Każdego niemal jeźdźca darzyła publiczność burzą oklasków i często dało się słyszeć z ust ludności pochlebne słowa, skierowane pod adresem ułanów Korpusu, że potrafią nietylko pełnić odpowiedzialną służbę na rubieżach wschodnich Rzeczypospolitej, lecz również z brawurą i fantazją kawaleryjską składają dowody umiejętności jeździeckiej.

* * *

Przed naszą pracą nad rozwojem sportu konnego odsłaniają się nowe widnokreśli, które pozwalają przypuszczać, że osiągniemy stawiane sobie cele. Oto w roku bieżącym dzięki dużej pomocy pana generała Tessaro, powstało T-wo Zachęty do Hodowli Koni i Rozwoju Sportu Jeździeckiego Oficerów Korpusu Ochrony Pogranicza, mające na celu podniesienie bardzo zaniedbanej hodowli konia remontowego na Kresach wschodnich.

Statut Towarzystwa został uzgodniony z Departamentem Chowu Koni Ministerstwa Rolnictwa i zatwierdzony przez Komisarjat Rządu m. st. Warszawy za Nr. 1238.

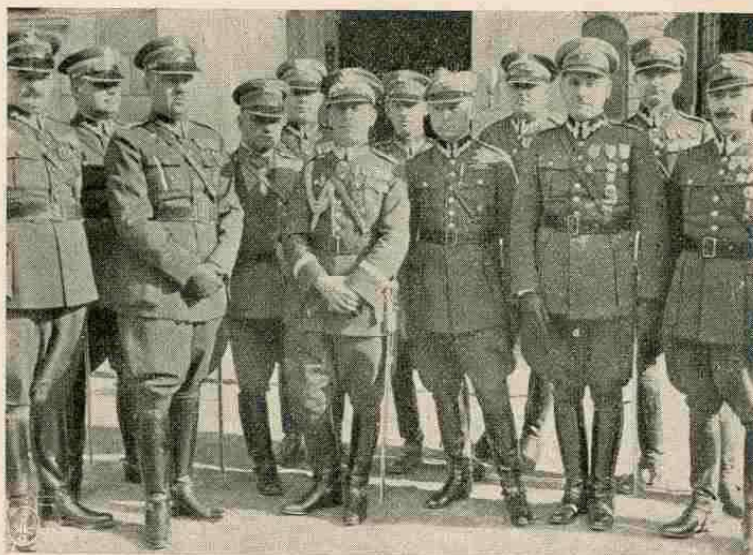
Jak widać z § 5 statutu, T-wo postawiło sobie zadanie podniesienia na Kresach wschodnich hodowli konia remontowego półkrwi, jako najodpowiedniejszego dla kawalerji, przystosowanego do warunków lokalnych, a głównie do tych terenów, na których w przyszłości mógłby być celowo użyty, co jest rzeczą pierwszorzędnego znaczenia.

Do produkcji konia półkrwi musi być użyty folblut, którego T-wo ma zamiar uzyskać częściowo przez własną hodowlę, częściowo drogą zakupu.

Z wiosną roku przyszłego w folwarku Niewirków (pow. rówieński) rozpoczyna się własna hodowla konia pełnej krwi, narazie w bardzo szczupłych rozmiarach, którą w miarę posiadanych środków będzie można rozszerzyć. Celem tej hodowli będzie produkowanie pierwszorzę-

nego materiału zarodowego, który w pierwszym rzędzie będzie eksploatowany na torach wyścigowych, a następnie użyty zostanie jako materiał rozplodowy na punktach kopulacyjnych, jakie powstaną wzdłuż granicy, w miejscach rozlokowania oddziałów Korpusu. Cała ta akcja prowadzona jest w ścisłej łączności z lokalnymi organizacjami rolniczo - hodowlanymi. Obecnie są już nabyte 3 takie ogiery. Ogiery pełnej krwi „Gordjus” i „Impet” oraz półkrwi „Jaszcz” uznane zostały za materiał bardzo odpowiedni dla uszlachetnienia koni miejscowych. Ogiery „Gordjus” uzyskał świadectwo uznania pierwszej kategorii Nr. 854, ogier „Jaszcz” świadectwo uznania drugiej kategorii Nr. 223, przyczem komisje orzekły, że ogiery te będą otrzymywać rok rocznie premje hodowlane w wysokości 1000 zł. na konia, co w zupełności pokryje koszty ich utrzymania. Wobec tego, że okres odchowywania klaczy już minął, punkty kopulacyjne zaczną funkcjonować wiosną przyszłego roku. W miarę rozwoju T-wa akcja ta pójdzie w szybszym tempie. Z powstaniem i funkcjonowaniem punktów kopulacyjnych nierozłącznie związane jest powstanie stajni wyścigowej z której czysty zysk obracany będzie na cele hodowlane. Stajnia wyścigowa Towarzystwa już istnieje i zdała egzamin w stolicy i na prowincji.

Konie wyścigowe biegały w barwach Korpusu: kurtka granatowa, rękawy i czapka zielone. W roku bieżącym współzawodniczyły w wyścigach następujące konie: klacz pełnej krwi „Tabu II” lat 4 po „Balthazar” — „Tovirag”; ogier pełnej krwi „Esper” lat 3 po „Promień” — „Esperance”, klacz półkrwi „Pandaterja” lat 4 po „Stawropol” — „Durna”, ogier pełnej krwi „Piruet” lat 3, po „Promień” — „Pirouetka”, klacz pełnej krwi „Gieorginja” lat 5, po „Manton” — „Azalja”, klacz pełnej krwi „Betina” lat 4, po „Fils du Vent” — „Lepante” i klacz pełnej krwi



Rada Nadzorcza i Zarząd T-wa Zachęty do hodowli koni

„Abazzia” lat 2 po „Manton” — „Fantazja” i płotowa klacz pełnej krwi „Caralle” hodowli niemieckiej.

Każdy członek Towarzystwa posiadający dobrego konia wyścigowego, ma prawo oddać go do stajni wyścigowej Towarzystwa i eksploatować na swoją korzyść za zwrotem wydatków, które rozkładają się proporcjonalnie na wszystkie konie stajni.

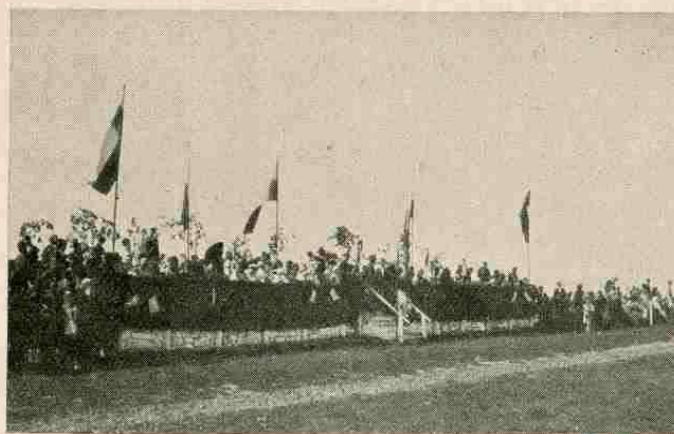
Z usług T-wa korzystali: por. Kociejowski ze Szkoły Pdfc. Kaw. — koń „Picador”, rotm. Bąkowski D-ca Kompanji Sztabowej — klacz „Troja” i ppłk. Badowski z Dtwa Korpusu klacz „Florida”.

Konie w roku bieżącym wygrały	31.850 zł.
Utrzymanie stajni wyścigowej w przybliżeniu	16.000 zł.
Czysty zysk w przybliżeniu	15.850 zł.

Konie biegały w Warszawie, Lublinie, Wilnie, Baranowiczach, Łodzi, Piotrkowie i Lwowie i wygrały 19 pierwszych, 22 drugich i 20 trzecich nagród.



Pławienie koni w Dniestrze



Zawody konne w Zaleszczykach

Dla całokształtu muszę dodać, że na karierę wyścigową koni i pośrednio efekt gotówkowy stajni wyścigowej pierwszorzędny wpływ wywiera zimowe przygotowanie koni. Przygotowania takiego nie mogliśmy przeprowadzić, gdyż T-wo było w stadjum organizowania się. Spodziewam się, że w roku przyszłym wynik będzie znacznie lepszy, gdyż konie zostaną przesortowane: część klaczy pójdzie do stada, gorsze konie zostaną sprzedane, a stajnia zostanie wzmocniona przez nabycie 2-ch roczniaków wysokiej klasy. Jak widać z § 3 statutu, T-wo ma również na celu popieranie sportu jeździeckiego w mia-

re posiadanych środków. Popieranie to polegać będzie na ułatwianiu członkom nabywanie koni, nadających się do celów sportowych, wyznaczaniu nagród na różne imprezy konne i wypłacaniu djet oficerom, udającym się w celach reprezentacyjnych na zawody konne, po uprzednim porozumieniu się z Zarządem T-wa.

W czasie organizacji T-wa spotkaliśmy się z bardzo życzliwym stanowiskiem ze strony wybitniejszych hodowców i zrozumieniem ze strony Dyrektora Departamentu Chowu Koni p. inż. Grabowskiego, który obiecał daleko idące poparcie T-wu.

EUGENJUSZ OSKIERKO mjr.

PRACE UŻYTKOWE SAPERÓW W K. O. P.

Sieć dróg i stan ich zależy przede wszystkim od stopnia zaludnienia kraju i ogólnego poziomu kulturalnego mieszkańców. Na Kresach wschodnich dróg zawsze było mało i stan ich nigdy nie był świetny. W czasie ostatnich wojen wiele mostów na tych ziemiach uległo zniszczeniu przez spalenie, a wybudowane mosty tymczasowe po kilku lub kilkunastu latach istnienia stawały się niezdadne do dalszego użytku.

Drogi kołowe dzielą się na państwowe, wojewódzkie, powiatowe i gminne. Drogi państwowe są utrzymywane na koszt Skarbu Państwa i dlatego mosty na tych drogach są w stanie dobrym. Natomiast inne drogi są utrzymywane na koszt samorządów przy bardzo małej pomocy finansowej ze strony Skarbu Państwa.

Powiaty i gminy na Kresach wschodnich zajmują bardzo wielkie obszary, lecz są bardzo słabo zaludnione. Z tego powodu wpływy z podatków komunalnych są zbyt szczupłe i nie wystarczają na utrzymanie w należyтым stanie wszystkich mostów na drogach samorządowych.

Dla Korpusu dobre drogi mają ogromne znaczenie. Dlatego Dowódca Korpusu, dążąc do ulepszenia komunikacji na Kresach i rozumiejąc ciężką sytuację finansową organów samorządowych, wszędzie tam, gdzie potrzeby Korpusu pokrywają się z potrzebami władz administracyjnych, przydziela począwszy od r. 1928 do budowy mostów techniczne oddziały wojskowe z tym warunkiem, że potrzebny materiał dostarczą sejmiki powiatowe względnie gminy. Olbrzymiemu temu zadaniu nie mogą oczywiście sprostać nieliczne jednostki techniczne Korpusu.

Dzięki jednak pomocy Szefa Saperów M. S. Wojsk., który przydziela nam poszczególne kompanie saperskie z armji, rok rocznie przybywa

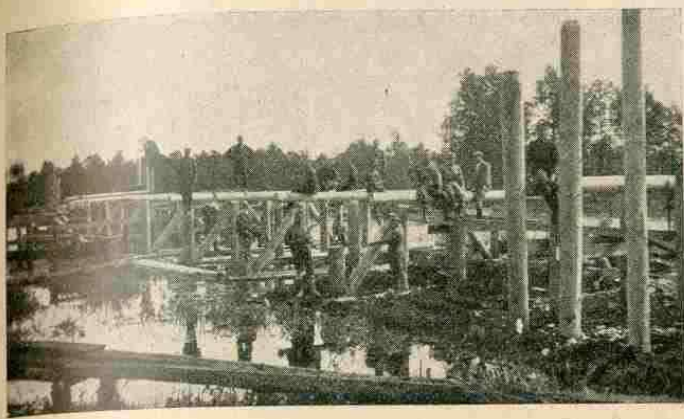
kilka a nawet kilkanaście mostów, które w znacznym stopniu polepszają stan komunikacji na Kresach.

Jak dużą pracę na tem polu wykazały kompanie saperów armji, niech zaświadczą cyfry. Otóż w ciągu trzech ostatnich lat kompanie saperów wybudowały 31 mostów o ogólnej rozpiętości 1.506 metrów, w tem w lecie 1930 roku 10 mostów ogólnej długości 416 metrów.

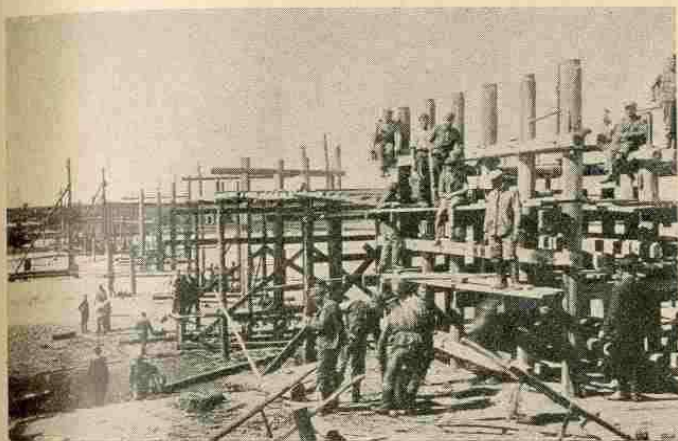
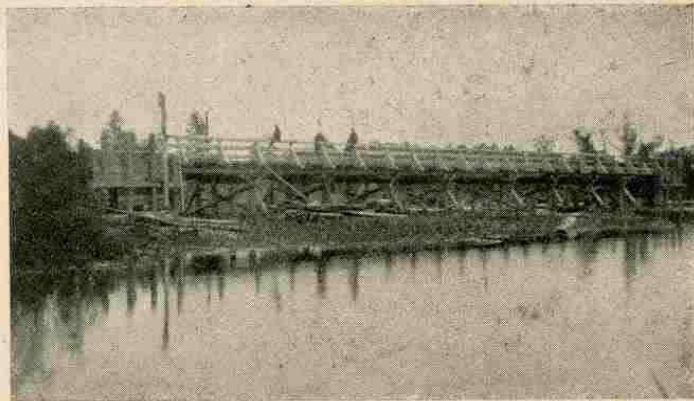
Plan szkolenia saperów przewiduje możliwość przydzielania oddziałów saperskich do prac w Korpusie tylko na przeciąg jednego miesiąca w okresie letnim. Czas ten nie wystarcza na wykonanie budowy większych mostów, długości ponad 80 metrów — przy normalnych warunkach pracy saperów, gdyż przy budowie mostu może pracować jednorazowo tylko pewna ograniczona ilość ludzi.

Oddziały saperskie wywiązały się ze swych zadań doskonale. Pracę ich cechowało zawsze doświadczenie dowódców, wielka ambicja, sprężysta organizacja i duża wydajność. Tam, gdzie duży most miał być ukończony w ciągu kilku tygodni, oddziały saperskie nie chcąc go zostawić całkowicie niewykończonym, pracowały ponad 10 godzin na dobę, w wielu wypadkach nawet w nocy. Dzięki ofiarnej i żmudnej pracy saperów most stawał w krótkim czasie ku podziwowi władz administracyjnych i ludności.

Największym mostem, wybudowanym przez saperów na terenie Korpusu, jest most drewniany na Słuczy pod Bereźnem w powiecie kostopolskim. Most ten, długości 258 metrów, obliczony na wytrzymałość 8 tonn, został zbudowany przez oddziały 2 i 4 baonów saperskich w latach 1929 i 1930 w przeciągu 60 dni roboczych.



Budowa mostu na rz. Łań pod Gawrylczycami



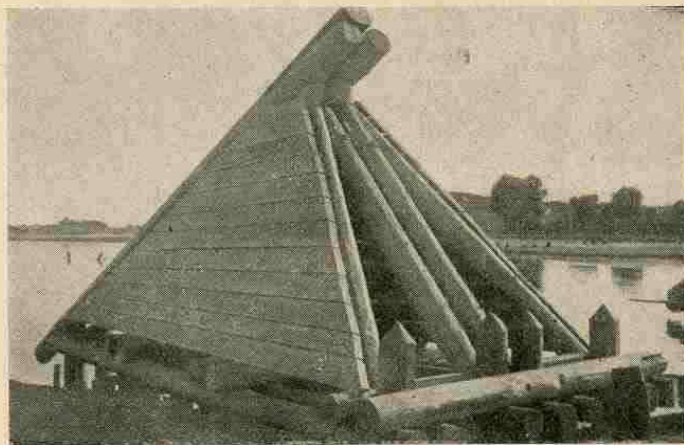
Most na Słuczy w drugim tygodniu pracy



Most na Słuczy — widok z boku



Most na Słuczy — widok perspektywiczny

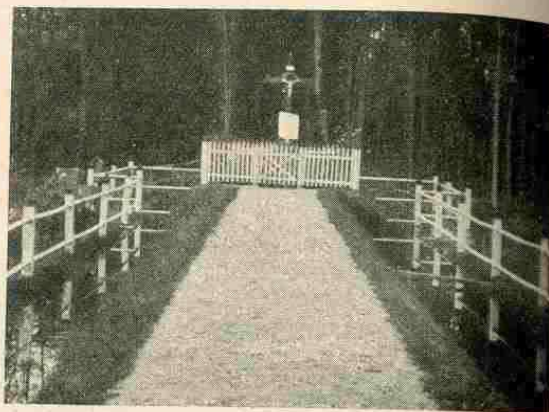
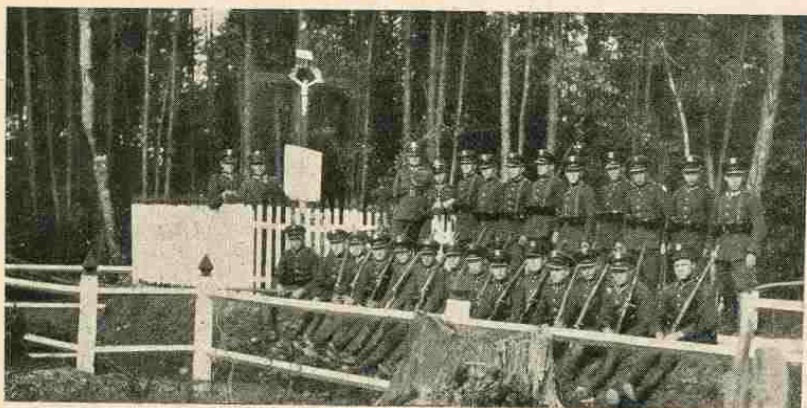


Izbica przy moście na Słuczy



Budowa stajni przez ośrodek pionierów brygady nowogródzkiej





Grób żołnierza poległego w 1920 r., otoczony opieką żołnierzy kompanji Borowe 2 baonu

JERZY DĄBROWSKI mjr.

JAK 1-a DYWIZJA LITEWSKO-BIAŁORUSKA UTRWAŁAŁA OBECNE GRANICE POLSKI

Dziwnym zrzędzeniem losu i z woli Wodza, Marszałka Józefa Piłsudskiego, pułki dywizyj litewsko-białoruskich, złożone z ochotników województw wileńskiego, nowogrodzkiego, białostockiego i poleskiego — w roku 1920 swą krwią obficie zrosiły obecne granice Polski właśnie na terenie województwa wileńskiego tak od wschodu, jak i zachodu.

O ile wytyczenie granicy z Litwą (czy to przez 2-ą dywizję litewsko-białoruską¹⁾ w okresie od września 1919 do lipca 1920 r., czy też późniejszym zbrojnym czynem gen. Żeligowskiego) odbyło się — że tak się wyrażę — trybem naturalnym, o tyle wyłobienie potokiem potu i krwi synów Wileńszczyzny obecnej rubieży wschodniej nosi wyraźne piętno palca Bożego. Oto pułki 1-ej dywizji litewsko-białoruskiej²⁾ w kolejnych odwrotach i ofensywach 1920 r., trzykrotnie przemierzyły marszem bojowym stodwudziestokilometrowy szlak od Wielkiej Czernicy po Radoszkowice i zpowrotem, wbrew prawom wszelkich najazdów i wojen krocząc nie wpoprzek granicy wojujących państw, lecz właśnie cały czas działając wzdłuż niej, — a nawet wyraźnie deptając po niej. Gdyby to się odbyło jeden raz, moglibyśmy powiedzieć — przypadek! Lecz powtórzone z dziwnym uporem trzykrotnie zmusza nas do głębszego zastanowienia.

Walki dywizji na wymienionym odcinku granicy zaczęły się jeszcze w listopadzie 1919 r., kiedy to 1-a dyw. l. b., dowodzona przez gen. Lasockiego, rozwinęła się do przeciwuderzenia w promieniu Dokszyc. W dniach 1 — 2 listo-

pada natary: miński pułk strzelców³⁾ w obszarze jez. Miadzioł, zdobywając szturmem Baturynkę, Otrubek, Osówek, Wielką Czernicę; grodzieński pułk⁴⁾ z obszaru Komajnska—Wolbarowicz na Pustosiele—Mościszczce; wileński zaś z pod Gnieździłowa — Niebyszyna na Ulesie. Tu w pasie przylegającym do teraźniejszej granicy została przełana krew żołnierzy pochodzących z ziem litewsko-białoruskich⁵⁾. Groby — ich to wbite w rodzinną ziemię „słupy graniczne”. Zginęło podówczas śmiercią walecznych 22 szeregowych. Z nich na polu bitwy pod Baturynką-Osówkiem pochowano: st. szeregowca Strawińskiego Czesława, szeregowców: Korowaja Władysława, Czebitura Jerzego, Łuszko Władysława i Strutyńskiego Jana⁶⁾. Na cmentarzu w Komajnsku spoczęli: sierżant Ignacy Srednicki i szer. Michał Krywieńia⁷⁾; na cmentarzu dokszyckim leżą szereg. Brzozowski Stefan⁸⁾, Bojaruniec Józef, Czaśa Jan, Czuryło Michał, Daukszewicz Antoni, Jarosz Ignacy, Kozikiewicz Józef, Michałowski Albin, Rodziewicz Stanisław, Sawicki Edward, Sidorowicz Aleksander i Żurowski Stanisław⁹⁾. Po stronie sowieckiej, na cmentarzu w miasteczku Berzynie, pozostały mogiły szeregowców: Kotowicza Mieczysława, Pecako Pawła i Salwy Jana¹⁰⁾.

Po tych walkach poszła 1-a dyw. l. b. aż do Lepla. Pod uderzeniem jednak pierwszej sowieckiej ofensywy w maju 1920 r. wróciła do

³⁾ Obecnie 86 p. p.

⁴⁾ 81 p. p.

⁵⁾ 85 p. p.

⁶⁾ Wszyscy mińskiego p. s.

⁷⁾ Obydwaj grodzieńskiego p. s.

⁸⁾ Miński p. s.

⁹⁾ Wszyscy wileńskiego p. s.

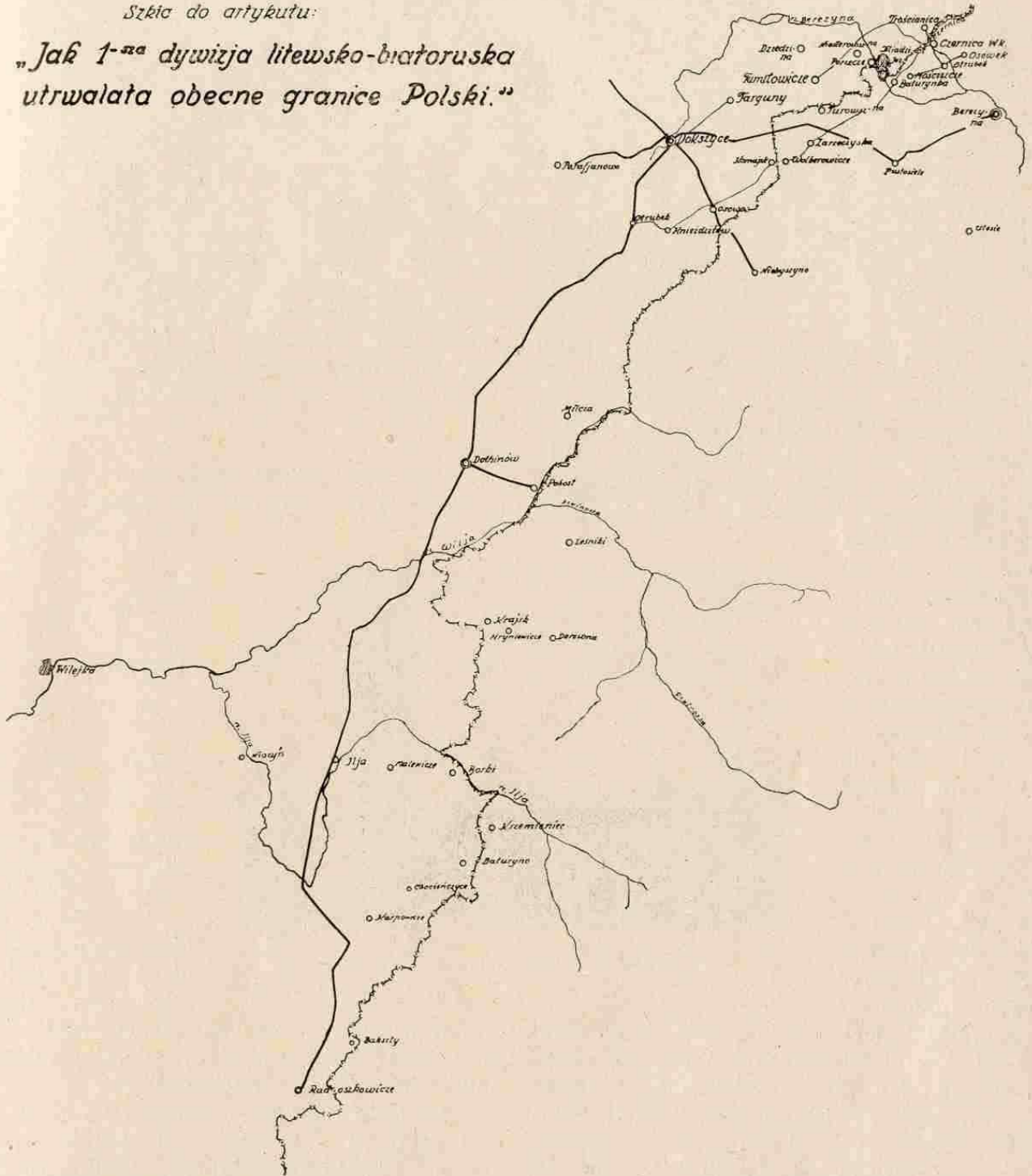
¹⁰⁾ Mińskiego p. s.

¹⁾ Obecnie 29 dyw. piech.

²⁾ Obecnie 19 dyw. piech.

Szkic do artykułu:

„Jak 1-sza dywizja litewsko-białoruska
utrwalata obecne granice Polski.”



obszaru Czernicy i Dokszyce, rozpoczynając od dnia 16 maja swą pierwszą krwawą marszrutę wzdłuż obecnej granicy. Znow obszar przygraniczny: Czernica — Berezyna — Dokszyce znaczy krew blisko setki zabitych oraz kilkuset rannych żołnierzy, w tem — zarąbanych kozackimi szabłami podporuczników: Piotra Sirotkiewicza, Józefa Borkiewicza i podchor. Proszowskiego¹⁾ oraz zakłutego bagnietami kpt. Drabowicza²⁾. Jakby wiedziona przeznaczeniem, idzie dywizja w kierunku południowym, ściśle trzymając się wywal-

czanej podówczas jej krwią, lecz nieprędko jeszcze wytyczonej, granicy: Gnieździłowo, zachodni brzeg Wilji w rejonie Milczy — Dołhinowa, Krajsk, Borki za rzeką Ilją. — Oto etapy jej marszu. W gęstych lasach w obszarze Baturyno — Krzemieniec — Borki — Malewicze dywizja przegrupowała się i w dniu 28-go maja nagle wypadła z za rzeki Ilji, zdobywając Krajsk, Hryniewicze, Derewno i pędząc wroga na rzekę Dźwinośsa. Znow zaczyna marsz wzdłuż obecnej granicy, ale w kierunku północnym, trzymając się wschodniego brzegu Wilji, a znacząc obficie krwią własną i wroga wioski Leśniki, Pohost, oraz bagna nad Dźwinośsą. Znow: Milcza, Gnieździ-

¹⁾ Wszyscy trzej grodzieńskiego pułku.

²⁾ Nowogrodzkiego p. s. (obecnie 80 p. p.)

łowo, Osowa, Dokszyce, Diedzino i Czernica. A już ta Czernica, tak wieś, jak i pograniczna obecnie rzeczulka tejże nazwy, skąpały się obficie we krwi polskiej i rosyjskiej. Tędy bowiem prowadzi trakt odwieczny najazdów moskiewskich z „bramy Smoleńskiej” na Wilno. Tu więc przypieczetowano krwią ofiarną i umocniono należycie fundamenty graniczne.

Już w dniu 24 czerwca 21-a dywizja sowiecka¹⁾ silnym natarciem wyparła nowogródzki pułk z okopów koło Wielkiej Czernicy, odrzucając go w obszar jez. Miadzioł. Ruszyły wówczas do przeciwnatarcia pozostałe pułki dywizji: miński z Baturynki na Otrubek, wileński zaś z grodzieńskim z Porzecca i Nesterowszczyzny na W. Czernicę. Dwa dni trwał bój. Tu, pół kilometra na wschód od skrzyżowania traktu na W. Czernicę z drogą leśną na Trościanicę poległ śmiercią iście bohaterską ppor. grodzieńskiego pułku Feliks Oreluk, swą odwagą i poświęceniem ratując sytuację całej zachwianej już II brygady l. b.²⁾ Zacięta walka osiągnęła szczególne napięcie z rana 25 czerwca, kiedy to 1-a dywizja l. b., zebrana wzdłuż skraju lasu na zachodnim brzegu rz. Czernicy, uderzyła na zmasowaną w obszarze wiosek W. Czernicy-Otrubka 21-ą dywizję sowiecką. O sile przygotowania ogniowego

artylerji polskiej niech świadczy fakt, że na samą wioskę W. Czernicę I dywizjon 1-go p. a. p. lit. biały³⁾ w ciągu 10 minut oddał 700 pocisków! Obserwator tego dywizjonu, por. Stefan Brzeszczyński, siedział na starej sośnie, która zapewne zachowała się dotychczas) w odległości 20—40 metrów w lewo od wylotu traktu z lasu przed wsią W. Czernicą, przed tyraljerą piechoty, a prawie nad głowami bolszewików! Ogień artylerji polskiej był tak celny, że zmiotł wroga z przedpola nacierającej piechoty. W ciągu dnia 25 czerwca W. Czernica kilkakrotnie jeszcze przechodziła z rąk do rąk, zanim wreszcie ostatecznie pozostała w ręku polskim. Zdziękowana 21-a dyw. sow. cofnęła się na wschód.

Straszny widok przedstawił się oczom zwycięzców. Nawet weterani wojny światowej

byli zdumieni ilością zabitych Moskali. Miejscami leżały na polu całe stopy ich trupów. W samej niewielkiej (bo podówczas częściowo spalonej) wiosce W. Czernicy zebrano tych trupów zgorą 200, na całym zaś polu walki, od Trościanicy do Otrubka naliczono ich blisko 600! Pozatem zdobyli Polacy ponad 300 jeńców i 21 c. k. m. Ciężkie były także straty 1 dyw. l. b.: zabitych 2 oficerów⁴⁾ i 50 szeregowych, rannych zaś 8 oficerów i 250 szeregowych.

W dniu 4 lipca nieprzyjaciel przeszedł do decydującej ofensywy na całym froncie. Na 1-ą dywizję l. b., w obszarze W. Czernicy, zwała się cała 3-a armja sowiecka (dywizje: 6-a, 21-a, 56-a i 5-a). Znowu dwa dni trwał bój. Znowu pola W. Czernicy, Otrubka, Baturynki, Porzecca, Diedzina, Tumiłowicz, Torgun zostały obficie zroszone krwią polską. Napróżno prowadził rozpaczliwe przeciwnatarcia dowódca nowogrodzkiego pułku ppłk. Kazimierz Rybicki. Po południu 5 lipca, wobec olbrzymiej przewagi liczebnej wroga, 1-a dyw. l. b. musiała ustąpić z pola. Znajdujący się w straży tylnej, w obszarze Zarzeczycka-Turowszczyzny, III baon nowogrodzkiego pułku został osaczony przez kozaków i niemal w pień wycięty. Zginął też, zakłuty bagnietami, broniący mostu koło Porzecca ppor. wileński-



Cmentarz w Wilejce poległych w r. 1920

go pułku Piotr Kowszyniec-Kowszyński. Tenże los spotkał pod Baturynką porucznika mińskiego pułku Eugenjusza Kotowicza.⁵⁾

W dniu 6 lipca rozpoczęła 1-a dyw. l. b. po raz trzeci, już prawie dokładnie wytyczając granicę: Gnieździłowo-Milcza — dolina rz. Wilji, Krajsk — Borki — Chocieńczyce — Karpowicze — Bakszty — Radoszkowicze... nazwy dobrze znane żołnierzowi Korpusu Ochrony Pogranicza. Właśnie przez te miejscowości maszerowała w odwrocie 1-a dyw. l. b., odgryzając się wrogowi jak ranny lew. Oto, jak charakteryzuje ten odwrót jeden z uczestników walk nowogrodzkiego pułku⁶⁾: „Podpułkownik Rybicki brał z sobą oddział nie przewyższający jednej kompanji z działaniem artylerji i pozostając o parę kilometrów

¹⁾ Wsparta przez artylerję 6-ej dyw. sow.

²⁾ Pochowany na cmentarzu w Dokszycach.

³⁾ Obecnie 19 p. a. p.

⁴⁾ Ppor. Oreluk, oraz ppor. Stanisław Obrzut (nowogr. p. s.)

⁵⁾ Obydwaj ci oficerowie pozostali na polu walki i prawdopodobnie pochowani przez bolszewików na miejscu.

⁶⁾ „Zarys historii 80 p. p.” str. 32.

ztyłu kolumny brygady, uprawiał typową partyzantkę: urządzał zasadzki, podpuszczał kawalerję sowiecką na najbliższą odległość i prażył ją znie-nacka salwami lub też kartaczami działonu. Tak było pod Dokszykami, nad Ilją, pod Radoszkowiczami etc.”

W tych walkach straży tylnej (jak pisze historyk 23 pułku ułanów¹⁾), „szczególnie dużo pracy położył, ale też niemało i sławy zdobył szwadron porucznika Czuczelowicza.”²⁾

Wreszcie w Radoszkowiczach losy wojny oderwały dywizję od jej — wydeptanego nieraz bosemi nogami, a obficie skropionego krwią — traktu: Czernica — Radoszkowicze. Synowie ziem litewsko-białoruskich poszli bronić stolicy —

¹⁾ „Zarys historii 23 p. ułanów grodzieńskich” str. 23.

²⁾ T. zw. „szwadron grodzieńskich ułanów” por. Stanisława Czuczelowicza — obecnie dowódcy szwadronu K. O. P.—u.

Warszawy, krwawiąc się pod Radzyminem, by następnie, pod wodzą gen. Żeligowskiego, wrócić do swej „ściślejszej ojczyzny”, utrwalając też i jej zachodnią granicę, w obszarze: Podbrodzie — Giedrojcie — Mejszagoła — Szyrwinty — Muśniki, — Jewje — Troki — Landwarowo.

Na wschodzie bowiem wystarczył widocznie trzykrotnie zaznaczony krwawą wstęgą od Czernicy po Radoszkowicze wysiłek 1-ej dyw. l. b. Dla utrwalania więc na tym odcinku granicy polsko-sowieckiej nie potrzeba było już więcej ofiar. Granica ta bowiem została z łatwością — bez walk prawie — obsadzona przez oddziały kawalerji polskiej, ścigającej w październiku 1920 r. pobitych nad Niemnem Moskali.

Tradycja zaś walczących wówczas w obecnym pasie granicznym żołnierzy z ziem litewsko-białoruskich została przekazana mężnym sercom i niezawodnym twardym dłoniom żołnierzy K. O. P-u.

ZENON LIPIŃSKI kpt.

ZAWITAŁ DZIEŃ

Jasnej pamięci poległym za wolność.

Zawitał dzień —

Weselny mocny śpiew —

Triumf życia,

Radości i słońca!

Tętniąca

Krew rozlana

W poszumach wiosny śpiewa

Pieśń chwały!

Rzeczpospolita!

Wykołyszana w górnych snach,

W krzyku ginących bezimięńców,

W buntach skrach,

W zduszonych gardłach

Dławiąca płomienie

Jesteś z nami —

Ty — żywa

Mocy naszych ran — Szczęśliwa,

Wolna, radosna!...

Przyszła wolność...

Słyszycie? Staje w szeregach

Braci szarej.

Rozpina sztandary —

Złotym żarem zalewa —

Pieśń śpiewa; —

Huczy nad głowami —

Przelewa się, rozlewa

W dusz miliony —

Kołysze dzwony

Ogromne, tętniące —

I to słońce błyszczące

Nad głowami

Chyli w podzięcie

Zwycięzcy!

On skinął — Wódz!

I rozbłysły słońca

Na pobojowiskach!

W rozbłyskach

Płoną chwałą

Groby rdzą zżarte...

Na mieczach oparte szeregi

Zaparty sobą granice —

Mur nieprzebyty,

Krwia dźwignięty, zdobyty!

Cześć ci i wieczna chwała!

JÓZEF OLSZYNA-WILCZYŃSKI gen. bryg.

NASI PRZODKOWIE

(SYLWETKI HISTORYCZNE).

STAROSTA CZERKASKO-KANIEWSKI EUSTACHY DASZKIEWICZ.

W pierwszej połowie XVI wieku zajaśniało wśród obrońców Kresów wschodnio-południowych nazwisko Eustachego Daszkiewicza, zwanego także z ruska Ostafim Daszkowicem. Był to duch niespokojny, lecz charakter czysty i rycerski; pochodzenia niezbadanego, wyznania grecko-katolickiego.

Na widownię dziejową występuje już w 1501 r., w którym widzimy go już jako starostę czerkaskiego i kaniowskiego, dowodzącego wojskiem litewskim w bitwie z Moskalami, w okolicy Mścisławia (14. XI. 1501). Bitwa ta odbyła się wkrótce po klęsce wojsk polskich, zadanej przez Moskali pod Wiedrożą, a brały w niej udział również polskie posiłki (z Korony) pod wodzą Jana Karnkowskiego. Nieprzyjaciel musiał w tej walce także mocno ucierpieć, skoro historycy notują, że spustoszywszy okolicę odszedł z niczem.

W końcu 1503 r. Daszkowic, tak już zasłużony Polsce, niezadowolony z czegoś (najpewniej z tego, iż Polska przestała walczyć z wrogami Krzyża świętego, Tatarami i Turkami, zawierając z nimi dłuższy pokój), pozostawia w zastępstwie swoim na stanowisku starosty zamków czerkaskiego i kaniowskiego swego syna, Wasila Daszkiewicza, a sam udaje się do Moskwy, gdzie ofiarowuje swe służby wielkiemu księciu moskiewskiemu, Iwanowi, ażeby widocznie móc nadal wojować z Tatarami i w walce tej ani na chwilę nie ustawać. Nie można mu tego poczytywać za zdradę. Jako człek rycerski, nie mógł żyć bez wojny. Takie zresztą były natenczas zwyczaje i nie raziły nikogo ze współczesnych. Taką samą drogą chadzali Wiśniowieccy, Bohdan Gliński i inni, a z Moskwy podobnie przybył do Polski kniaź Kurbski. Ale jak Kurbski do opuszczonej ojczyzny tęsknił, a synowie jego do niej powrócili, tak samo wracali Wiśniowieccy i inni, — tak też powrócił i Daszkowic. Wielu w ten sposób odjeżdżało, jako „wolni słudzy króla” i nie widzieli w tem nic zdrożnego, aby pod sąsiedniemi, również chrześcijańskimi, chorągwiami zwalczać wspólnego, tak dokuczliwego wroga chrystjanizmu, jakim byli Tatarzy, oddając na ten czas swe zamki w ręce zastępców. W 1508 r., gdy dowiedział się, że został

w Polsce posądzony o zdradę, wrócił przez Krzyszew nad Dnieprem, gdzie przedtem był namiestnikiem i „wywiódł się” — jak pisze Rawita-Gawroński — z zarzutu, w czasie, kiedy na północy trwała wojna Litwy z Moskwą. Spróbował nowego życia w Moskwie, znowu znalazł się na służbie króla polskiego i Rzeczypospolitej. Widocznie i król nie mógł dopatrzeć się u niego winy, skoro wkrótce po powrocie widzimy znów Daszkiewicza na urzędzie starosty w Kaniowie, a wkrótce potem (1514 r.) osiada na starostwie w Czerkasach.

Dwadzieścia lat prawie wytrwał na posterunku starosty na Kaniowie i Czerkasach, w bezustannych bojach z Tatarami, których raz po raz gromił z powodzeniem i zawziętością. Znał język tatarski, jak urodzony Tatar, co mu ułatwiało prowadzenie wywiadu i zawsze wiedział o najtajniejszych nieraz zamiarach Perekopców, aby ich następnie podchodzić, napadać i bić. Jeśli oprócz rabunków dopuszczali się rzezi lub brali jasyr, kazał w odwet wbijać niehumanitarnych morderców na pale i ustawiać je na szlakach band tatarskich na postrach. Mieszał się w sprawy Krymu, kłócił z sobą Tatarów, jednych przeciw drugim podtrzymując, a kłócąc osłabiał, poczem słabszych bił. Bywał nieraz sam w pazurach tatarskich, ale zawsze zdołał się wyrwać. Do swych wiernych i obrotnych pocztów werbował „wolnych kozaków”, rozszerzając swój wpływ na Niż, jako organizator kozactwa chciał — jak pisze Dubiecki — skleić tę daleką oazę stepową rycerstwa z Rzeczpospolitą.

A było to za dni króla Zygmunta I-go, kiedy zachodnie prowincje Polski dowiedziały się po raz pierwszy o Siczy, która już wtedy zorganizowała się w bractwo orężne i mogła wystawiać 6000 bojowego kozactwa. Ostafi Daszkiewicz wyrobił sobie taką powagę i wzięcie u niżowych Kozaków, że chętnie wstępowali pod jego stałe chorągwie, wolni zaś podporządkowywali mu się w czasie wypraw przeciw Tatarom z własnej woli, ufając jego niezawodnemu kierownictwu. Niektórzy historycy kozaccy pasują go nawet na hetmana kozackiego, niesłusznie jednak, ponieważ za wrogów Polski uważał zarówno nie-

sfornych, buntujących się i wyłamujących się z pod prawa Kozaków, jak i Tatarów.

Zdobywa sobie Daszkowicz wielkie poważanie nawet u wrogów, Tatarów. I tak w 1521 r. staje wspólnie z Mechemet-Girejem na czele głośnej wyprawy przeciw Moskwie, z której wraca zrehabilitowany nawet w oczach tych, którzy mu nie chcieli darować niedawnej, rzekomej zdrady, pomimo przywrócenia do łask przez króla.

Niestrudzony, usilnie stara się spożytkować wojenną wartość i gotowość watah stepowych kozactwa. W 1524 r. odważa się nawet przy współdziałaniu Seńki Potozowicza, sławnego Kozaka (zwanego przez Bielskiego „Polus Rusak”), na kroki zaczepne względem ordyńców.

Rok 1527 jest rokiem świetnego zwycięstwa nad Tatarami. Oto Tatarzy zalali nowym najazdem Ruś i Litwę. Na tę wiadomość książę Konstantyn Ostrogski gromadzi znaczne siły litewskie i wołyńskie pod Kijowem, a Ostafi Daszkiewicz ukraińskie. Połączone wojska hetmana wielkiego litewskiego i starosty czerkasko-kaniowskiego uderzają na powracających z łupami i jasyrem Tatarów i gromią ich na głowę pod Kaniowem i Czerkasami, uwalniając przytem — według kronikarzy — 80.000 jeńców z jasyru.

W pięć lat po zwycięstwie kaniowskiem (1532 r.) obległ Daszkowicz chan tatarski Sedet-Girej w jego zamku w Czerkasach, mając oprócz ordy 50 dział i 1500 janczarów tureckich. Oblegał zamek miesiąc, szturmując 13 dni, lecz wobec bohaterkiej obrony musiał odstąpić z niczem. Ostafi Daszkiewicz, okryty chwałą, był wtedy na ustach całej ówczesnej Polski i otrzymał od króla Krzyczew i Cieciersko za Dnieprem. Turcy i Tatarzy, nie mogąc mu się przeciwstawić w polu, zanosili na niego oszczerze skargi do króla polskiego.

Wobec tych skarg wezwał go król w 1533 r. na sejm koronny w Piotrkowie, aby się usprawiedliwił. Na sejmie wysłuchał Daszkiewicz najpierw lisich skarg, poczem zabrał głos, przedstawiając stosunki, panujące na Kresach ukraińskich. Pokazał posłom wielkie kule działowe, którymi przed rokiem Turcy ostrzeliwali zamek czerkaski i doczekał się wkońcu podziękującej sejmowi za wytrwałą obronę. Kiedy zaś na radzie sejmowej zapytano Ostafieja Daszkiewicza (tak go nazywa kronikarz Bielski), jakby należało temu zapobiec, aby tatarskie najazdy na polskich Kresach szkód i strat nie czyniły, radził: utrzymywać stale na linii Dniepru 2.000 zorganizowanego z niżowców wojska, któreby przy wykorzystaniu czajek, przepraw Tatarom broniło; dodać temu wojsku kilkaset stałej jazdy, którąby obrońcom Dniepru zapewniła łączność, wywiad i dostarczanie żywności; zakładać na ostrowach (wyspach) dniewprowych zamki warowne, osadzać je stałymi

załogami i pozwolić koło nich budować się miastom.

Był to — jak widzimy — oparty na wieloletnich doświadczeniach zasłużonego obrońcy granic ukraińskich plan stworzenia jakby specjalnego korpusu ochrony pogranicza. Było to sformułowanie jasne wobec całego sejmu przez kresowca — praktyka polityki, jaką Polska powinna była względem Kresów południowo-wschodnich prowadzić w przeciwstawieniu do tej, jaką dotychczas dorywczo prowadziła i jaką w przyszłości, niestety — także dorywczo tylko, stosować miała. Obrona bierna, tylko przy pomocy środków bardzo niepewnych (słabych hufców nadwornych albo pospolitego ruszenia), nie wystarczała. Potrzebna była w interesie państwa, jego rozwoju i przyszłości, akcja zaczepna (obrona czynna), wojna prawidłowa z Krymem, którąby całe побереże czarnomorskie, od Perekopu do Kilji, oddała w ręce Rzeczypospolitej. Istotnie bowiem stosowana dotychczas obrona podjazdowa, niemal codzienna, była niewystarczająca, gdyż powstrzymywała nieprzyjaciela a jakiś czas, ale go nie obezwładniała i nie niszczyła.

Podobał się wszystkim na sejmie ten projekt, ale do uchwał stanowczych nie doszło i posłowie nic nie przedsięwzięli. Nie dbano wówczas, jak i później, o siłę, jedność i spójność tego granicznego zrębu Rzeczypospolitej, która łatwo mogła się rozluźnić, jak to zresztą przyszłość pokazała.

Myśl obrony rubieży państwowych przy pomocy zorganizowanego wojskowo kozactwa rzucił narodowi Daszkiewicz po różnych szczęśliwych i pożytecznych próbach, które sam stosował w obronie. Chodziło mu zasadniczo o stworzenie stałej obrony ukraińskich granic od tatarstwa, nie zaś o organizację kozaczyzny jako takiej. Jednakowoż sprawy te wiązały się w praktyce jedna z drugą.

Rada ta, tak śmiało wygłoszona w sejmie, nie przebrzmiała jednak bez echa. Jakkolwiek brakło ustawy sejmowej, współcześni i następcy Daszkiewicza wcielali jego myśl w czyn, tembardziej, iż sama tylko linja zamków nie broniła dostatecznie od Tatarów, którzy je omijali, wpadając do Polski — i wyzyskanie Kozaków w „pocztach starościńskich” i chorągwiach nadwornych przyjęło się jako nowy środek walki. Spowodowało to siłą rzeczy późniejszy, nieprzewidywany rozrost kozaczyzny, jakoteż narodzenie się Siczy i kozaczyzny Niżowej. Nieujęcie od początku ruchu kozackiego w mocne i bezwzględne tryby wojskowe jak radził najdzielniejszy z ówczesnych obrońców i najlepszy znawca stosunków granicznych, lecz pozostawienie nadal tego problemu rozdrobnionej inicjatywie, poniekąd prywatnej, kresowych starostów i panów, pomściło się srodze już w sto lat później na Polsce.

Daszkiewicz, nie mogąc się doczekać realizacji owego korpusu ochrony pogranicza, pełni wiernie nadal swą ciężką służbę starosty na Kaniowie i Czerkasach. W r. 1538 kończy budowę nowego zamku warownego w Kaniowie, co przyczynia się bardzo do szybkiego skolonizowania się okolicy.

Jakie są dalsze losy życiowe tego strażnika południowej ściany Rzeczypospolitej, nie wiemy. Ginie jego nazwisko i postać w pomroce dziejowej, lecz żyje jeszcze długo i głośno jego głos, rzucony na sejmie piotrkowskim i jego taktyka obrony.

STAROSTA TREMBOWELSKO-BARSKI BERNARD PRETFICZ.

Na kresach ukraińskich, na tych „Dzikich polach”, była prawdziwa szkoła rycerska dla młodych żołnierzy, którzy tam ćwiczyli się w trudach wojennych, w wytrzymałości fizycznej i wytrzymałości nerwowej, i w tej ciągłej czynności umysłu, jakiej wymagała nieustająca podówczas wojna z przebiegłym i chytrym, złośliwym i dzikim Tatarzyńcem. Przykładowymi profesorami byli dla nich świetni wodzowie-obroncy granic z pośród hetmanów, starostów, namiestników, ich zastępców i pomocników. Ponad wszystkich jednak wybił się w swoim czasie talentem, zasługą i obywatelskim poświęceniem Bernard Pretficz. Czem dla południowo-wschodniej ściany granicznej Rzeczypospolitej był Ostafi Daszkowicz, tem dla południowej stał się Pretficz.

Bernard Pretficz (w współczesnych źródłach także Bernat Pretwic lub Pretficz), herbu Wczele, Ślązak, wyćwiczony na służbie u króla Zygmunta Starego, jako sekretarz, a później u hetmana polnego koronnego Sieniawskiego Mikołaja *) poznał Tatarów i ich sposoby wojowania, poznał stepy i zbadał szlaki tatarskie, zgłębił naturę i charakter tych dzikich sąsiadów Polski i stworzył swą, a tak skuteczną i stale później stosowaną taktykę zaczepno-obronną w zwalczaniu tatarstwa.

Wierny sługa króla Zygmunta I i królowej Bony, doniósł listownie królowej o nowym spisku Marcina Zborowskiego (który już za wicherzenia w wojnie kokoszej w r. 1537 postradał urząd podczaszego koronnego) przeciw królowi, na skutek czego król wytoczył proces Zborowskiemu na sejmie w Krakowie (1540), podczas którego Pretficz, wezwany tam na przesłuchanie, został przez nasłanników Zborowskiego postrzelony i był bliski śmierci. Do wyroku jednak nie doszło, a sejm późniejszy (1542) wstawiał się nawet u króla za Zborowskim, który też, zdaje się, wówczas uzyskał przebaczenie.

*) Późniejszy hetm. wielk. kor., wojewoda ruski, założyciel Brzeżan, obrońca Rusi, który rozgromił 12 napadów tatarskich, pobudował wiele warownych zamków na Rusi, gdzie trzymał w pogotowiu zbrojne chorągwie, zmarł w 1569 r., jako 80-letni starzec, na sejmie w Lublinie.

Na krótko przed tem zdarzeniem (1538 r.) królowa Bona zbudowała na Podolu tam, — gdzie dawniej istniało zniszczone przez Tatarów miasto Rów — forteczkę, którą nazwała Barem. Osadziła w niej swego namiestnika z załogą (300 żołnierzy pieszych i konnych) i opatrzyła ją w działa. Pretficzowi, jako wiernemu i już zasłużonemu rycerzowi kresowemu, powierzyła królowa namiestnictwo i dowództwo zamku i załogi w Barze, król zaś mianował go starostą barskim (między 1540 — 1542 r.).

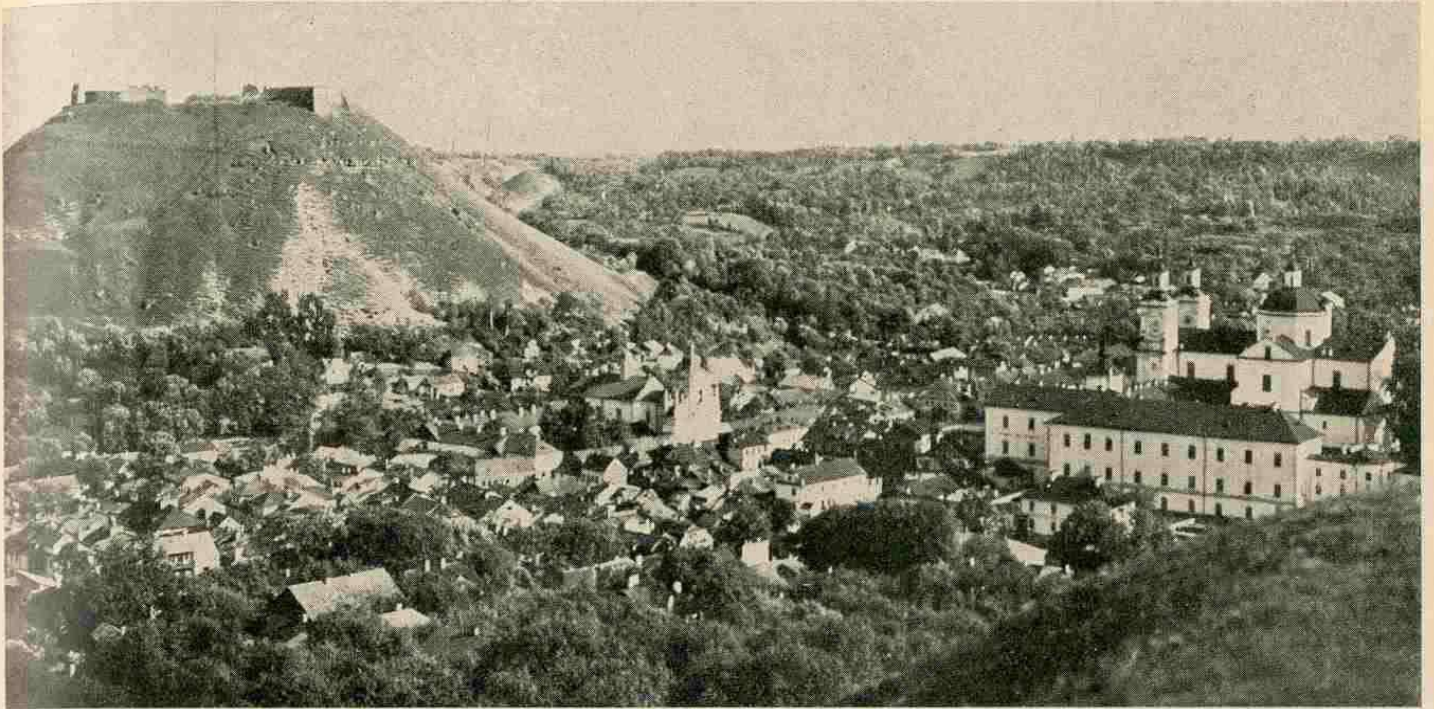
Osiadłszy w Barze, umiał skutecznie bronić granic Podola od Tatarów i na tem nowem stanowisku okazał się dzielnym żołnierzem i niezmordowanej wytrzymałości człowiekiem. Growiąc raz po raz Tatarów, tak zasłużył się ojczyźnie, iż Bielski (współczesny kronikarz-historyk) nazywa go „pamięci od nas wszech Polaków godnym”.

Bo też pomimo pokoju z sułtanem Solimaniem niespokojni zawsze Tatarzy wpadali coraz częściej w granice południowo-wschodnie, nieraz po 20 razy do roku. Polował tedy Pretficz na ulusy **) tatarskie, składające się od 200 i 300 do 60, 50, a nawet 40 stepowych rozbojników, rabusiów i złodziejów. Odznaczał się — jak pisze Rawita-Gawroński — zamiłowaniem do rzemiosła wojennego, rycerską bitnością, zdolnością orientacji, doskonałą znajomością terenu i sposobu walki z ordyńcami i wreszcie nieposzlakowaną uczciwością obywatelską. Mówiono o nim na Kresach — według Sokołowskiego, — że stoczył 70 zwycięskich zawsze potyczek z Tatarami, że pod jego opieką zakwitła i zaludniła się okolica Baru, a osadnik pod osłoną tego „muru polskiego” (jak w okolicy nazywano barską forteczkę) gospodarował i zażywał swobody. Poszło wówczas na Podolu w przysłowie, że „za czasów pana Pretficza spała od Tatar granica”. Królowa Bona łożyła i nie szczydziła pieniędzy na tę barską warownię, jak i na krzemieniecką. Wydatek jednak na jedną, jak i na drugą zwracał się dzięki rozumnej gospodarce i jeszcze rozumniejszej obronie Pretficza z procentem, jakkolwiek oba te zamki osadzone były prawie w paszczy nieprzyjaciół Krzyża świętego.

Siły wojskowe, jakimi Pretficz rozporządzał, były to lekkie poczty i chorągwie „służebne”. Wcielał do nich ochotników z ludności miejscowej, uzbroiwszy ich lekko — tatarskim zwyczajem, dobierając ludzi zapuszczających się w „kozactwo” (kozakowanie). Te jego lekkie poczty nazwał Bielski kozackimi, chociaż owo kozactwo i „kozakowanie” Pretficza nie miało wspólnego, prócz nazwy i charakteru walki, z samowolnem i łupieżczem kozakowa-

**) Obozy koczujących Tatarów.

ZABYTKI HISTORYCZNE WOŁYNIA



Widok ogólny Krzemieńca



Klasztor w Poczajowie



Stare domy w Lubomlu



Synagoga w Lubomlu



Zamek Wiśniowieckich w Wiśniowcu



Wnętrze nowej cerkwi w Poczajowie

niem różnych i różnej wielkości watah kozackich, niepodległych żadnej władzy i niekierowanych żadną ideą obrony kraju. O żołnierzach swoich Pretfcicz tak sam wyraża się, że „zmuszony doganiać Tatarów, począł miewać służebnika, którego dobierał sobie z pośród dobrze mu znanych, godnych, cnnych i dobrych synów Korony, zbierając ich koło siebie na zamku barskim i czyniąc na ich czele posługi królowi i Rzeczypospolitej”. Służebnicy ci Pretfcicza byli więc takimi, jak i u Daszkiewicza, obrońcami granic Rzeczypospolitej, ale nie rabusiami. Była więc różnica między kozakowaniem swawolnych Kozaków, a służebników Pretfcicza nietylko w metodzie walki, ile w celu. Jedni szli pod znakiem obrony narodowej, drudzy mieli na widoku rabunek i rozbój, a na celu zysk osobisty. Jedna grupa Kozaków, zorganizowana wojskowo, bez względu na narodowość, służyła do obrony państwa u starostów i ich zastępców; druga, łącząca się w kupy i samowolne watahy, uważała rozbój i rabunek jako przemysł wojenny, jako środek do życia, biorąc pod tym względem wzór z Tatarów.

Poczty Pretfcicza obowiązywały „chodząc w pole” ze starostą w razie potrzeby, tworząc bądź „roty” (chorągwie), bądź „straże polowe”. Lekko uzbrojeni zaś chodzili „w kozactwo” (ale — jak już powiedziano — nierabunkowe) ze starostami, jako urzędowymi obrońcami granic Rzeczypospolitej. Załogę barską stanowili zaś czeremisi.

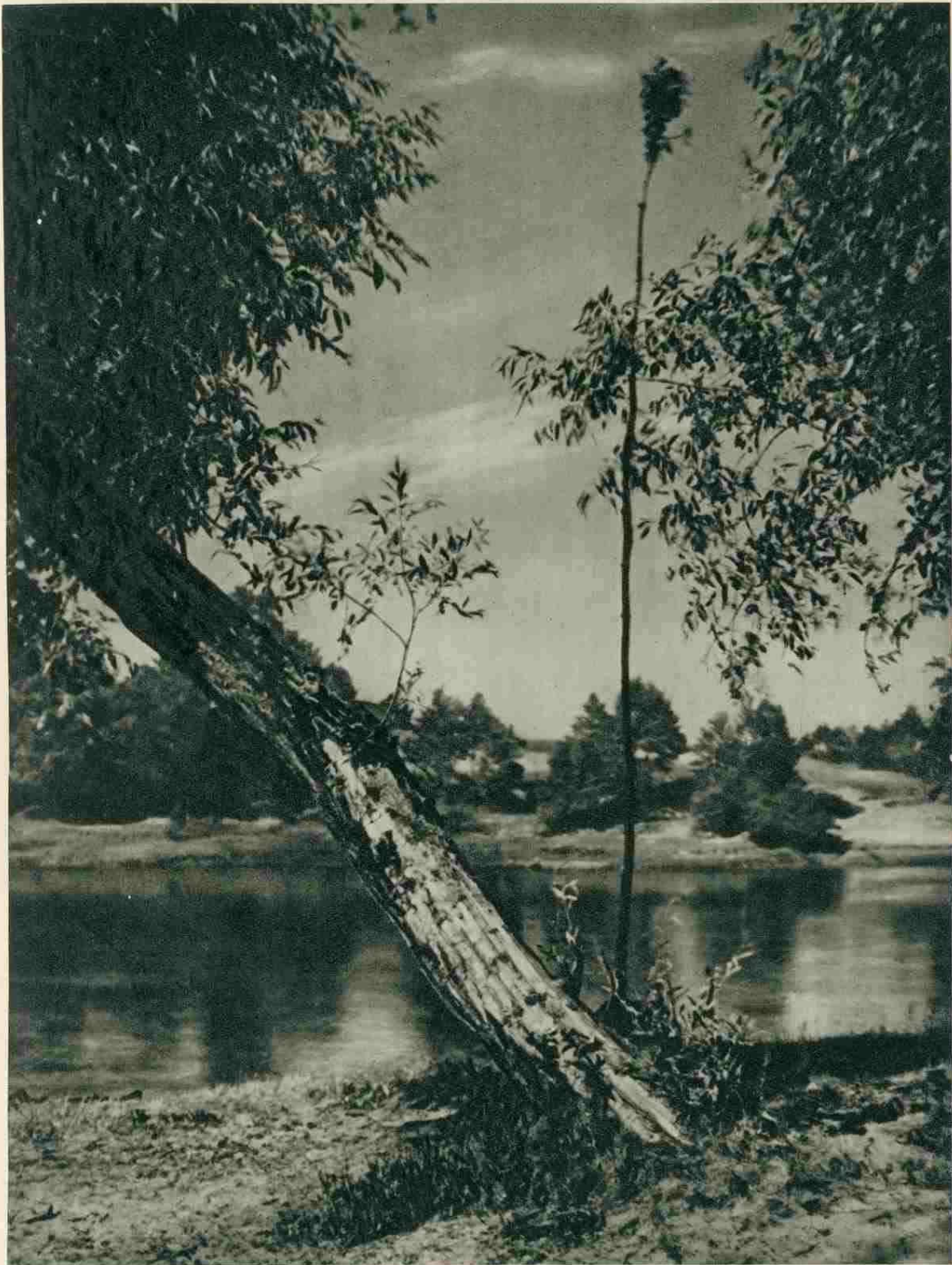
Zaraz też po objęciu stanowiska starosty, gdy w 1541 r. Tatarzy wielkie szkody wyrządzili koło Winnicy, puścił się Pretfcicz za nimi z garstką Kozaków i czeremisów aż po Oczaków. Lecz spóźnił się, bo już prowadzili brańców z jasyru na okręty. Nie mogąc ratować jeńców, zabrał w zakład żony i dzieci okolicznych Tatarów, odbił wtyle idące łupy i bez strat wrócił do domu.

W ciągu dziesięciu lat tak dał się we znaki Tatarom, że Turcy skargę na niego zanieśli do króla Zygmunta I-go, jakoby im i Tatarom wielkie szkody wyrządzał. Dzięki tej skardze pozostała nam ciekawa, jako dokument historyczny, obrona Pretfcicza na sejmie w 1550 r., z której widać, że wybór królowej Bony był trafny, a kraj pozyskał w staroście barskim dzielnego obrońcę. Wyjaśnia w niej wobec króla i sejmu znaczenie tych rzekomych szkód, oraz ich przyczyny. Otóż ordy — Budzacka i Dobrucka, opanowawszy pobrzeże morza Czarnego, wytworzyły czasami specjalny proceder rabunkowy, rodzaj prywatnych spółek, których zysk opierał się na rabunku w Polsce. Tajemnicę tych spółek, zarabiających na rabunku i sprzedaży jeńców polskich, wykrył dopiero sprytny obserwator, Bernard Pretfcicz, będący od zjawienia się na Podolu zawziętym prześladowcą i tępicielem band ta-

tarskich rabusiów. Proceder polegał na tem, że tureccy przedsiębiorcy z Oczakowa i Akermanu wypożyczali Tatarom, nie mającym własnych koni, specjalnie w tym celu trzymane swoje konie, i układali się z nimi, że po powrocie z łupami z Polski Tatarzy zwrócą im konie, połowę zdobyczy zapłacą za ich wypożyczenie, a drugą połowę zdobyczy będą mogli tymże Turkom sprzedać, naturalnie za cenę, jaką im ci z łaski dawali. Smakowało to jednym i drugim, gdyż łatwo się w ten sposób bogacili. Oczywiście Turcy wychodzili na tem lepiej, zwłaszcza, że nie ryzykowali w tym swego życia. Miał z tego dochody również i cesarz turecki, gdyż urzędy graniczne brały od każdego brańca, wiedzionego przez Tatarów w jasyr na teren turecki, jako myto, 600 asprów*), albo — jeżeli Tatar zdążył takiego brańca tuż za kordonem sprzedać — ściągano po 300 asprów od tego, co sprzedał, i od tego, co kupił. Takim sposobem wpływało do kasy sułtańskiej corocznie z myta w Oczakowie i Białogrodzie kilkaset tysięcy asprów. Dopiero kiedy Pretfcicz ze swojemi pocztami wziął się do nich, rzadko kiedy udawało im się uniknąć rozgromienia i wrócić z Polski bez guzów. W ten sposób i Turcy ponosili szkody i ubożeli, gdyż przepadały im konie, pożyczane Tatarom, które Pretfcicz stale odbierał. Tracili swoją połowę zdobyczy, jako opłatę za konie, jak również nie mieli zysku z odkupionej drugiej połowy zdobyczy, którą — jak wiadomo — kupowali według swojej woli tanio, zarabiając niemało w dalszym handlu. Te więc straty i szkody bezczelnie załączyli Turcy w rejestrze do skargi, wniesionej na Pretfcicza do króla, obejmując w nim właśnie te pożyczane konie, owce i woły, pochodzące z jasyru i wogóle przedmioty rabunku.

Ciekawa jest taktyka walki Pretfcicza z tymi Tatarami - rabusiami na tureckich koniach. Znamy ją właśnie z wspomnianej jego obrony na sejmie 1550 r. Mając do czynienia z nieprzyjacielem złośliwym, dzikim, nie spotykającym na dużej przestrzeni, — słabo zaludnionej i to koczowniczą ludnością, — żadnej zapory, pomykającym konno, uzbrojonym lekko w łuk, strzałę i szablę, wpadającym szybko na rabunek w głąb państwa polskiego i uciekającym jeszcze szybciej z łupem i jasyrem, musiał Pretfcicz dostosować swój system obrony do tego ich trybu napadania i umykania. Szukał tedy Tatarów na czele swej lekkiej jazdy w stepie, a niekiedy w samym Oczakowie i Białogrodzie (Akermanie), które były dla rabusiów tatarskich przytuliskiem, obroną i rynkiem zbytu jeńców polskich — gonił i bił. Tatarzy ci wpadali na rabunek w małych

*) Moneta turecka.



FOT. PIOTR ŚLEDZIEWSKI

WIECHA NA GRANICY LITEWSKIEJ POD DRUSKIENIKAMI

pocztach, ulusami zwanych, po 300-200 i mniej konnych. Dlatego trudno było w stepie trafić na ich ślad wobec licznych śladów stad dzikich koni, żubrów, jeleni. Bezkarne tedy „kradli ludzi”, rzucając postrach na okolicę, jakoby za nimi wkraczała większa armja Tatarów.

Hetmanowie, koronny i polny, widząc, że tych małych wypadów nie można się ustrzec ani band tatarskich dopaść i pobić na Braclawszczyźnie czy Kijowszczyźnie, postanowili gonić ich aż tam, gdzie się już nie ubezpieczali, a więc na linję zamków tureckich; — gonić póty, póki to jest możliwe i tam bić, gdzie się tylko da. Taką też taktykę stosował hetman polny i wojewoda bełzki, Sieniawski, ale częściej wyręczał się Pretfciczem, posyłając go wraz ze swemi i jego rotami służebnemi.

Pretfcicz chadzał w stepy na ich czele nie dlatego, aby się dosłużyć bogactwa (bo też nie dosłużył się go nigdy), ale aby dognać rabusiów, porazić, odbić im jasyr i łupy, a wreszcie zabrać im wszystkie konie. Stał się groźnym dla każdego nieprzyjaciela, a służba jego wydała ten skutek, że tam, gdzie były puste przestrzenie, poczęli osiadać ludzie i zakładać stałe sadyby.

Szlachetny, jak kryształ, Pretfcicz tłumaczył się na sejmie w 1550 r. w swjej dobroduszości i z tego, że gdy szło kilkaset (200—300) jazdy hetmańskiej lub jego w pogoni za Tatarami, to żywili się częściowo z odbitego jasyru, ale gdy wracano, muśiano brać żywność u osiedlającej się ludności i to przeważnie owce na strawę, jedną lub dwie na dziesięciu, jak kiedy było potrzeba. Jednak — wywodzi — nie było to krzywdą dla ludności, gdyż w miejsce tej jednej czy dwu owiec odbijano Tatarom kilkadziesiąt, a jeśliby nie udało się odbić, to było to tak niewiele w porównaniu do tych strat, jakie wyrządzali Tatarzy. Ile razy Pretfcicz zetknął się w tych pogoniach z Tatarami, zawsze im zabierał wszystkie konie. Świadczyło to o wielkiej przeczności obrońcy Kresów. Tatarzy wpadali tylko konno, a każdy z nich gnał co najmniej w dwa lub trzy konie, co im z jednej strony ułatwiała szybkość ruchu (przez przesiadanie się na luzaki), a z drugiej w powrocie uwożenie zdobyczy (przez objuczanie wolnych koni). Uchodząc z objuczonymi końmi, jechać musieli dużo wolniej, co dawało przewagę pościgom polskim. Pozbawienie ich więc koni nietylko ubożyło ich, ale i obezwładniało na przyszłość, bo odbierało im najważniejszą niejako broń i najsilniejszą zarazem pomoc w rabunkach.

Ażeby sobie zdać sprawę z zasług Pretfcicza w owych czasach, warto zapoznać się z wynikami jego działań pościgowych w pierwszym dziesięcioleciu starostowania na Barze. I tak: pobiwszy Tatarów Bieleka, wziął im 560 koni; na Czapczakleju dostało mu się też wiele tatarskich koni;

zapędziwszy się na „wirchowiny Berezańskie”, odbił 1000 koni; pod lasem Nerubajem pobił Tatarów i wziął wiele koni; goniąc znowu na wierzchowiny Berezańskie, pod samo gniazdo Tatarów, wziął 500 koni; „zasiękawszy Tatar na uchodach” na szlaku Oczakowskim, „dostało mu się 500 koni”, nad Widowem jeziorem zabrał 400 koni; pod Bałaklejem 100 koni; na szlakach kaniowskich, pobiwszy Tatarów, znów 450 koni. Jest to tylko rachunek z większych akcji; nie mało też koni przypadło w mniejszych potyczkach. Jeńców tatarskich odsyłał królowi i hetmanom.

Nie ustaje w mrówczej swjej pracy i po owym sejmie (1550 r.), na którym musiał się do pewnego stopnia usprawiedliwiać nie z win, ale właściwie z zasług. Snadź król i sejm poznali się na bezpodstawności i raczej bezczelności oskarżenia sułtańskiego, skoro po sejmie Pretfcicz został zaszczycony godnością starosty trembowelskiego. I nadal urzęduje w stepie zasadzki na rabusiów, „lega na szlaku”, „przejmuje szlak”, dniem zaczaja się po zaroślach i czaharach, nocą napada i odbiera łup, zdobyty w Polsce, wraz z końmi. Dbą o uzbrojenie zamków barskiego, trembowelskiego i innych. W 1550 r. zamek barski posiada 50 hakownic (działek) i 1120 półhakownic (muskietów); czeremisi Pretfcicza w Barze są uzbrojeni w przyłbice, obszyte zielonemi czapkami. Jego rota lekkokonna-kozacka służy na etacie wojsk kwarcianych na Podolu; w 1552 r. składa się z 200 wyborowych kozaków, uzbrojonych w pancerze, przyłbice, sahadaki, szable i rohatyny.

W r. 1561 umiera, ciesząc się uznaniem u króla, szacunkiem u współczesnych, a czią u swych żołnierzy. Kiedy go nie stało, pozostał jego system obrony, specjalna „taktyka pościgową Pretfcicza”. W ślady jego wstępuje syn, Jakób Pretfcicz, który dowodzi rotą kozacką w wojskach hetmana polnego koronnego Sieniawskiego Mikołaja na Podolu. Śladem Pretfciczowym chadzać poczęli Sieniawscy, Strusiowie, Herbutowie, książę Proński, Stanisław Zamojski, Potocki, Włodek, księżęta Wiśniowieccy, Zbarazcy, Zasławscy, Koreccy, Rożyńscy i wiele innej zacnej szlachty i nie mało ochotnej młodzieży za króla Zygmunta Augusta i później. A każdy z nich rzadko z pola schodził i — jak myśliwi, albo sam się wyprawiał, albo swe poczty i czeladź posyłał. Aż wreszcie szlaki zaczęły trawą zarastać i coraz trudniej przychodziło białogrodzkom czy oczakowskim Tatarom zapuszczać się w ziemie polskie. Za czem szedł pokój od strony tatarskiej.

Pretfcicz i Daszkiewicz, to imiona pełnych poświęcenia, zasług i wytrwania przodków naszego Korpusu Ochrony Pogranicza. Bataljony i szwadrony K. O. P. powinny współzawodniczyć między sobą wzorową służbą o ich szefostwo a strażnice o ich imię.

JÓZEF OLSZYNA-WILCZYŃSKI
gen. bryg.

HISTORYCZNA PRZESZŁOŚĆ WOŁYNIA

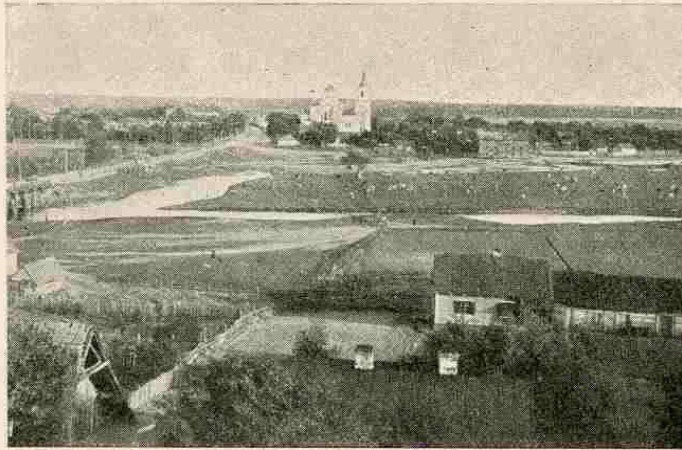
Jak to stwierdzają wykopywane na dzisiejszym Wołyniu monety greckie, bizantyńskie i arabskie, mieszkańcy tego kraju już w pierwszych wiekach po Chrystusie pozostawali w handlowych stosunkach z wędrownymi kupcami państwa wschodnio-rzymskiego i państw Małej Azji. Mieszkańców ówczesnego Wołynia zaliczyć bezsprzecznie należy do Antów, którą to nazwę, jako ogólną, nadają ówczesne źródła historyczne ludom dzisiejszej Polski i Rosji.

Obfitsze, późniejsze źródła historyczne stwierdzają, iż od wieku V-go po narodzeniu Chrystusa osiedlają się na tych ziemiach ludy słowiańskie, a między wiekami VI-VIII zaznacza się podział ich na plemiona, jakoteż związek tych plemion z krajami, które zamieszkiwały. I tak: na przestrzeniach od

Teterewa do Dniepru mieszkali Polanie, noszący to samo miano, co i zachodni Słowianie nad Wartą, a głównym grodem tego szczepu był od niepamiętnych czasów Kijów. Polesie kijowskie (dzisiejszy rejon Owrucza) zajmowali Drewlanie (Derewlanie), których głównym grodem był Korosteń. Jeszcze dalej na wschód sięgali Radymicze (nad Sożą) i Wiatycze (nad Oką), o których kronikarz Nestor pisze, że pochodzili z „Lachów” (od starosłowiańskiego słowa lach, lacha czyli polana, oznaczającego karczowisko po wypalonem lesie). Ówczesne zaś szczepy, zamieszkujące Wołyń, nazywały się początkowo rozmaicie, a to zależnie od rzek, nad którymi osiadły, a więc: w dorzeczu Bugu, od kraju Jadźwingów (dzisiejszego Podlasia) aż po Grody Czerwieńskie (w dzisiejszej Chełmszczyźnie), gospodarowali Bużanie; nad Styrem Łuczanie (od nich nazwa Łucka); a nad Turją Turyczanie, nad Horniem i Słuczą (aż do Turonu nad Prypecią),

stykając się już z Drewlanami i Polanami, żyli w swoich osadach Dulebowie, zwani także Duli-bami albo Dulebianami. Wszystkie te ludy od Bugu poza Słucz już w IX w. przyjęły wspólną nazwę Dulebów, zmieniając ją czasami na Wołynian.

Tych Dulebów zaliczono bezapelacyjnie do Słowian wschodnich, tak samo, jak kijowskich Polan, Radymiczów i Wiatyczów, pochodzących z Lachów i wiele sąsiednich im plemion, jakkolwiek sztuczny ten rozdział wymyślili późniejsi historycy. Utrzymuje się on niesłusznie do dnia dzisiejszego, prawie przez nikogo z uczonych niezaatakowany, a trudno, aby te plemiona upomniały się dzisiaj o swą przynależność do Słowian polskich. Jeden może tylko Nestor — jak gdyby

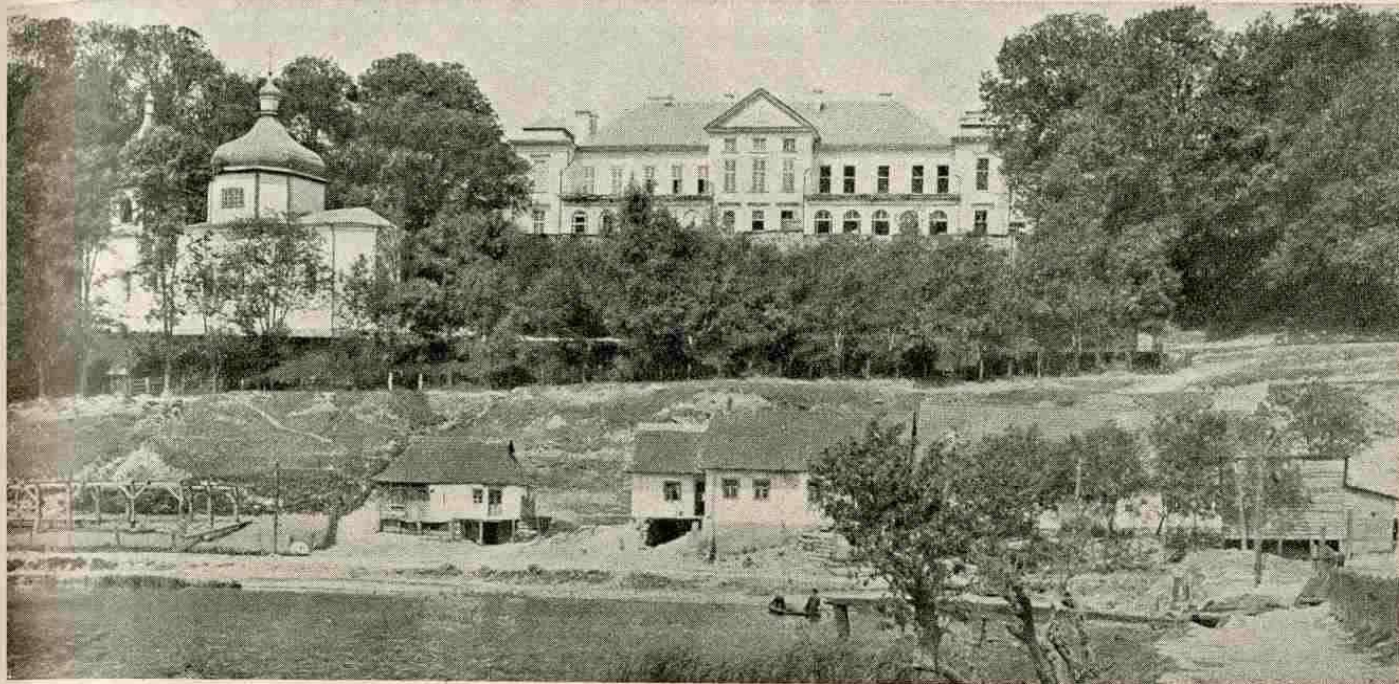


Ostróg — widok z zamku

for. H. Poddębski

dla stwierdzenia przed całym światem — wskazuje, iż ówczesne ludy słowiańskie brały swe nazwy od określenia charakteru ziem, na jakich osiadały, a skoro te nazwy powtarzają u siebie tak Słowianie polscy, jak i zachodni Słowianie południowo-ruscy, czyż może nauka historii zaprzeczyć tej przez Nestora przypieczętowanej prawdzie, t. j. wspólnocie ówczesnego ich języka? Nie należy więc definitywnie przesądzać, czy Dulebowie wołyńscy mają należeć do Słowian wschodnich (ruskich), czy też zachodnich (polskich). Niema bowiem żadnej podstawy naukowej do wykreślenia między nimi kategoriycznej granicy, tembardziej do szukania różnic między szczepami polskimi i ruskimi, jak to zresztą uczyniono później sztucznie i całkiem nieogłędnie.

Że szczepy wspomniane ciążyły od zamierzchłej przeszłości do swej macierzy Polski, wskazują dobitnie dalsze dzieje Dulebów, Polan kijowskich i mieszkańców Grodów Czerwieńskich. Dule-



Wisniowiec — zamek Wiśniowieckich

fol. H. Poddębski

bowie cierpieli bardzo już około 559 r. po Chr. wskutek najazdu mongolskich Awarów z Tartarii i długo pozostawali w ich niewoli — podobnie jak Słowianie południowo-wschodni żyli na łasce i niełasce innych najeźdźców, Chazarów i Bułgarów. Kiedy zaś najazdy te odpływają, a ludy słowiańskie zaczynają w IX w. organizować się w państwa i kiedy w braku rodów panujących (gdyż ich nie mogły posiadać w niewoli) zawrzały walki o podboje między szczepami, o władzę wewnątrz samych szczepów, prawie wszystkie krainy południowo-wschodniej Słowiańszczyzny stają się łupem nowego zaborcy z północy Normanda, Warega Ros'a, który narzucił swe nazwisko Rosa czyli Rusa całej podbitej przez siebie i swych następców Słowiańszczyźnie wschodniej. Szwedzko-normandzcy Warego-Rusowie, ze swym wodzem Rurykiem na czele, usadowiwszy się w Nowogrodzie Wielkim, wypadami podbijali wschodnią Słowiańszczyznę, narzucając jej nazwę Rusi.

Oleg Ros, następca Ruryka, wydarł w 880 r. Polanom naddnieprzańskim Kijów i ustanowił go stolicą grodów ruskich. Z tego obrotu rzeczy nie bardzo byli zadowoleni Słowianie wschodni, skoro Drowanie zabijają Igora, następcę Olega, i wcale nie kwapią się z przyjęciem chrześcijaństwa, które na Rusi

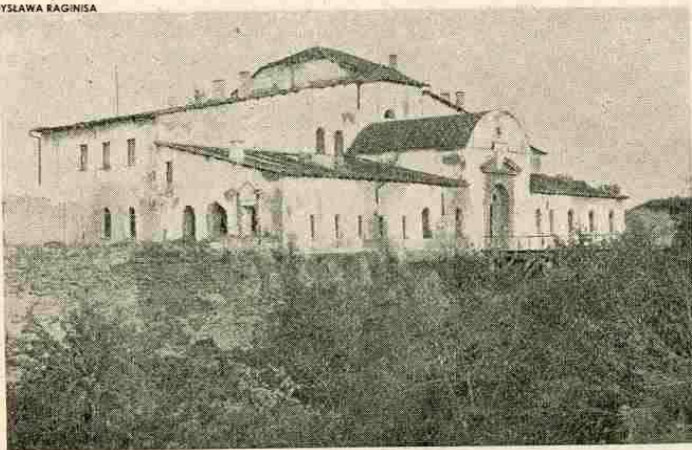
chciała już wprowadzić Olga, żona Igora. Udaje się to dopiero wnukowi Igora i Olgi, Włodzimierzowi Wielkiemu w 989 r.

Kraina Dulebów do końca X wieku pozostawała pod zwierzchnictwem Lachów, a więc zapewne już za Bolesława Chrobrego. Z początkiem XI stulecia, zapewne za Mieszka II, podbijają kraj Dulebów Rusowie i włączają go wraz z krainami Czerwieńskimi do dziedziny rodu Rurykowiczów. Włodzimierz Wielki, jeszcze za swego życia, dzieli zdobyte przez siebie ziemie między swych synów, z których dotychczasowe posiadłości Dulebów ze stolicą we Włodzimierzu (dzisiejszy Włodzimierz Wołyński nosił początkowo polską nazwę Ludomir'a i został dopiero albo przez Waregów albo przez Włodzimierza Wielkiego przezwany Włodzimierzem) otrzymuje Wsewołod i odtąd kraj ten, zaokrąglony częściami krain Bużan i Derewlan, występuje na widownię historyczną jako księstwo włodzimierskie. Po zgonie jednak Włodzimierza Wielkiego (1015 r.) księstwo włodzimierskie rozpada się, jak zresztą i inne dzielnice Rurykowiczów, na drobne księstwa, pomiędzy licznie rozrodzonych potomków tegoż księcia. Wywiązują się najazdy i walki pomiędzy udziałnymi książętami ruskimi, następują wojny

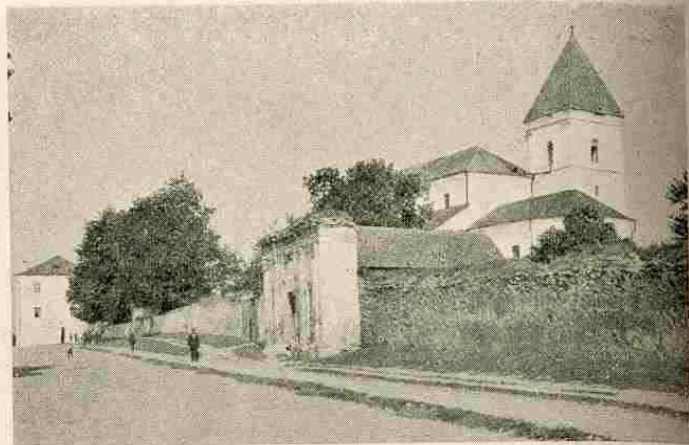


fol. H. Poddębski

Mury obronne zamku Lubomirskich w Dubnie



Dubno—zamek Lubomirskich fot. H. Poddębski



Klasztor w Dubnie fo. H. Poddębski

między Polakami i Rusinami, wreszcie napady dzikich Połowców.

Dopiero zjazd książąt ruskich w Wietyczach w 1100 r. ustalił podział dzielnic między rody i nadał wówczas dzielnemu i walecznemu księciu Dawidowi Igorowiczowi, wnukowi kijowskiego Jarosława, wschodnią część późniejszego Wołynia z rezydencją w Dorohobużu i zamki z miastami: Ostróg, Dubno, Zasław, Czartorysk, Busk (Brzesko). Na tem księstwie dorohobuskiem nastąpił po nim syn Wsewołod, któremu jednak zabrał tę dzielnicę Jarosław Światopelkiewicz, syn panującego księcia kijowskiego, po którym znów rządili synowie jego Hleb i Mścisław, zmarli obaj bezpotomnie. Księstwo to pozostaje do 1240 r. we władaniu książąt z rodziny kijowskiej, a więc w bezpośredniej styczności, a może i zależności od Kijowa.

Księstwo włodzimierskie natomiast więcej ciążyło ku Polsce. Wygaśnięcie miejscowej dynastji w sąsiednim księstwie halickim w końcu XII wieku doprowadziło do połączenia tego księstwa z księstwem włodzimierskim, którego władca, książę Roman Mścisławicz, utwierdził się na stolicy halicko-włodzimierskiej przy pomocy siły zbrojnej, umiając poskromić bunty bojarów halickich i zapewnić swemu państwu wszechstronny rozwój. Wychowany w Polsce, na dworze Kazimierza Sprawiedliwego, związany interesami politycznymi z Polską, ożeniony z katoliczką, utrzymywał przymerze z Polską, lgnął do kultury zachodniej i stamtąd ściągtał kolonistów do miast. Za panowania jego liczono na ziemi włodzimierskiej 40 grodów. Ale po śmierci tego rozumnego księcia podnosi głowę węgierska partja halickich bojarów, przy której pomocy król węgierski, Andrzej II, będąc opiekunem synów Romana—Daniela i Wasilki, przybiera tytuł króla „Galiciae et Lodomeriae (Vladimiriae)” zajmuje Halicz i koronuje w nim syna swego Kolomana na króla połączonych księstw halickiego i włodzimierskiego, nie przewidując z pewnością, że

kiedyś monarchini austriacka (Marja Teresa) wyzyska ten tytuł prawny, jako spadkobierczyni dynastycznych praw królów węgierskich, aby upozorować swój udział w rozbiórce Polski (1772 r.). Panowanie węgierskie w Haliczu trwa odtąd z przerwami aż po rok 1234.

Lata te są okresem przenikania i szerzenia się kultury zachodniej, promieniującej z Węgier, zwłaszcza na ziemi halickie, podczas gdy ziemia włodzimierska czerpała dobrodziejstwa zachodu po dawnemu z Polski. Ostatecznie książę Daniel Romanowicz, utwierdziwszy się mocno na księstwie włodzimierskim, podejmuje zaciętą walkę z Węgrami, zwracając się nawet do Rzymu o pomoc przeciw uzurpatorom, i wkońcu udaje mu się wyprzeć Węgrów i zjednoczyć znów państwo halicko-włodzimierskie.

Dzieje się to jednak, niestety, już w przeddzień straszliwej nawały najazdów tatarskich.

Bo oto po krwawej klęsce drużyn rycerstwa południowo-ruskiego w 1224 r. nad Kalką nawała tatarska Batu Chana, pustosząc wszystko, zmierza na Kijów, który w 1240 r. ulega przemocy Tatarów, a zwycięskie ich hordy nękają Kijowszczyznę, wyludniając ją w znacznym stopniu. W tym samym roku przychodzi kolej na księstwo halickie, a w 1241 r. na włodzimierskie. Ów straszny pierwszy najazd zniszczył na Wołyniu warowne grody tak, iż wiele z nich nie powstało już więcej, jak Peresopnica, Dorohobuż, Sapożyn, Szumsk, Tychomel i inne, zwłaszcza nadhoryńskie. Ostróg musiał także wówczas uciepieć, gdyż w XIII wieku jest mało znaczącym grodem. W Międzyrzeczu Ostrogskim zagon tatarski wyciął w pień zakonników, mających swój klasztor wśród borów. Chan Batu, zdobywszy i spustoszywszy ziemię halicką i włodzimierską ze stolicami, uzależnił państwo Daniela od swej władzy i woli. Za cenę hołdu i haraczu pozostawił władzę Danielowi, który uznając zwierzchnictwo Ordy tatarskiej, znosi się potajemnie z Polską, Węgrami i papieżem w celu



Zamek w Ostrogu

fol. H. Poddębski



Baszta tatarska w Ostrogu

fol. H. Poddębski

stworzenia chrześcijańskiej ligi do walki z Tatarami, proponując papieżowi za pomoc w walce przyjęcie unji z kościołem rzymskim. Papież Innocenty IV przysłał Danielowi w 1252 r. królewską koronę, lecz nie mógł mu dostarczyć pomocy i Daniel musi trwać w uległości wobec Tatarów, aż marzenia jego o wyzwoleniu przebrała śmierć (1264 r.).

Państwo halicko-włodzimierskie w niewoli tatarskiej chyli się szybko ku upadkowi. Namieśnik chana Kipczaku, Burundaj, nakazuje w 1254 roku jeszcze Danielowi i synowi jego Wasilce zniszczyć i spalić resztę najpiękniejszych grodów warownych. Wasilko burzy w 1254 r. warownie: Łuck, Włodzimierz i Krzemieniec, a w księstwie halickim Lwów i Daniłów. Kraje Daniela, straciwszy teraz spójnię z Kijowem, ciągną odtąd już stale ku zachodowi i Polsce. Pod wpływem i opieką Polski idzie na bliski wschód kolonizacja, a rzadziej tylko i czasami z Litwy i Węgier. Od tego też okresu datuje się silny wpływ polskości na Halic i Wołyń.

Potomkowie Daniela rządzą w czasie niewoli tatarskiej, próbując zaokrąglić swoje hołdownicze państwo kosztem Litwy, Węgier i Polski, lecz bez powodzenia, aż wreszcie wymierają bezpotomnie w początkach XIV wieku.

Od pierwszego najazdu Tatarów rozpoczyna się brzemienny w klęski okres kilku wieków na tych ziemiach, które stworzyły później powszechnie znane południowo-wschodnie przedmurze Polski. Dzieje tych ziem, czyli Wołynia, Ukrainy i Podola to prawie, że najkrwawsze odtąd dzieje Polski. A dzieje te, to odparcie 91 najazdów tatarskich, to cały szereg niemniej wynoszących w sumie najazdów tureckich, kozackich, moskiewskich i wołoskich, to ustawiczne napastowanie i niszczenie tych ziem przez dzikie hordy i obrona ich krwawa, lecz wytrwała przez polskie rycerstwo, to łańcuch zapasów i zmagañ osadnictwa i kultury polskiej z najazdami i jasytami barbarzyńców wschodu, Polska wstępowała

zpowrotem w dziedziny Polan naddnieprzańskich i kiedy od wschodu miały uderzać tylko napady, mordy i pożogi, niosła tam z zachodu praworządność, opiekę i twórczość pracy. Wołyń stanął odtąd na tak zwanym „trzecim szlaku” napadów tatarskich. Ten szlak ukraińsko-wołyński, zwany też przez historyków „czarnym szlakiem,” „szpakowym” lub wreszcie „hetmańskim”, wiódł z Krymu czy Kipczaku przez wieś Rosołowce nad Słuczą na Ostrog i mierzył w serce Polski, którego jednak nigdy nie osiągnął, od 1241 r. aż po 1683 r.

Już z końcem wieku 13-go Litwini usiłują wyprzeć Rurykowiczów i zawładnąć ich księstwami, biorąc tem samem walkę z Tatarami na swe barki. Książę Giedymin zagarnia w 1320 r. dzielnicę włodzimierską i osadza na niej przejściowo swego syna Lubarta, aby stąd w 1321 r. ruszyć na podbój Kijowszczyzny. Gdy się to dzieje na Wołyniu, bojarzy halicycy powołują na tron ksiączęgo Bolesława Trojdenowicza, księcia polsko-mazowieckiego, zięcia Giedymina, który obejmuje rządy Rusi Halickiej pod imieniem Jerzego II. Lecz niedługo potem trują go za zbyt gorące sympatje dla katolicyzmu i Polaków, chociaż ludność tej ziemi okazywała nieklamana radość z korzystnej przez to dla niej samej zmiany warunków życiowych. Nie obeszło się również bez rzezi katolików na Rusi halickiej (w 1340 r.), aż wdał się w te zamieszki krewny otrutego księcia, król polski Kazimierz Wielki, który jeszcze w tymże roku podejmuje wyprawę w celu uspokojenia krewkich Haliczian, zajmuje stolicę halicką Lwów i rozpoczyna podbój księstw halickiego i włodzimierskiego. W odpowiedzi na to bojarowie zapraszają na tron księcia litewskiego Lubarta Giedyminowicza. To powtórne panowanie Lubarta, rezydującego stale na Wołyniu, przypada na lata 1340—1349. W 1349 roku Kazimierz Wielki zajmuje całe księstwo halickie, a następnie część włodzimierskiego z Łuckiem i Włodzimierzem, zdobywa Chełm i Brześć,

ustanawiając wszędzie polskich starostów. Łuck jeno pozostawia Lubartowi jako lenno. W rok później książęta litewscy napadają znów na te posiadłości, pustoszą Lwów i opanowują zpowrotem Wołyń.

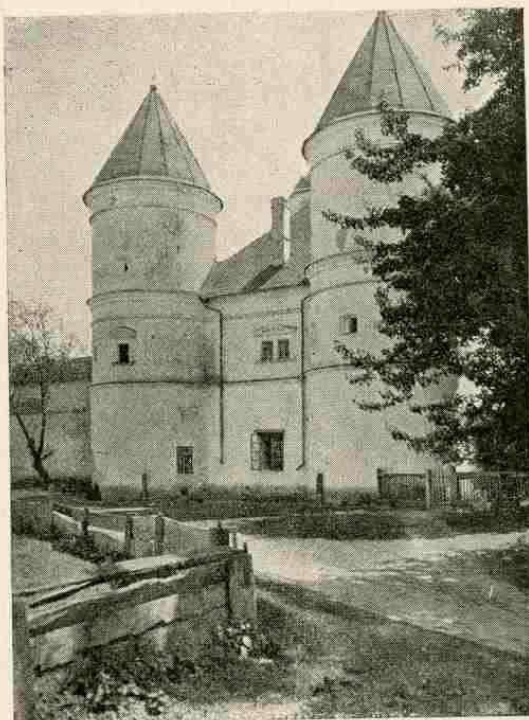
Do czasów Lubarta sięga odbudowa i początki rozwoju sławnych później zamków warownych na Wołyniu. Książę Daniel, protoplasta rodu Ostrogskich, posiadający Ostróg z nadania księcia Lubarta, wznosi na miejscu dawnego horodyszczu pierwsze warownie zamku ostrogskiego. Odbudowują się również i inne grody, wyprzedzając wskutek niegasnących wojen pod tym względem miasta. Nie ustają wyprawy Kazimierza Wielkiego. Wyprawa tegoż króla i Ludwika węgierskiego w 1352 r. spełza cprawda na niczem i Polska znużona wojną

przystaje na rozejm, zrzekając się w znacznej części nabytków z roku 1349. Król Kazimierz zatrzymał tylko ziemię lwowską. Litwa posiadała natomiast ziemie: włodzimierską, łucką, bełzką, chełmską i brzeską, czyli całe ówczesne księstwo włodzimierskie; księstwo halickie zaś, bez ziemi lwowskiej, stanowiło wspólną posiadłość polsko-węgierską (od 1387 r. wyłącznie polską). Długoletni spór króla Kazimierza z Litwą o te ziemie nie ustaje i kończy się dopiero traktatem w 1366 r., który oddaje w posiadanie Polsce: Włodzimierz z okręgami: horodelskim, lubomelskim, tuszyńskim, ratneńskim, koszyrskim i włuczyskim, oraz miasta: Krzemieniec, Peremył, Olesko, Bełz, Grobowiec, Chełm, Szczerbieszyn i Łopatyn. Przy Lubarcie zaś pozostały: ziemia łucka z miastami: Stożek, Daniłów, Zakamień, Szumsk, Ostróg, Połonne, Międzyboże i część Wołynia z miastami: Welły, Łubiaż, Czarny Brodek, Kamień i Mielnica. W ten sposób ziemie wołyńskie w znacznej swej części weszły w skład państwa litewsko-ruskiego, które gruntuje wielki książę litewski Olgiert po rozbiciu 1362 r. nad Sinemi Wodami (rzeką Siniuchą) Tatarów, zdobyciu na nich Kijowa, wyzwoleniu ostatecznym z ich niewoli ziem kijowskiej i podolskiej i po położeniu kresu ich panowaniu na Rusi. Ta czasowa przynależność do Litwy nie pozbawia jednak Wołynia odrębnego ustroju politycznego ani osobnych praw,

zblizonych więcej do polskich, aniżeli w innych, podbijanych przez Litwę dzielnicach ruskich.

Król Władysław Jagiełło, przyłączając aktem krewskim (1385) Litwę do Polski, wiąże wszystkie swoje litewsko-ruskie posiadłości, a więc i Wołyń, nazawsze z Polską. Wołyń jednakże wobec stanowiska raczej Litwinów, niż Wołynian, pozostaje w składzie Litwy, a nie Korony. Odtąd datuje się wierna i nieprzerwana służba Wołynia dla Polski i okres podnoszenia się tej ziemi w swoim rozwoju.

Wielki książę Witold, przywiódłszy z swej wyprawy za Wołgę (1395) jeńców Tatarów, darował ich część bratu Jagielle, który osiedlił ich w Koronie (Polsce), a między innymi w Ostrogu wołyńskim. Nadanie Ostroga kniaziowi Fedorowi Daniłowiczowi zatwierdza Jagiełło w 1386 r., mianując go namiestnikiem łuckim i dodając mu jeszcze Korzec, Zasław i Chapotyn z ziemiami, z warunkiem niesienia czynnej służby wojennej królowi i Koronie. Ten sam Fedko otrzymał jeszcze później dożywotnio od króla Jagielle zamki Krzemieniec i Bracław. Łuck obrał sobie jako ulubioną siedzibę wielki książę litewski Witold. Korzec, zamek silny i warowny, zbudowany przez księcia Buław'ta Olgierdowicza, który przyjął na chrzcie imię Konstantyna, stanowił stolicę tak zwanego księstwa koreckiego na Wołyniu, rządzonego przez wywodzący się od tegoż księcia sławny ród kniaziów Koreckich.



fol. H. Poddębski

Międzyrzec

Wiek XV jest niejako epoką chrztu wojennego Wołynia w służbie Polski. Pod Grunwaldem (1410) widzimy również chorągwie wołyńskie, przyczyniające się do wspólnego zwycięstwa. W buncie Świdrygiełły Wołyń nie brał udziału. Książę Witold więzi na zamku krzemienieckim przez 8 lat pojmanego Świdrygiełłę, uznając snadź Wołyń za pewny i spokojny. Rycerstwo wołyńskie, a przede wszystkim wybijające się na czoło rody Ostrogskich i Koreckich, posilkuje bezwąt্পienia króla Władysława w wyprawie pod Warnę (1444). Dlatego też pod ich nieobecność ucierpiał Wołyń dotkliwie od najazdu Tatarów (1443), którzy spustoszyli i spalili Ostróg i inne miasta z włościami. Zamek ostrogski musiał się zapewne ostać Tatarom, gdyż re-

zdujący w nim książę „Wasil-Bazyli”, zwany Krasnym (syn Fedora), przyjaciel Witołda, zbudował około 1440 roku obszerne fortyfikacje w Ostrogu. Dzielnym ten książę pobudował prócz tego kilka obronnych fortec na Wołyniu, jak Zasław, odnowił stare zamki, jak np. Dubno i przy pomocy tych zamków i swych hufców zasłaniał Wołyń przed Tatarami. Po klęsce warneńskiej ofiarowali Polacy koronę w ks. lit. Kazimierzowi Jagiellończykowi, żądając od niego przyłączenia Wołynia i Podola do Polski, lecz panowie litewscy, godząc się na koronację Kazimierza, odebrali od niego przysięgę, iż jako król polski uznaje Wołyń i Podole za posiadłości Litwy. Spory o posiadanie tych prowincji między panami polskimi a litewskimi trwają nadal.

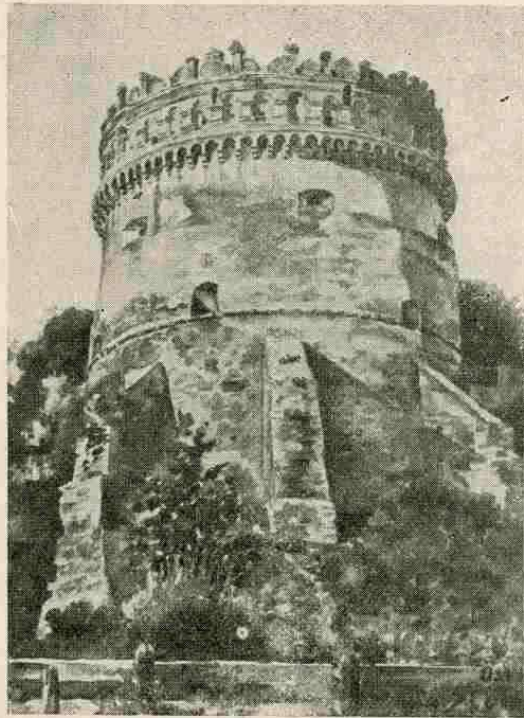
W drugiej połowie XV wieku staje się Wołyń, Ostrog i jego najszlachetniejszy dziedzic chwałą i ozdobą Polski. Konstantyn ks. Ostrogski, urodzony w 1436 r., wnuk Wasila Krasnego (a bratanek księcia Juryj'a, który daje początek sławnemu rodowi książąt Zasławskich), podnosi splendor rodu, miasta i zamku dziedzicznego Ostroga i urasta do wyżyny najświetniejszego bohatera polskiego Wołynia. Ostrog, którego początki giną w mroku doby przedhistorycznej, powstał w okolicy, która do dnia dzisiejszego posiada osady o starostwianich nazwach, jak miasteczko Lachowce, wsie Duliby, Polany, Lachów, Polachowa i t. p. Nestor wymienia go już pod 1100 r.

pod nazwą Ostrohobór, jako miasto z opalisanym zamkiem. Zamek ten, odbudowany przez Daniela ks. Ostrogskiego, rozszerzył i wzmocnił ks. Wasil Krasny, a do wysokiego znaczenia podniósł go książę Konstantyn Iwanowicz Ostrogski, który młodość swą spędził na walkach z Tatarami i Moskwą na pograniczach wschodnich. Towarzyszył swemu ojcu, Iwanowi Pobożnemu, gromiącemu niejednokrotnie Tatarów (1453 pod Trembowłą i pod Krasnowem). Stawszy się głośnym przez swe bohaterskie czyny, zostaje w 1498 r. hetmanem wielkim litewskim. W roku tym za jego staraniem przeistoczono wieś Dubno w miasto. Najświetniejszymi czynami wojennymi wsławia się książę Konstantyn w XVI w. W 1504 r. bije na głowę Tatarów pod Kleckiem,

którzy w odwrocie napadają w samą rezurekcję na prastary zamek Hubków (w pobliżu dzisiejszego Ludwipola, naówczas jeszcze wsi, zwanej Siędliszczce) i obracają zamek i miasteczko w perzynę. Po zwycięstwie kleckim zażywa Wołyń trochę pokoju, co wpływa dodatnio na jego rozwój. Król Zygmunt I Stary za wielkie zasługi ks. Konstantyna zwalnia w 1509 r. na wieczne czasy księcia i bojarów, osiadłych w Ostrogu, Dubnie i innych miastach od „wołowszczyzny”. Słynną podówczas — jak zresztą i zawsze — na Wołyniu była hodowla wołów, od której płacono podatek do skarbu, zwany wołowszczyzną; stąd też pochodzi i nazwa Wołynia, rozpowszechniająca się już od czasów Jagiellów.

Nie ustaje hetman wielki litewski w walce z Tatarami, odsuwając pola bitew daleko od granic wołyńskich. W 1508 r. gromi ich pod Słuckiem, a w 1512 r. pod Wiszniowcem. Jeńców Tatarów osadza w Ostrogu na przedmieściu Zarwańskim (dziś ulica Tatarska). Odtąd też stanowią oni stale nadworną chorągiew ks. Ostrogskich, służąc Rzeczypospolitej w wielu potrzebach aż do końca XVIII wieku. Król Zygmunt I nadaje ks. Konstantemu w 1514 r. starożytne miasto Dorohobuż, obsypuje go godnościami marszałka ziemi wołyńskiej, wojewody trockiego, kasztelana wileńskiego i namiestnika królewskiego na polskiej Rusi z prawami mianowania wódków ruskich i nadawania pustych ziem w województwach braclawskim i wołyńskim. Lata swej starości poświęca ks. Konstanty rozbudowie swojej ojcowizny; zakłada miasta Zwiahel, Konstantynów (Starokonstantynów) i powiększa Dubno, budując przy nich obronne zamki, zakłada i buduje w 1525 r. Konstantynów, jako zamek warowny do obrony kraju od najazdów tatarskich na samym „czarnym szlaku”. W Ostrogu wykańcza obronne mury i baszty zamku i miasta, w których też pełen zasług i chwały, jakoteż wdzięczności Wołynian, zamyka oczy w 1533 r.

Dzień 26 maja 1569 r. jest dla Wołynia epokowym. Oto na sejmie w Lublinie, w czasie którego wołyńscy magnaci: Czartoryscy, Ostrogscy, Koreccy, Zasławscy, Wiśniowieccy, Zbarazcy i Wołłowicze (wszystko to rody wojowniczych



Z akwareli St. Błońskiego

Baszta zachodnia w Ostrogu

obrońców kresowych), przyczyniają się do zrealizowania pamiętnej Unji Lubelskiej, król polski Zygmunt August wciela Wołyń do Korony „przywilejem przywrócenia Ziemi Wołyńskiej do Królestwa Polskiego” i przybiera do swych tytułów, obok W. Ks. Litewskiego, osobny tytuł księcia wołyńskiego. Podobnym przywilejem z 5.IV.1569 na prośby Wołynian przyłączono do Korony Kijowszczyznę. Odtąd datuje się powołanie do życia województwa wołyńskiego, którego pierwszym wojewodą po Unji Lubelskiej został Aleksander ks. Czartoryski.

Z dwóch synów hetmana Ostrogi starszy Ilja, ojciec słynnej, pięknej, ale nieszczęśliwej „Halszki z Ostroga”, odziedziczył Ostróg i Równe z przyległościami; młodszy Konstantyn Wasil — Dubno z przyległościami. Ze śmiercią Ilji w 1539 r. rozpoczyna się głośna naówczas w całej Polsce walka o jego majątki, przypadające młodocianej Halszce, których jednak stryj Wasil, niesłusznie przez niektórych historyków posadzany o chciwość, nie pozwala rozdrapać ani wyrwać z ręki swojego, tak sławnego, rodu. Książ Konstantyn Wasil, wojewoda kijowski od 1560 r., otrzymuje wreszcie w zapisie od Halszki cały jej majątek, a zapis ten potwierdza król Stefan Batory. Jest to godny syn wielkiego ojca. W 1569 r. jest gorącym zwolennikiem Unji Lubelskiej. Wspiera na elekcji Stefana Batorego i walczy pod nim z synami w 1579 r. przeciw Moskwie. Dzielnie gromił Tatarów w kilkunastu bitwach i odpiera w 1572, 1573 i 1578 r. nowe napady na Ostróg. Zakłada w 1570 r. miasto Bazalję nad Słuczą, odbudowuje prawie cały Wołyń po najazdach pohańców, stawia szkoły, klasztory, świątynie i pierwszą na Wołyniu drukarnię w Ostrogu (1580). Dzięki umiejętnej gospodarce dochodzi do wielkich bogactw. Dobra jego na Wołyniu i dalej położone obejmowały wtenczas 80 miast i 2760 siół. Mieszkał i rezydował w Ostrogu, broniąc



Międzyrzec — klasztor

fol. H. Poddębski

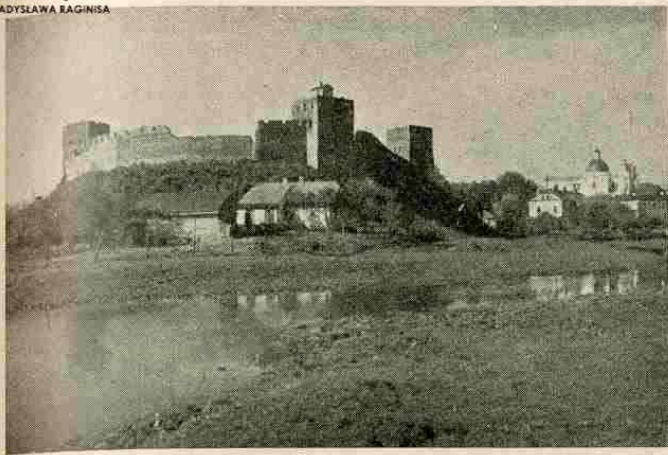


Międzyrzec — baszta

fol. H. Poddębski

go jak oka w głowie od Tatarów. Gabryel Hojski, dziedzic Huszczy (dziś Hoszczy) na Wołyniu, kasztelan kijowski, biegły w naukach i zagorzały arjanin (sprowadził swych współwyznawców do Hoszczy), marszałkował stale przy stole ks. Wasila w Ostrogu, biorąc za to 72.000 ówczesnych złotych rocznego honorarjum. Niejaki Castaliani krzewił arjanizm na Podlasiu i Wołyniu przy poparciu Jana Kiszki, zięcia ks. Wasila, a sam ks. Wasil tolerował arjan i innych dyssydentów, pomagając im nieraz we wznoszeniu czy odbudowie świątyń, chociaż sam budował i odnawiał wiele chrześcijańskich. Złoty wiek Zygmuntoński w Ostrogu i na Wołyniu wiele zawdzięczał ks. Wasilowi, który zmarł 1608 r., dzieląc jeszcze za życia swe majątki między synów. Aleksander, wojewoda wołyński, rezydujący w Starym Konstantynowie, sławny już za życia ojca niejednokrotną obroną przed Tatarami rozwijającego się świetnie Ostroga, otrzymał w tym podziale: połdn.-wsch. część miasta Ostroga za Wilją (t. zw. Nowe Miasto), Równe, Satyów, Zwiachel, Połonne, Lubar, Ostropol i inne włości na wschód za Wilją, ku Zaslawiu i Podolu; Janusz, słynny już w 1577 r. pobiciem na głowę Tatarów pod Dubnem i w 1593 zwycięstwem nad kozakami [Kosińskiego pod Żytomierzem, rezydujący za życia ojca w Dubnie, odziedziczył drugą połowę miasta Ostroga z zamkiem, Dubno, Starokonstantynów, Bazalję, Stepań i ziemie na zachód od Wilji.

Obok Ostroga i Ostrogskich wybija się w tym czasie również Korzec i jego właściciele Koreccy. Korzec nad Korczykiem (niegdyś Korczeski nad Kurczykiem) wydał rycerskiego wojewodę wołyńskiego, księcia Bohdana Federowicza Koreckiego, dzielnego pogromcę Turków i Tatarów, będącego postrachem najeźdźców, który na czele tylko własnych wojsk nadwornych pobił Tatarów na głowę pod Oczakowem, rzucając popłoch na cały Krym. Waleczność i męstwo



Zamek w Łucku — widok od Styru fot. H. Poddębski

kniazia w bitwie pod Ufą wychwala sam Zygmunt August.

Początek XVII wieku jest jeszcze dalszym ciągiem złotego okresu Wołynia. Koloniści mazurscy osiadają, jako budnicy, w lesistych a wyludnionych ciągłymi najezdami okolicach Wołynia i kijowskiego Polesia. W 1602 r. zostaje uruchomiona druga drukarnia na Wołyniu, przy tamtejszym monasterze, we wsi Dermaniu. W Międzyrzeczu Ostrogskim ks. Janusz rozbudowuje dwór i klasztor franciszkański. Klasztor przybiera charakter forteczki. W 1612 r. tenże książę zapisuje na ów klasztor dziesięciny z dochodów: Bielmaża, Hulczy, Mizocza, Zdołbicy, Hlińska, Dołbunowa (dziś Zdołbunowa) i Brodowa. Ks. Janusz Ostrogski, czując, iż zejdzie do grobu bez potomstwa męskiego, ustanawia w 1609 r. t. zw. ordynację ostrogską na korzyść swej córki, księżny Zasławskiej. Ordynacja ta jako czwarta z rządu w Polsce, zwana też później dubieńską od uważanego za jej stolicę Dubna. Ordynację tę czyli majorat zatwierdził sejm polski w 1618 r. ustawą, w myśl której właściciel ordynacji miał „wieczyście na każdą potrzebę wojenną Rzeczypospolitej dostawić na swój koszt 300 konnych i 300 pieszych żołnierzy pod komendę i władzę hetmańską i utrzymywać do obrony Wołynia i Podola zamki, zaopatrzone w załogi, broń i maszyny wojenne”. Ordynacja objęła zamki i miasta: Ostróg z Międzyrzeczem, Dubno, Stepań, Starokonstantynów, Bazalję, Krasilów, Czartorję, Hlińsk i inne, ogółem 24 miast i 592 wsie. Przewidujący kasztelan krakowski chciał w ten sposób zagwarantować utrzymanie w ręku jednego gospodarza całego tak świetnego dorobku kulturalnego swego rodu i zapewnić niezawodną obronę spuściznie praojców, a przez to Wołyniowi i Polsce. Milicja ordynacka (600 stalego żołnierza), składająca się z regimentu piechoty i dwu chorągwi („złotej” husarskiej i „bia-

łej” lekkiej), której dowódcą bywał każdorazowy komendant fortecy dubieńskiej w randze pułkownika, zapisała się chlubnie w dziejach obrony południowo-wschodniego węgła Rzeczypospolitej. Walczyła bohatersko w 1649 r. pod Korsuniem, Starokonstantynowem i Zborowem, 1651 r. pod Beresteczkiem, 1673 r. pod Chóćimem i Okopami św. Trójcy, 1683 r. pod Wiedniem, 1702 r. pod Starokonstantynowem, 1716 r. pod Kowalewem i jeszcze później, przechodząc w końcu na etat wojska Rzeczypospolitej.

Złowrogie dla Wołynia i jego wschodnio-południowego sąsiada zbliżały się lata. W 1616 r. straszna szarańcza, idąca od Kijowa i Kamieńca, nawiedziła Wołyń, niszcząc przez 2 tygodnie plony pól; pociągnęła nad Bug, gdzie ją dopiero zaskoczyła i pokonała zima. W 1617 r. sułtan tatarski Gałga z Kantimurzą wpadli niespodzianie na Wołyń, niszcząc, pałac i uprowadzając jasyr, przyczem najdotkliwiej ucierpiały okolice Zasławia, Bazalji, Starokonstantynowa, Korca, Ostroga i Łucka. Dopiero na wieść o odsieczy, jaką wiódł ks. Konstanty Ostrogski zamkniętemu w Ostrogu bratu, ks. Januszowi, rozpoczęli Tatarzy odwrót. W 1618 r. nowe zagony tatarskie zapuszczają się „czarnym szlakiem” pod Zasław, czyniąc nowe szkody i straty. W roku kłeski cecorskiej (1620) umiera książę Janusz Ostrogski, jako ostatni potomek po mieczu. Ordynacja dostaje się wnukowi Władysławowi ks. Zasławskiemu, a dziedzictwo brata Aleksandra, córce Annie Alojzji, żonie hetmana wielkiego litewskiego, Jana Karola Chodkiewicza. Wódz ten zajeżdza do swej młodocianej żony do Ostroga w czerwcu 1621 r., przed zwycięską wyprawą chocimską i tu obiera sobie bazę organizacyjną operacji przeciw Turkom, aby zrzadzeniem losu wrócić tu znowu po chwalebnej wiktoryi, ale w trumnie wiezionej przez wierne rotę w listopadzie tegoż roku, i spocząć w farnym kościele Ostroga. Nie przypuszczał

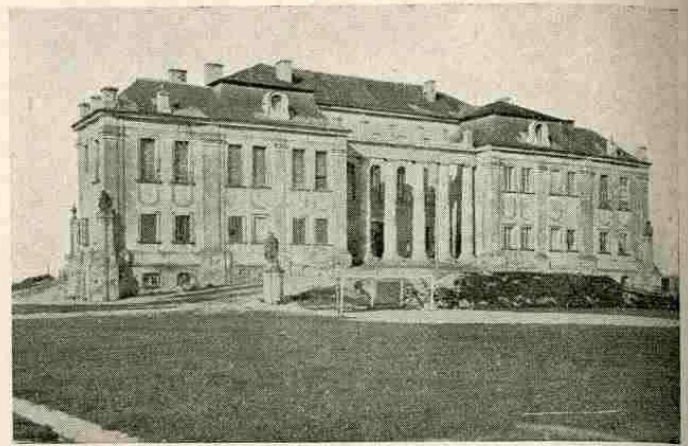


Zamek w Łucku fot. H. Poddębski



Poczajowska Ławra

fol. H. Poddębski



Zamek Lubomirskich w Równem

fol. H. Poddębski

wielki hetman, że przyjdzie mu spocząć tak blisko Korca, gniazda swego szwagra, ks. Joachima Koreckiego, który wychowywał się w jego twardej szkole, wojując przy jego boku i na czele licznych chorągwi, wystawionych własnym sumptem ku obronie kraju, stał nieustannie na straży od Tatarów. Nie stało już Ostrogskich, aby podtrzymać sławę oręża Chodkiewiczów i Żółkiewskich. Podjęli ten trud z koleji Koreccy, synowie Joachima; słynny w Polsce i Europie Samuel ks. Korecki, który długie lata wojował z wrogami wiary, aż wzięty powtórnie pod Cecorą do niewoli tureckiej, ginie w 1622 r. w Stambule, powieszony za żebro na haku, jako straszny wróg i pogromca Islamu — i nieodrodny jego brat Karol, który mścił się za brata, walcząc 1621 r. pod Chocimem na czele własnych ośmiu chorągwi nadwornych.

Nie oszczędziła Wołynia zawierucha wojen kozackich, do których województwo to nie dało się porwać pod krwawe chorągwie Chmielnickiego, stojąc wiernie przy Rzeczypospolitej. To wierne stanowisko Wołynia było źródłem wielu cierpień i nieszczęść, zadanych mu przez kozacką. Kozackie najazdy i spustoszenia poprzedził straszny mór i głód w 1638 r. na Wołyniu. Wojska Chmielnickiego dotarły na Wołyn w sierpniu 1644 r. i przeszły w okrucieństwach Tatarów. Wycinano zaskoczone załogi polskie, żydów, rodziny szlacheckie i mieszczan. Palono, burzono, niszczone i rabowano. Ofiarą rzezi i rabunków padły kolejno: Połonne, Zasław, Ostróg,

Starokonstantynów, Dubno, Włodzimierz, Łuck, Krzemieniec. Kozactwo hulało bezlitośnie, a do tych klęsk przyłączyły się jeszcze mór i szarańcza, która w tymże roku zniszczyła wszystkie zboża wołyńskie, a wkońcu rozpaczny głód. W r. 1649 nowe zagony kozackie nawiedzają jeszcze Wołyn. Dopiero regimentarz Jędrzej Firlej oczyścił okolice Ostroga i Zasławia od Kozaków i stanął obozem pod Zasławiem, ubezpieczając tę część kraju. W tymże roku mierzy się król Jan Kazimierz z Chmielnickim i Tatarami pod Zborowem,

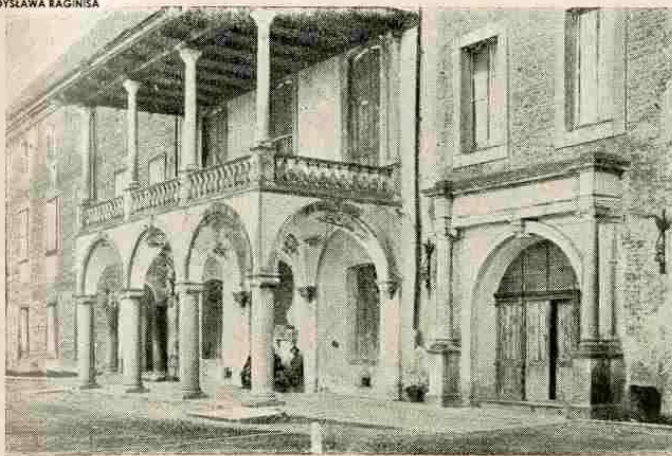
gdzie staje walecznie ks. Samuel Karol Korecki (syn Karola), znosząc kilkakrotnie oddzielne partje kozactwa. Ogłodzony i wyludniony Wołyn odetchnął dopiero przez 1650 r. i do Wielkanocy 1651-go od zniszczeń i wojny. Jakże takie ogniska życia ostały się jeno pod osłoną zamków. Obok Dubna, Korca i Ostroga najsilniejszą warownią na Wołyniu był wówczas zamek Hubków, odbudowany na



Katedra w Łucku

fol. H. Poddębski

nowo, gdzie rezydował również głoszny jego obrońca, starosta czerwonogrodzki Daniłowicz. W r. 1651, 30 czerwca sprawiedliwość Stwórcy kładzie na okolicznych polach wołyńskiego miasteczka Beresteczka koniec ranie Rzeczypospolitej, zadanej zdradziecką rebelją; Wołyn jest świadkiem polskiego zwycięstwa. Rok ten jest również dla Wołynia datą bezpotomnego zejścia ks. Samuela Karola Koreckiego, na którego pogrzebie w Korcu kruszono tarczę herbowa ks. Koreckich (Pogoń), tak świetnie przez blisko 300 lat zbrojną pierśią zasłaniających Wołyn



Olyka — portal zamku Radziwiłłów

fol. H. Poddębski



Zamek Radziwiłłów w Olyce

fol. H. Poddębski

i Ojczyznę. Niedługo po zwycięstwie beresteckiem zaznaje Wołyń dobrodziejstwa pokoju, bo już w 1663 r. (dwukrotnie) i 1654 r. zagony tatarsko-kozackie niepokoją Ostróg i okolice, ponawiając to samo jeszcze w latach 1660 i 1667 r. Po wojnach kozackich zaległy wszędzie popioły i rumowiska. Głośny dotychczas Ostróg podpadł bardzo i stał w ruinie.

W r. 1673 gaśnie z kolei trzeci sławny ród wołyński na bezdzietnym ordynacie, ks. Aleksandrze Zasławskim, którego bogactwo ówczesne obliczono w Polsce na 80 miast i miasteczek, 2760 wsi, 500 cugów, 700 koni jezdnych, 4000 kłaczy rozplodowych, 550 wielbłądów, 300 bawołów i t. d. Ordynacja ostrogska przeszła po jego śmierci w ręce Lubomirskich, a czasowo i Radziwiłłów, wreszcie w posiadanie Sanguszków, podczas gdy znów dziedzictwo ostrogskie Anny Alojzji z Ostrogskich Chodkiewiczowej przeszło w ręce Zamoyskich, potem Koniecpolskich, wreszcie Jabłonowskich.

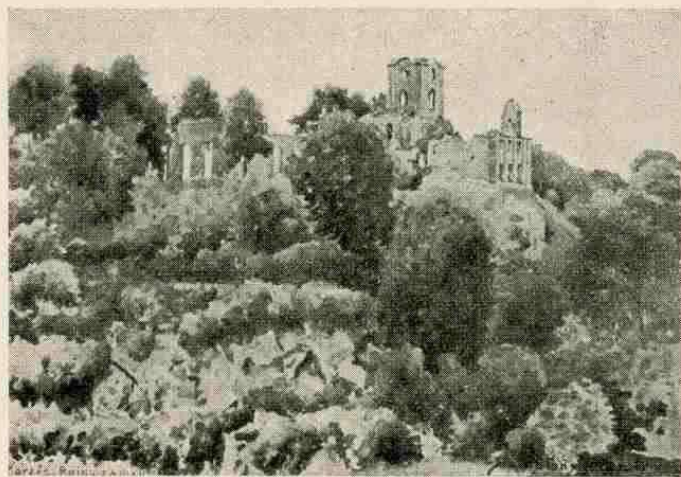
Na przełomie XVII i XVIII w. chylił się Wołyń — jak zresztą i cała Rzeczpospolita — ku upadkowi. Około 1703 r. wygasła prawie zupełnie w Ostrogu i na całym Wołyniu dyzunja i nastąpiła jedność kościoła (za łuckiego władcy Zabokrzyckiego), lecz późniejsze prześladowanie kozackie (w czasie rzezi humańskiej) i krótkowzroczne postępowanie władz z księżmi unickimi, którzy rzekomo mieli podżegać chłopstwo do buntów, rzuciły zpowrotem po 1789 r. wielką

ilość unitów wołyńskich w objęcia cerkwi prawosławnej.

W okresie wojen szwedzkich (Karola XII przeciw Sasom i Moskwie) wiele również zmian dokonało się na Wołyniu. W r. 1705 przeciągają przez Wołyń, dążące przeciw Szwedom, wojska rosyjskie, których część nawet zimuje na Wołyniu pod dowództwem hetmana kozackiego Mazepy, (pozostającego wówczas jeszcze w służbie rosyjskiej). W r. 1706 wkraczają na Wołyń znowe wojska szwedzkie z Karolem XII i królem Stanisławem Leszczyńskim, biorąc prowianty i kontrybucje, lecz wycofują się szybko pod naciskiem wkraczających powtórnie w przewadze Rosjan, którzy do lata 1707 r. kwaterują w Ostrogu i okolicy. Szwedzi zburzyli w 1708 r. zamek w Hubkowie, który nie powstał już z gruzów nigdy, a pobliskie Siedliszcze stało się rezydencją dziedziców spalonego Hubkowa i zostało w r. 1713

od imienia właścicielki, Ludwiki Ponińskiej, przewane Ludwipolem (w 1755 r. podniesiony do godności miasteczka). Dawny zameczek myśliwski Zygmunta Augusta, Głuche, położony wśród leśnych puszczy, między Ostrogiem a Dubnem, został w początkach XVIII w. od nazwiska dziedziczącej go starej rodziny wołyńskiej, Malińskich, przewany Nowo-Malinem.

W 1734 r. powstały zatargi o ordynację ostrogską między jej właścicielem ks. Januszem Sanguszką, który złamał prawo niepodziel-



Ruiny Zamku w Korcu

Z akwareli St. Błońskiego

Ordynacji ponadawał lub posprzedawał jej części, a rządem polskim (królem Augustem III). Ostatecznie król objął w posiadanie ordynację wobec złamania jej statutu przez Sanguszkę i nadał ją kanclerzowi koronnemu Janowi Małachowskiemu. Części zaś, wydzielone przez Sanguszkę, prowizorycznie uznał i wprowadził t. zw. podatek ordynacki na wojsko, rozłożony na wszystkich posiadaczy dóbr ordynackich. Nie ustawały pretensje Sanguszków do rządu i tronu z tego tytułu, aż wreszcie rozbiory Polski położyły kres tym sporom.

Tuż przed pierwszym rozbiorem grasowała na Wołyniu i Podolu (1770 r.) straszna zaraza morowa, której ofiarą padło 4000 ludzi zmarłych w Zaslawiu, a 800 w Dubnie.

W pierwszym rozbiore Polski (1772 r.) zabór rosyjski nie ogarnął jeszcze województwa wołyńskiego, które dzieliło się na trzy powiaty (łucki, włodzimierski i krzemieniecki), mając swą stolicę w Łucku. Natomiast Austria, uczestnicząca w tym rozbiore, zajęła swym zaborem południowy klin województwa wołyńskiego z miastami Brody i Podkamień. W 1781 r. Wołyń



Zamek Radziwiłłów w Olyce

Fot. H. Poddębski

witaił i żegnał po raz ostatni polskiego króla. Stanisław August wracał z Wiśniowca, gdzie spotkał się z w. ks. rosyjskim Pawłem i przejeżdżał przez Lubar, Łabuń, Zaslów, Ostróg, Dubno, Warkowice i Boremel do stolicy.

W 1792 r. Wołyń jest terenem niepomyślnej i smutnej w następstwach dla państwa polskiego kampanji polsko-rosyjskiej. Zaslów i Zieleńce (17.VI.1792) są świadkami bitew, stoczonych przez Kościuszkę; Połonne (przez ks. Józefa Poniatowskiego), Boruszkowce (15.VI) bohaterkiej śmierci Mohorta; Ostróg z Międzyrzeczem są obozem, w którym łączą się kolumny polskie ks. Józefa i Kościuszki i o których zdobycie Rosjanie toczą całodzienną bitwę artyleryjską, poczem Kościuszko (kwaterujący na zamku ostrogskim) odchodzi z arjergardą przez Mizocz na Dubno. Wojska moskiewskie zalewają ziemię wołyńskie i walczą następnie o linię Bugu, wyniszczając do reszty przemarszami i wybieraniem prowiantu i furazu zubożały ten kraj. — Wołyń żegna się w tym roku ze swymi pułkami polskimi (1-szym pułkiem Przedniej Straży im. królowej, Szefostwa gen. mjr. Krzysztofa Krawickiego z Mizocza i XIII-tym regimentem piechoty ordynacji ostrogskiej z Dubna), które były dalszym ciągiem milicji ordynackiej, wziętej w 1766 r. na etat Rzeczypospolitej, godnie broniły w tej kampanji swego Wołynia.

Wreszcie w 1793 r. nastąpił drugi rozbiór Polski. Wschodnia część Wołynia między Horyniem a Słuczą, ze Zviahlem i Dąbrowicą (koło Sarn) przypadła Rosji, która ten skrawek nazwała powiatem dąbrowickim. W insurekcji Kościuszkowskiej Wołyń brał entuzjastyczny udział, przyjmując radośnie oddziały wojska polskiego (wcielone gwałtem w szeregi armji rosyjskiej wskutek zaboru wschodnich prowincyj), dążące z nad Dniepru do Kościuszki, a następnie wystawiając szereg formacji powstańczych. Niestety, już w listopadzie 1794 r. prowadzono przez



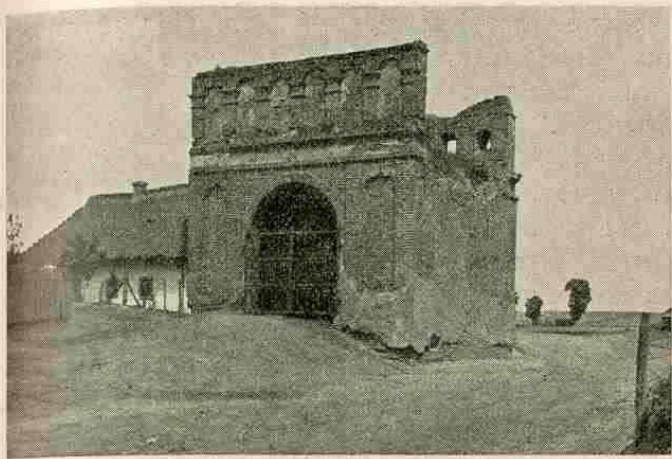
Ogólny widok Krzemieńca

Fot. H. Poddębski



Liceum w Krzemieńcu

Fot. H. Poddębski



for. H. Poddębski
Ruiny bramy miejskiej w Ołyce

Wołyń i Ostróg do Petersburga Kościuszkę i Niemcewicza, wziętych do niewoli pod Maciejowicami, a wraz z nimi kilka tysięcy polskich jeńców i wzięto zdobycze, jako to: arsenał wojenny z Warszawy, bibliotekę Załuskich, księgi metryk koronnych i całe archiwum królewskie. Kościuszko z Niemcewiczem mieli nocleg w kolegium pojezujskim. Wkrótce przez ten sam Ostróg prowadzono jako jeńca następcę Kościuszki, generała Tomasza Wawrzeckiego i wielu jeszcze innych.

Trzeci rozbiór Polski (1795) dał Rosji resztę Wołynia aż po Bug, przez który graniczyła z t. zw. Nową Galicją (Lubelskie i Kieleckie), przypadłą tegoż roku Austrii. Rosja wprowadza tu nową swą gospodarkę, organizuje gubernię wołyńską, którą dzieli na 12 powiatów: łucki, włodzimierski, krzemieniecki, dubieński, ostrogiński, kowelski, rówieński, zasławski, starokonstantynowski, zwiahelski, żytomierski i owrucki), zmienia nazwę Zwiáhla na Nowogród Wołyński, osadza w 1795 r. pierwszego biskupa prawosławnego w Żytomierzu i ustanawia rosyjskie władze powiatowe, które rozpoczęły urzędowanie w 1797 r.

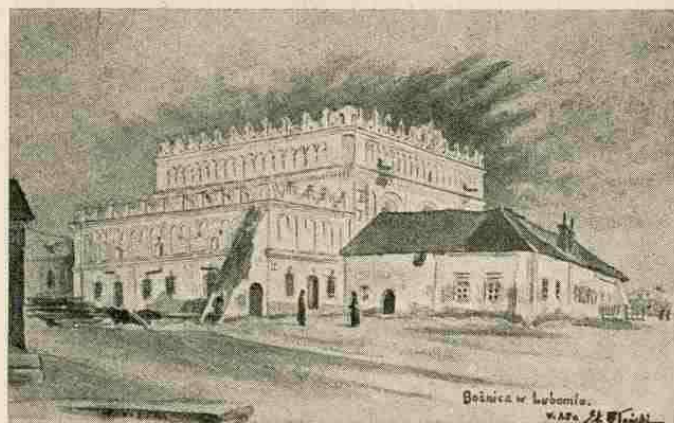
Wojny napoleońskie, budzący się czyn orężny Legjonów Dąbrowskiego i walczące o przedrozbiorową całość Polski Księstwo Warszawskie, nie zdołały poruszyć Wołynia, który nie mógł wziąć żadnego żywszego udziału w wojnie o upragnioną niepodległość, będąc terenem ciągłych przemarszów i kwaterunków licznych wojsk rosyjskich. Natomiast życie naukowe i kulturalne rozwija się i kwitnie w pierwszej połowie XIX-go stulecia na Wołyniu, a to dzięki Liceum Krzemienieckiemu, jego założycielowi i rektorowi, Tadeuszowi Czackiemu. Liceum Krzemienieckie, otwarte 1805 r., stało się wkrótce uniwersytetem całej dawnej polskiej Rusi i kuźnicą wielu dzielnych charakterów obywatelskich. Rząd rosyjski rozwiązał tę uczelnię dopiero w 1830 r. Krzemieniec był przez cały ten okres

głównym siedliskiem polskiego życia kulturalnego, naukowego i narodowego, zyskując sobie u współczesnych miano „Aten polskich”. W tymże samym czasie wzrasta znacznie liczba i jakość polskich szkół średnich i parafjalnych na Wołyniu, które kończą swój żywot również w 1830 r. Obok Krzemieńca pulsuje i wre życie polskie w Ostrogu i Korcu. Zwłaszcza Korzec szczyć się może ówczesnym swym dziedzicem, ks. Józefem Czartoryskim, świetnym gospodarzem, rolnikiem i administratorem swego klucza, założycielem głośniejszej fabryki porcelany koreckiej i szeregu innych fabryk i warsztatów w Korcu i okolicy. Dzięki niemu podniósł się dobrobyt Korca. Huczne życie towarzyskie Korca przetrwało śmierć ks. Czartoryskiego (1810), a po 1831 r. zanikło zupełnie. Pamiętnikarze zowią okres ten „złotym wiekiem Korca”.

Powstanie listopadowe 1830 r. odezwało się na Wołyniu żywym echem. Wołyń daje walczącej Polsce sławny pułk jazdy wołyńskiej pod wodzą walecznego pułkownika Karola Różyckiego, ruchliwy oddział partyzancki (t. zw. pułk wolnych kozaków wołyńskich) dowództwa Steckiego Ludwika, wreszcie Legję Wołyń-



for. H. Poddębski
Krzemieniec — góra Bony królowej



Z akwareli St. Błońskiego
Synagoga w Lubomlu

ską i Legję Litewsko-Wołyńską, które zasiliły w końcu powstania t. zw. Legję Litewsko-Ruską, do której je wcielono, a która z bojów wyniosła 17 krzyżów złotych i 8 srebrnych „Virtuti Militari”. Nie ziszczyły się jednak nadzieje, jakie Wołyńscy pokładali w wyprawie gen. Dwerneckiego, mającego wkroczyć na Wołyń i wznieść tam powstanie. Napływ bowiem przeważających sił rosyjskich na Wołyń sparaliżował to przedsięwzięcie, zwłaszcza po bitwie pod Boremlem. Rozmiary klęski, zadanej powstaniu na Wołyniu powiększyła jeszcze panująca w 1831 r. na cholera, przywleczona przez wojska rosyjskie.

Lata polistopadowe są ciężkie dla Wołynia. Są to bowiem lata klęsk żywiołowych, pożarów, chorób, nieurodzajów, a jednocześnie zamykania polskich szkół, zamiany klasztorów na cerkwie prawosławne, i wogóle duszenia życia polskiego. Prześladowania po powstaniowe, wpłynąć musiały na silny odruch narodowy ziemi wołyńskiej w czasie następnego powstania 1863/4 r. Oto generał Edmund Różycki (syn Karola), powstaje w Lubarze i ciągnie pod Połonne, gdzie na przedmieściach formuje wielki obóz powstańczy z Wołyńskimi, protestuje przeciw zaborom w bitwie pod Salichą, wreszcie naciśnięty przez przeważające siły wroga zmuszony zostaje do przejścia za kordon galicyjski. W Galicji jednak nie wypoczywa, lecz długo jeszcze zasila ochotnikami wołyńskimi powstanie w Lubelszczyźnie. Inny wódz powstania wołyńskiego, Władysław Ciechoński stacza pod Hińkowcami (między Sławutą i Szepetówką) walkę niefortunną z Moskalami. Niedobitki przedzierają się ku galicyjskiej granicy, a resztki tego oddziału, zebrane pod Dertką (pod miasteczkiem Kuniów) ponoszą krwawą klęskę. Podobną — jak w 1831 r. — nadzieję wzniewają wśród Polaków na Wołyniu, organizatorzy nowej wyprawy wołyńskiej, która rusza wreszcie z Galicji w 1864 r. pod dowództwem generała Wysockiego i pułkownika Horodyńskiego. W wyprawie tej bierze udział wielu synów Wołynia. Powstańcy uderzają na Radziwiłłów, lecz zostają rozbici. Klęska ta wywołuje żal, smutek i wątplenie. Upadek powstania zaznaczył się naturalnie jeszcze większym przesładowaniem wszystkiego, co polskie, niż dotychczas.

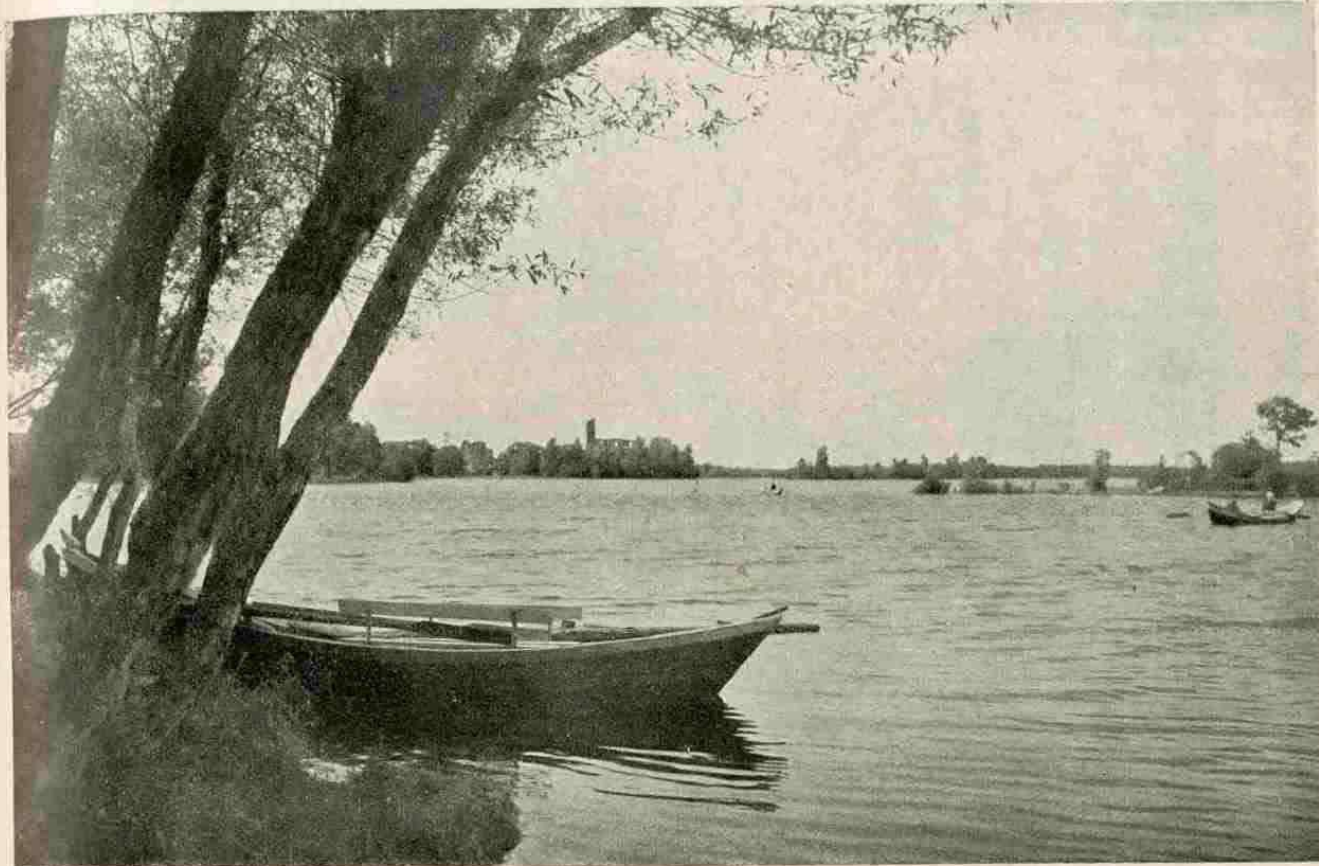
Polskie życie na Wołyniu wezbrało i zaczęło się przejawiać coraz mocniej w odbudowie i rozwoju przemysłowo-gospodarczym kraju. Lata do wojny światowej upływają ziemi wołyńskiej na wytrwałej i niezmiernie pracowitej gospodarce. Krajobraz Wołynia pokrywa się gęsto ośrodkami tego ruchu, a więc: fabrykami, cementowniami, kamieniołomami, cukrowniami, browarami, gorzelniami, chmielarniami t. p.

Wojna światowa dotknęła te ziemie dopiero w 1915 r. Armje austro-węgierskie okupowały

zaledwie parę zachodnich powiatów Wołynia (po linię górnego Styru i Stochodu) i ze zmienionym szczęściem trzymały ten front do początków 1918 r. Łuck z okolicą odbijają w 1916 r. Moskale. Górny Wołyń w latach wojny światowej jest terenem działań wszystkich pułków i brygad Legjonów Polskich, które nad Stochodem i Styrem pod dowództwem Józefa Piłsudskiego odnosiły swe sławne zwycięstwa. Przewrót w Rosji w 1918 r. otworzył armjom niemieckim i austriackim szeroko na wschód wrota frontu. Niedługo jednak trwała ich okupacja na Wołyniu. Granice bowiem walczącej Polski oparły się w końcu 1918 r. o linię Kowla, Włodzimierza Wołyńskiego i Porycka. Wojska zmarchwystałej Polski odbijają coraz dalsze powiaty wołyńskie z rąk Ukraińców i bolszewików. Rosną nadzieje Wołyńskimi, a udział ich w walce o niepodległość i granice staje się potrzebą duszy. W 1919 r. ginie pod Torczynem niezłomny rycerz legjonowy, podpułkownik Lis-Kula. W początkach 1920 r. polskie wojska stoją już na lirji Zviahla i Lubaru, stanowiącej podstawę wyjściową do ofensywy Kijowskiej. Jeszcze raz hordy bolszewickie przelewają się przez te ziemie w lipcu 1920 r., docierając aż do Bugu, aby wreszcie we wrześniu tegoż roku ustąpić przed zwycięskimi pułkami Nowej Polski. Traktat pokojowy w Rydze przyznał Polsce cały niemal historyczny Wołyń prócz pięciu powiatów wschodnich byłej guberni wołyńskiej.

Wycieńczony wojnami światową i polsko-sowiecką Wołyń, znalazłszy się od 1920 r. przy Polsce, nie zaznał jednak od razu pokoju. Kilka lat jeszcze grasują na pograniczu wołyńskim — jak zrestą na całym wschodniem — dające się ludności kresowej we znaki, bandy wypadające z za kordonu, rabujące, palące i wicherzące, mające częściowo charakter agitacyjno-dywersyjny o podłożu komunizmu sowieckiego, wrogiemu i antypolskiemu, częściowo zaś podłożu powojennego bandytyzmu. Dopiero przez zaciągnięcie na pograniczu czujnych strażnic Korpusu Ochrony Pogranicza (1924 r.) następuje pacyfikacja Kresów i normalny, spokojny oddech życia na Wołyniu. Podnosi się wartość pracy, której dorobek ma zapewnioną obronę; wzrasta dobrobyt, rozwija się hodowla bydła i koni; odbudowują się wsie i miasta; polepsza się i zgęszcza sieć dróg; podnosi się przemysł i t. d.

Dzisiejszy Wołyń idzie szeroko otwartą drogą nowoczesnej kultury, chowając w sobie przepiękną kartę dziejów Polski. Niema prawie wsi ani miasteczka na Wołyniu, któreby nie było zapisane w historii naszej sławnymi datami, kryjącymi epopeję kresowej Polski, jej dole i niedole, pamięć jej bohaterskich obrońców i krew tylokrotnych zmagani polskiego żołnierza.



Troki—widok na jezioro

for. H. Poddębski

T R O K I

Któżby odgadł, że to małe dziś i nie znaczące miasteczko było ongiś głośną rezydencją wielkich książąt litewskich? Że życie biegło tu niegdyś silnym tętnem, a oczy ludów zamieszkałych nad Niemnem, Berezyną i Dnieprem, a i dalej także aż po Nowogród i Moskwę na wschodzie, po Krym — na południe, a Pragę i Gdańsk — na zachodzie, zwracały się nieraz ku tym groźnym murom, skąd niejedna ważna o losie tych ludów wybiegała decyzja? Dziś pozostały z tych czasów jeno szczątki zamczyska i stare mury kościelne a także ubarwiona legenda pamięć przeszłej świetności, z czcią i nabożeństwem przekazywana z pokolenia w pokolenie.

Powstanie Trok wiąże stara kronika z osobą księcia litewskiego, Giedymina, który w roku 1320 miał tu przenieść swą stolicę z Kierniowa. Wzmianka ta nie wydaje się być jednak ścisła. Wątpliwem jest bowiem, aby w rzeczy samej Troki zostały wówczas stolicą państwa litewskiego skoro wiemy z całą pewnością, że w dwa lata później, w r. 1322, stolicą było Wilno. Wątpliwą jest również wskazana w kronice data założenia Trok. Pierwsze bowiem wzmianki o osadzie tej

nazwy pochodzą już z końca XII w. W r. 1320 powstał zatem najprawdopodobniej zamek trocki a nie samo miasto; a i to tylko t. zw. stary zamek, albo zamek lądowy, położony w tym miejscu, gdzie wzniesiony został w wiele lat później kościół Dominikanów.

Nie były też Troki stałą rezydencją Giedymina lecz zapewne tylko jednym z jego zamków myśliwskich, powstałych pośród nieprzebranych lasów być może jako przedgródzie stolicy gedymińskiego państwa — Wilna. Na ten śródlesny charakter Trok wskazują nietylko wzmianki w kronikach, ale i sama nazwa, oznaczająca w języku litewskim trzebierz, czyli las przetrzebiony. Podobnie przenośne znaczenie posiada i nazwa jeziora, nad którym wzniesiony został zamek. Zowie się ono Galwie od litewskiego słowa Galwa, t. j. głowa, a wiąże się w pojęciach ludu z podaniem, iż każdego roku przy ruszaniu lodów jak kolwiek głowa, czy to ludzka, czy bydłęca, czy chociażby ptasia musi paść ofiarą i utonąć.

Inne podanie z jeziorem tem związane głosi, że nie zamarza ono nigdy, póki nie pochłonie jednego chociażby ludzkiego istnienia.

Stałą rezydencją książęcą zostały Troki dopiero po śmierci Giedymina w r. 1341, kiedy w zamku trockim osiadł syn jego, Kiejstut, jako książę dzielnicowy trocki. A rozległa była jego dzielnica. Obejmowała poza Trokami: Kowno, Grodno, Drohiczyn i Brześć. Nie starczał już tedy Kiejstutowi stary, myśliwski zamek ojca. Wzniósł więc sobie około r. 1377 zamek nowy, murowany i w bardziej dogodnym i obronnym miejscu położony. I tu przeniósł swą siedzibę książęcą. A uczynił to w znacznym stopniu z tego względu, iż przeciągająca się walka pogańskiej Litwy z Zakonem niemieckim w Prusach, podejmującym co roku rzekomo w celu szerzenia chrześcijaństwa po kilka wypraw w głąb Litwy, stawała się coraz cięższa i coraz bezwzględniejsza. Musiał tedy Kiejstut zapewnić stolicy swej większą obronność, niżli mógł dać drewniany zameczek Giedymina.

Już w r. 1348 otarła się nawała krzyżacka o najbliższe okolice Trok w wyprawie wielkiego mistrza Henryka Dusemer, który nad rzeką Strawą pokonał Litwinów. Należało tedy spodziewać się, iż w najbliższych już latach stanie najazd krzyżacki bezpośrednio pod murami Trok. I rzeczywiście w roku 1377 uderzył marszałek Zakonu Gotfryd Linden na Troki. Zdążył już jednak w tym czasie Kiejstut wznieść nowy swój zamek. Wyprawa ograniczyła się tedy do obrócenia w perzynę samego miasta. Zamek nie został zdobyty.

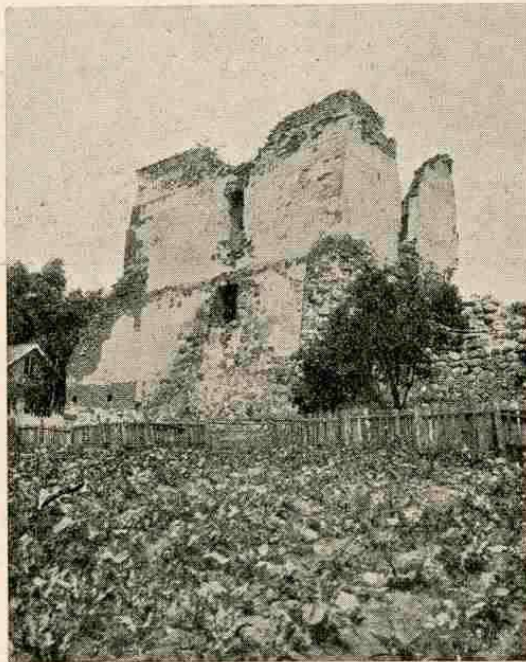
W kilka lat później były Troki widownią walki pomiędzy Kiejstutem a synem Olgierda, Jagiełłą. Walkę tę zapoczątkował zawarty w Trokach na św. Michała 1379 r. układ z Zakonem, a ostateczny epilog rozegrał się pod murami Trok w r. 1382 wzięciem Kiejstuta do niewoli przez Jagiełłę i zajęciem przezeń zamku trockiego i trockiej dzielnicy. Wkrótce potem zmarł tragicznie Kiejstut, a synowie jego, m. i. późniejszy wielki książę litewski, Witold, zbiegli do Prus. Nie wyrzekli się jednak ojcowizny.

Potoczyła się tedy w latach najbliższych walka pomiędzy Kiejstutowiczami a Olgierdowiczami o Troki, które z rąk Jagiełły, jako wielkiego księcia litewskiego, otrzymał brat jego rodzony, Skirgiełło. W walce tej sprzymierzeńcami Kiejstutowiczów byli Krzyżacy, zmierzający do wy-

korzystania sporów wewnętrznych w Litwie w celu jej opanowania. Stwarzało to dla Olgierdowiczów duże trudności i niebezpieczeństwa, dawało jednak zdecydowaną przewagę moralną nad rywalizującymi z nimi Kiejstutowiczami.

Już w r. 1383, a więc w następnym roku po ucieczce Witolda do Prus, podjął Zakon krzyżacki wielką wyprawę w głąb Litwy celem zdobycia Wilna. Kierował nią sam wielki mistrz Konrad Zolner. W wyprawie tej wziął oczywiście udział i Witold. Pociągnął z garścią Litwinów i Żmudzinów pod Troki i bez większego trudu opanował zamek, poczem obsadził go oddaną sobie załogą litewską oraz kilkudziesięciu Niemcami. Wyprawa Zolnera na Wilno spełza jednak na niczym i wielki mistrz wrócił do Prus, nie osiągnąwszy celu. Pozwoliło to Skirgielle odzyskać w październiku tegoż roku Troki.

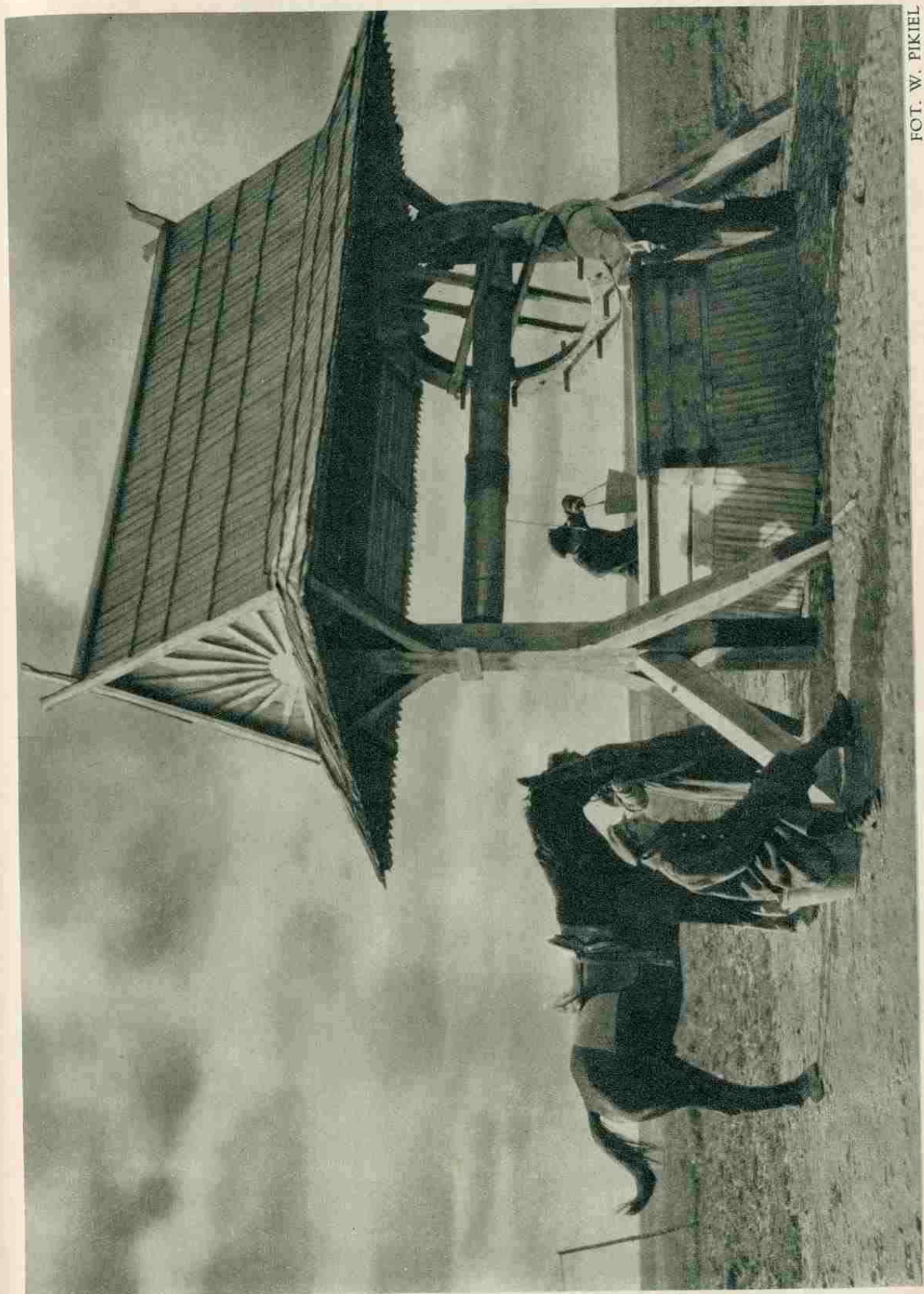
Dalszą walkę przerwało na czas jakiś pojednanie Witolda z Jagiełłą, który wkrótce potem został królem polskim. Ale że tylko część dzielnicy ojcowskiej otrzymał wówczas ambitny Kiejstutowicz, Troki zaś pozostały nadal przy Skirgielle, w kilka lat później walka rozgorzała na nowo. A była bardziej gwałtowna i bezwzględna, niż poprzednio. Zakon użył bowiem całej swej potęgi w celu przełamania oporu Litwy, a i Witold wykazał niespożytą energję i zdecydowanie w dążeniu do jej opanowania. I kto wie, jak skończyłaby się ta walka dla Litwy i Jagiełły, gdyby nie to, że król, przewidując cięż-



Troki — zamek łądowy
fot. H. Poddebski

kie i przewlekłe zmagania, obsadził zamki litewskie, a nadewszystko Wilo zaprawioną w wojnach z Zakonem załogą polską. W czasie tych walk, w chwili największego ich napięcia w r. 1391, gdy na Wilno ciągnął wielki mistrz Zakonu Konrad Wallenrod, a wraz z nim i Witold, Troki, mianowicie miasto samo, zostały spalone przez Skirgiełłę, który, nie mogąc przeciwstawić się tam nawałi krzyżackiej, cofnął się do Wilna. Zamek trocki nie wpadł wszakże w ręce Krzyżaków i Witolda, choć broniła go nieliczna tylko garstka.

Wyprawa Wallenroda była momentem przełomowym w stosunkach wzajemnych Witolda i Jagiełły. Przekonali się bowiem oni wówczas do- wodnie, że dalsza walka między nimi jest bezcelo-



FOT. W. PIKIEL

Rotogravjura Koziańskich w Warszawie..

PRZY STUDNI

REPRODUKCJA WZBRONIONA

wa, gdyż nie da żadnemu z nich spodziewanych rezultatów, a jedynie ułatwi Zakonowi podbój Litwy. Po raz więc wtóry powrócili do myśli pojednania, które doszło do skutku w Ostrowie dn. 5 sierpnia 1393 r. Odtąd też przez lat kilkadziesiąt istniało pomiędzy obu władcami jak najdalej posunięte współdziałanie.

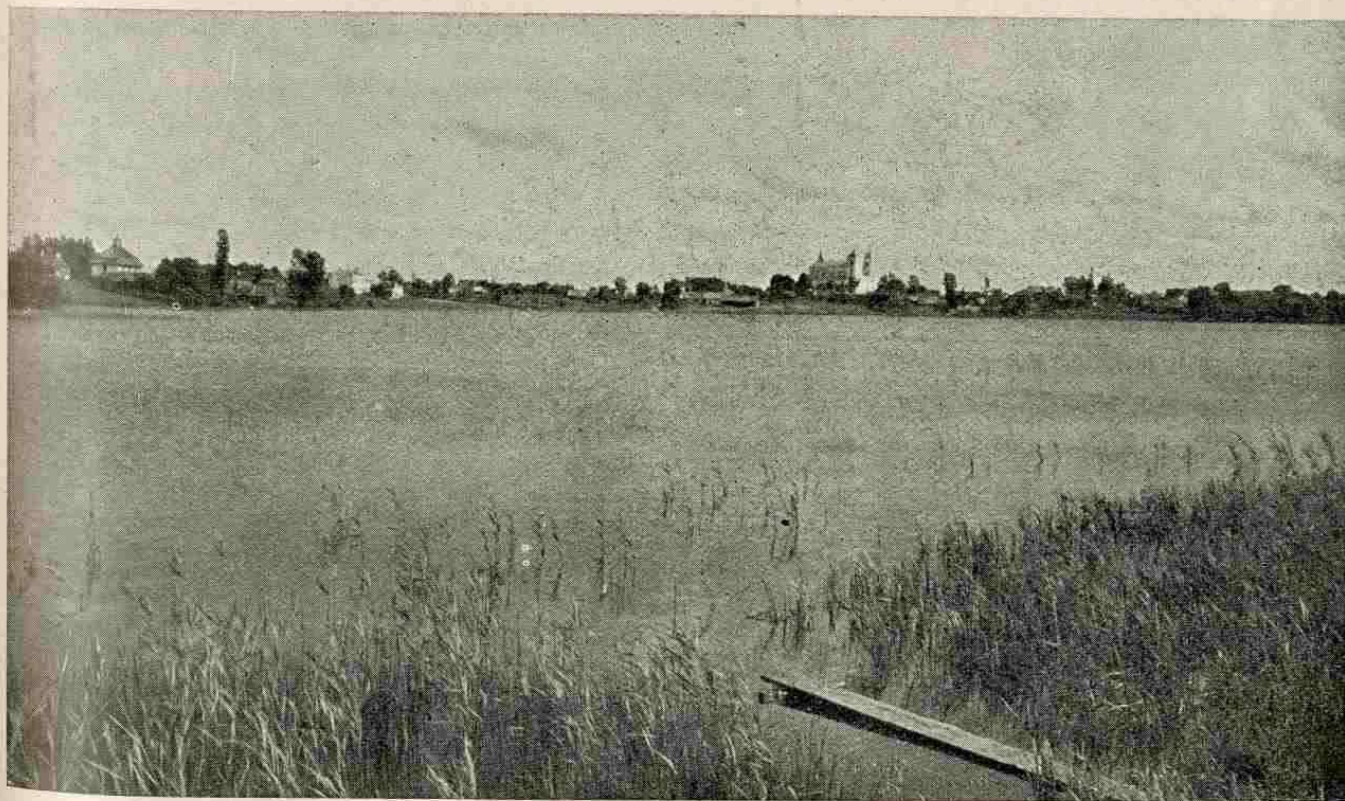
W Litwie rządził Witold, początkowo jako zastępca Jagielly, później zaś jako wielki książę litewski podległy naczelnej władzy króla. Często też przebywał Witold w Trokach, a choć stolicą wielkiego księstwa pozostało nadal Wilno, znaczenie Trok, jako ulubionej rezydencji wielkiego księcia, wzrosło bardzo znacznie. Z tego czasu pochodzi pierwszy opis tej miejscowości. Zawdzięczamy go znanemu dyplomacie i podróżnikowi ówczesnemu Gilbertowi de Lannoy (Żilbertowi de Lannua), który w r. 1414 bawił w Trokach. Oto jak opisał on swoje wrażenia.

„Naprzód (przybyłem) do jednego bardzo dużego miasta w Litwie, zwanego Troki, licho zabudowanego domami samymi drewnianymi i wcale niezamkniętego (t. j. nie okolonego murem). A są tam dwa zamki, z których jeden jest wielce stary, zrobiony całkiem z drzewa i wałów ziemnych darniną okładanych. A jest ten stary zamek położony na brzegu jeziora, ale z drugiej strony stoi na otwartej ziemi. A inny zamek jest pośrodku innego jeziora, o wystrzał działa od starego zamku, a ten jest całkiem nowy zrobiony z cegieł na sposób francuski. Także przebywa w rzezonem mieście Trokach i zew-

nątrz w kilku wsiach bardzo wielka liczba Tatarów, którzy tam mieszkają pokoleniami; są zaś zwyczajni Saraceni, nie mający nic z wiary Jezusa Chrystusa, a mający język osobny, zwany tatarskim. I mieszkają w rzezonem mieście: Niemcy, Litwini, Rusini i wielka liczba Żydów; z nich każdy lud ma swój język szczególny. A jest rzezone miasto księcia Witolda. Więc jest z Wilna aż dotąd siedem lenków (t. j. 4 mile). Tamże w rzezonem mieście Trokach jest zwierzyniec ogrodzony, w którym są wszelkiego rodzaju zwierzęta dzikie i zwierzyna, jaką można mieć w lasach i pochodzą też z nich. A są rozmaite jako to byki dzikie, zwane żubrami; i innych jest tam (wiele), już to wielkie konie zwane osłowatymi i inne zwane łosiami. I jest tam (znaczna liczba) koni dzikich, niedźwiedzi, dzików, jeleni i wszelkiego rodzaju dziczyzna”.

Do tej relacji podróżniczej zakradły się dwa niewątpliwe błędy: pierwszy dotyczy twierdzenia, że zamek stary był całkowicie z drzewa budowany, gdy tymczasem wiadomo, że miał mury murewane baszty, a tylko główny budynek w obrębie murów był drewniany; drugi dotyczy istnienia rzekomo dwóch jezior, gdy naprawdę było tylko jedno.

Wielkie śnać staranie miał Witold o należytą okazałość swej rezydencji. W niemałym stopniu przyczyniło się do tego odsunięcie od Trok niebezpieczeństw wojennego zniszczenia. Wprawdzie już po objęciu przez Witolda rządów w Litwie dwukrotnie przeciągały tędy wyprawy krzyżackie — raz w r. 1394 pod



Troki — widok ogólny

for. H. Poddębski

im. mjr. WŁADYSŁAWA GIEKAL

mistrzem Konradem Junginem oraz drugi raz w r. 1403 pod marszałkiem Zakonu Wernerem Tettingien — ale nie otarły się one o Troki bezpośrednio i nie zniszczyły ich. Późniejsze zaś wypadki, a zwłaszcza pogrom Zakonu pod Grunwaldem w r. 1410, pozbawiły Krzyżaków możliwości przedsięwzięcia dalszych wypraw przeciwko Litwie i zapewniły zachodnim jej dzielnicom, a więc przede wszystkim dzielnicę trockiej, spokój i bezpieczeństwo.

Dało to możliwość Witoldowi rozwinięcia szerszej działalności politycznej na wschodzie; w dzielnicę trockiej zaś pozwoliło mu podjąć dzieło kulturalnego i gospodarczego podniesienia kraju. Witoldowi przypisać też należy osadzenie w Trokach i okolicy znacznej liczby Tatarów, jakkolwiek początek kolonizacji tej sięga okresu wcześniejszego. Jego dziełem było także sprowadzenie do Trok w latach 1402—1403 kilkuset rodzin Karaimów, którzy do dziś dnia stanowią znaczną część ludności miasta^{*)}. Lecz nie tylko sprowadził ich tu Witold, ale nadał im szczególne prawa i poddał władzy specjalnego wójta, jako przełożonego gminy, którego wyłącznemu sądownictwu podlegali.

Zajmował się Witold nieraz Trokami, starając się organizować tu, podobnie jak w innych miastach litewskich, bardziej ożywione skupienie gospodarcze. On też nadał najprawdopodobniej Trokom t. zw. prawo magdeburskie, t. j. samorząd wewnętrzny (w zakresie sądownictwa i administracji), stanowiący we wszystkich miastach Polski podstawę ich rozwoju gospodarczego.

Zapewniwszy w ten sposób należyte podstawy gospodarczemu rozwojowi miasta, zatroszczył się Witold także i o jego podstawy moralne.

W r. 1409 ufundował w Trokach kościół farny, wyposażając go bogato w szereg wsi nawet w odległej Pińszczyźnie. Skłoniła go do tego w niemałym stopniu i ta okoliczność, że zarówno w mieście, jak i na zamku, jako w rezydencji wielkoksiążęcej, przebywało stale wiele osób przyjezdnych. Niemało wśród nich było ludzi znakomitych, tak w kraju, jak i zagranicą. Koniecznym było tedy, aby kościół trocki był bardziej okazały od innych. I o to dbał Witold stale. W tym celu kazał też umieścić w głównym ołtarzu kościoła wspaniały obraz Matki Boskiej. Obraz ten był darem bizantyjskiego cesarza Manuela II.

Dla potrzeb dworu istniała pozatem kaplica na zamku. Była tam też druga kaplica, grecka ze względu na to, iż zarówno pierwsza jak i druga żony Witolda były tego wyznania. Gościło też na zamku trockim wielu panów ruskich. I im więc służyła owa kaplica. Później wybudowano dla nich niedużą cerkiewkę w mieście pod wezwaniem św. Jerzego. A gdy Troki straciły charakter rezydencji wielkoksiążęcej, opiekę nad cerkiewką objęli Sapiehowie.

Niejednokrotnie zajeżdżał do Trok król Jagiełło, dodając zamkowi szczególniejszego blasku. W jego też obecności zmarł tu w r. 1430 wielki książę Witold, któremu Troki tak wiele zawdzięczały.

Ale i po śmierci Witolda pozostały nadal Troki rezydencją wielkoksiążęcą. Przebywał tu stale ze względu na bezpieczeństwo i wygodę brat Witolda, wielki książę Zygmunt, i tu został on zamordowany w r. 1440 przez kilku panów litewskich i ruskich, niezadowolonych z jego surowych rządów. Tu przebywał także często następny wielki książę litewski a późniejszy król polski, Kazimierz Jagiellończyk. Król ten w swej wszechstronnej działalności, która dla całej Litwy posiadała nader dobroczynne następstwa, nie zaniedbał i Trok. W r. 1441 potwierdził Karaimom trockim posiadane prawa, w r. zaś 1444 potwierdził i rozszerzył prawo magdeburskie, zaliczając jednocześnie Troki do głównych miast Litwy.

Wkrótce jednak po śmierci tego monarchy straciły Troki charakter rezydencji wielkoksiążęcej. Za następnych Jagiellończyków posiadały one już tylko znaczenie więzienia politycznego, czy też rezydencji wybitnych osobistości politycznych, które należało trzymać z honorami, lecz w odosobnieniu, t. j. zdala od społeczeństwa. I tak za Aleksandra Jagiellończyka przebywał tu pod okiem wojewody trockiego zbiegły do Litwy han kipczacki, Szach Achmet. Po śmierci zaś Aleksandra mieszkała tu przez czas jakiś wdowa po nim Helena, córka cara moskiewskiego; zachodziła bowiem obawa, że zbiegnie

^{*)} Karaimi troccy zachowali po dzień dzisiejszy odrębność wyznaniową i językową, choć mówią wszyscy po polsku i uważają się za Polaków. Są pochodzenia żydowskiego. Stanowią mianowicie ten odłam narodu żydowskiego, który odłączył się od pnia macierzystego jeszcze w epoce niewoli babilońskiej, nie chcąc przyjąć Talmudu, jako komentarza pisma świętego. Różne były do tego czasu koleje tego ludu. Ostatecznie część Karaimów osiadła na Krymie, skąd zapewne sprowadził ich Witold. W Polsce utworzyli szereg kolonji. Dotychczas istnieją, poza Trokami, gminy karaimejskie w Łucku i Haliczu.



Troki — zamek na wyspie

fol. H. Podębski

do Moskwy. W r. 1503 internowani byli w Trokach posłowie wielkiego księcia moskiewskiego, a Zygmunt I więził tu dwóch Gasztołdów, podskarbiego i koniuszego Wielkiego Księstwa, podejrzanych o sprzyjanie uciekłemu do Moskwy Michałowi Glińskiemu.

Z czasem jednak utraciły Troki i ten szczególny charakter i pozostały już tylko siedzibą wojewody trockiego, jednego z czołowych dostojników Wielkiego Księstwa. W zamku złożone było pozatem archiwum państwowe litewskie, powierzone nadzorowi i pieczy podskarbiego. A w niezniszczonych izbach zamku lądowego znajdowały się kancelarja i akta publiczne powiatu trockiego, czyli t. zw. akta ziemskie i grodzkie. Tu bowiem odbywały się sejmiki, na które ściągala gromadnie szlachta tej ziemi, tu rezydował też sąd starościński, podkomorski i ziemski powiatu trockiego. Przez czas jakiś miał tu też swoją kadencję trybunał główny litewski oraz inne magistratury sądowe. Pozostały więc Troki aż do końca Rzeczypospolitej ośrodkiem życia rozległej okolicy, jakkolwiek utraciły poprzednią świetność i znaczenie.

To też przez długi jeszcze czas biło w mieście żywo tętno gospodarczej pomysłowości. Przyczyniała się do tego pracowitość i zapobiegliwość mieszczan a zwłaszcza licznych Karaimów, którzy zabiegali u każdego z królów polskich i wielkich książąt litewskich o potwierdzenie praw posiadanych lub o nowe uprawnienia. Dzięki tym zabiegom Zygmunt I ustanowił tu w r. 1516 dwa jarmarki corocznie w dni, jakie sobie miasto wybierze, i zwolnił wszystkich kupców, na te jarmarki przybyłych, od opłaty myta, t. j. opłaty na rzecz skarbu. W r. 1552 uwolnił Zygmunt August mieszczan od dawania podwód dla gońców królewskich co było wówczas nie małym obciążeniem, Tatarom zaś, zamieszkałym w mieście, nakazał płacić serebszczyznę, t. j. podatek w gotówce do kasy miejskiej, od czego uchylali się do tego czasu. Nie zapomniał o Trokach i król Stefan Batory; zezwolił on m. in. kupcom trockim w r. 1579 handlować towarami na rynku kowieńskim, a kupcom wileńskim i kowieńskim zabronił omijać Troki. Oczywiście, iż wskazałem tu ważniejsze tylko przywileje, pomijając wiele innych, a nadewszystko liczne akta, uzyskiwane przez Karaimów trockich od wszystkich kolejno królów.

Ta zapobiegliwość mieszczan i opieka królewska powodowały, iż życie w Trokach było wciąż jeszcze silnym tętnem mimo, iż niepokoje wewnętrzne i wszechwładza jednego stanu stawały się dla państwa ciężarem coraz większym. To żywe tętno życia miasta pozwoliło biskupowi wileńskiemu, Eustachemu Wołłowiczowi, ufundować w Trokach w roku 1517 obszerny klasz-



for. H. Poddębski

Kościół w Trokach

tor Bernardynów. Pozwoliło to także odnowić gruntownie w r. 1600 farę trocką, do której ściągaly corocznie liczne pielgrzymki.

Ten pomyslny dla miasta stan rzeczy skończył się w r. 1655. Troki bowiem, podobnie zresztą jak i inne miasta litewskie, dotknęła wtedy nawała moskiewska, pozostawiając po sobie jeno zgliszcza i ruiny. Ze zniszczenia tego nie odnowiło się już więcej miasto, a ludność w dużej części rozbiegła się po kraju w poszukiwaniu lepszych warunków egzystencji. Pozostały wprawdzie jeszcze zewnętrzne oznaki dawnej wielkości: oba zamki i kościoły; nie zaniechano także starań, aby podnieść miasto z upadku. Były to jednak, niestety, bezskuteczne już próby.

Z tego też czasu dwa tylko fakty posiadały nieco większe dla miasta znaczenie. Jednym z nich była koronacja Matki Boskiej w farze trockiej insygniami, przysłanemi w r. 1718 przez papieża Klemensa XI. Koronacji tej dokonał biskup wileński, Konstanty Brzostowski. Drugim był długoletni spór pomiędzy szlachtą powiatu trockiego a zakonem Dominikanów o mury zamku lądowego. Spór ten wynikał na tym tle, iż Dominikanie otrzymali konstytucją sejmu w r. 1678 prawo przerobienia starych murów zamku trockiego na klasztor i kościół. Sprzeciwiła się jednak temu szlachta trocka, ponieważ w murach tych kilka ocalałych komnat zajmował urząd i archiwum grodzkie. A sprzeciw ten okazał się skuteczny, bo dopiero w r. 1761 po przeniesieniu urzędu grodzkiego w inne miejscow zamku trockim osiedlić się mogli Dominikanie.

Miasto, tracąc z biegiem lat charakter ośrodka handlowego, upodobniało się coraz bardziej do okolicznych wsi. W końcu XVIII w., w chwili upadku Rzeczypospolitej, było już typowym miasteczkiem rolniczym. I takim pozostało do dziś dnia. O minionej zaś przeszłości świadczą jedynie resztki wspaniałych murów i legenda kryjąca się wśród zakamarków tej pięknej i pełnej poezji miejscowości. A. S.

STRAŻ GRANIC KRÓLESTWA POLSKIEGO

PODCZAS WOJNY 1830-31 ROKU

Królestwo Polskie posiadało przed wybuchem powstania swą własną straż celną i tabaczną, zajmującą komory graniczne, przez które skierowany był transport towarów i cały ruch podróźnych zagranicznych, i to nietylko od strony pruskiej i austriackiej — ale i rosyjskiej. Prócz tej straży rozstawione były w pasie pogranicznym a nawet i w głębi kraju, oddziały Kozaków dońskich. Używano ich nietylko do ścisłego pilnowania samej granicy — ale i do różnych specjalnych posług wewnątrz Królestwa, mianowicie do eskortowania ważniejszych więźniów politycznych, jak n. p. Łukasieńskiego, oraz do obserwowania nastrojów wśród mieszkańców. Ponieważ głównym ośrodkiem opozycji przeciw rządowej było województwo kaliskie, w Kaliszu więc i okolicy stał dość znaczny oddział kozacki; dowódca zaś pułku Kozaków, pułkownik Kałassanow pilnie śledził wszystkie wypadki i często składał raporty na ręce dowódcy wszystkich pułków kozackich w Królestwie, generał — majora Djakowa o zachowaniu się tamtejszych obywateli.

Nic też dziwnego, że właśnie w Kaliszu, skoro tylko nadeszła z Warszawy wiadomość o wybuchłej tam rewolucji, pierwszy impet świeżo utworzonych władz powstańczych obrócił się przeciw zniechęconym Kozakom. Komisja wojewódzka zaraz na wstępie swej działalności — 3 grudnia zwróciła się do Kałassanowa z żądaniem złożenia broni. Chociaż siły były nierówne, pułkownik kozacki tak był zaskoczony i przerażony wypadkami, że nawet nie próbował się bronić i z przeszło 200 Dońcami złożył broń.

To rozbrojenie Kozaków w Kaliszu nastąpiło zupełnie samorzutnie bez oglądania się na rozkazy z Warszawy. Uprzedziło o parę dni dyrektywy w tym względzie władz centralnych, gdyż dopiero po objęciu dyktatury przez Chłopickiego sprawa ta została w pewnej mierze załatwiona przez Rząd Tymczasowy. Odnosne zarządzenie jest bardzo charakterystyczne, gdyż odbija się w nim, jak w wielu innych sprawach, całkiem wyraźnie, ta pierwotna dążność Dyktatora do rokowań z władzami rosyjskimi. Mianowicie Rząd Tymczasowy z woli dyktatora polecał pismem z dnia 6 grudnia 1830 r. Komisji Rządowej spraw wewnętrznych, by uwiadomiła Komisje wojewódzkie „iżby wezwały dowódców pułków kozackich, straż graniczną utrzymujących w obrębie Królestwa Polskiego, do przystąpienia do układów względem rozbro-

jenia tychże straży, lub też względem ich poddania się obecnemu porządkowi rzeczy”. W razie złożenia broni mogli Kozacy wracać do Rosji zupełnie swobodnie, ci zaś którzyby okazali gotowość służenia w szeregach polskich, mieli przejść pod rozkazy świeżo mianowanych dowódców wojewódzkich.

Rozkaz ten jednakowoż, jako nieliczący się z nastrojami i faktami już dokonanymi, pozostał tylko na papierze. Gdy nadeszła do Warszawy wiadomość o tem, co się stało z Kozakami w Kaliszu, województwie sandomierskiem i mazowieckiem, gdzie również częściowo ich rozbrojono, Dyktator dn. 12 grudnia zmienił ten rozkaz, polecając umieścić rozbrojonych w kaliskim Kozaków w klasztorze lendzkiem, innych zaś w Radomiu lub Łowiczu, a konie ich i broń odesłać do zakładu dywizji strzelców konnych w Łowiczu.

Internowano w ten sposób stosunkowo niewielką ilość Kozaków, gdyż z województwa płockiego i kaliskiego znaczna ich część przedostała się do Prus, a stojący w Łomżyńskim pułk Kozaków pod dowództwem pułkownika Gredowa opuścił 8 grudnia swe placówki i przeszedł w całości do Rosji. Zresztą i ci internowani niedługo pozostawali na terytorjum polskim, ponieważ Dyktator dn. 25 grudnia wydał rozkaz wyprowadzenia ich za granicę, a tylko miano zatrzymać w dalszym ciągu ich oficerów. Jedyną więc pozostałością po nich było trochę broni, paręset koni, za które rząd nakazał kozakom wypłacić odszkodowanie.

Z chwilą jednak, gdy Kozacy przestali pełnić swe funkcje straży granicznej, siłą rzeczy nasuwała się ważna kwestja, kto ma po nich objąć te obowiązki, zwłaszcza, że w niektórych miejscach, jak n. p. w Hrubieszowskim, przez przedwczesną gorliwość pewnych czynników, nawet zwyczajną straż celną cofnięto w głąb kraju.

Komitet obywatelski województwa kaliskiego w piśmie swem, skierowanym 9 grudnia do Rządu Tymczasowego, wystąpił z projektem, by straż granic powierzyć żandarmerji, powiększonej w tym celu przez ochotników. Także osoby prywatne, bezpośrednio w tem zainteresowane, jak n. p. jeden z fabrykantów płótna wystąpiły do Rządu z wskazaniem konieczności ochrony granic przed kontrabandą zagraniczną.

Rząd znalazł się w trudnem położeniu. Wprowadziła Komisja Rządowa Przychodów i Skarbu zaleciła 7 grudnia naczelnikom i nadstrážnikom straży celnej pogranicznej, „ażeby

przejawszy się świętą sprawą Ojczyzny, podwoili usiłowania swoje, w celu ścisłego i sumiennego przestrzegania, iżby żadne objekta i towary bez uiszczenia należnego skarbowi publicznemu podatku celnego, do Kraju wprowadzone nie były". Zarządzenie to jednakowoż, wobec szczupłości tej straży i wzmoczonych skutkiem stanu wojennego potrzeb, wcale nie były wystarczające. W dodatku oddziały, któreby mogły normalnie służbę tę pełnić — jak żandarmerja i weterani, zostały skoncentrowane w głębi Kraju, skutkiem czego nie można ich było użyć do tej czynności. Wobec tego Rząd Tymczasowy, rozważając propozycje województwa kaliskiego, postanowił dn. 12 grudnia obsadzić granice strażą bezpieczeństwa, utworzoną już poprzednio w każdym województwie. Zarządzenie to, doraźnie powzięte, ale później niezmienione, nie było fortunne; straż granic bowiem powierzano ludziom mieszkającym nad granicą, uzbrojonym ledwo w kosa i przewaźnie, ani odpowiednio wyćwiczonym, ani chętnie spełniającym swe obowiązki. Rząd prawdopodobnie rozmyślnie nie kładł nacisku na ściślejszą obserwację granic Królestwa, gdyż wobec ograniczonej ilości wszelkiego rodzaju zapasów własnych, pragnął nawet ułatwić kontrabandę, nie tylko broni i prochu, ale sukna i innych potrzeb



Pomnik Marszałka Piłsudskiego w kompanji Borowe 2 baonu

z zagranicy. Zresztą w strzeżeniu granic wwręczały go w dużej mierze państwa sąsiednie Prusy i Austria, które — zwłaszcza pierwsze — już wkrótce zgromadziły wzdłuż granicy znaczne siły wojskowe, a później ponadto rozciągnęły bardzo ścisły kordon graniczny. Od strony zaś rosyjskiej Królestwo nie potrzebowało straży celnej, gdyż w województwach położonych na prawym brzegu Wisły, już wkrótce zaczęły się toczyć zmagania wojenne obu stron.

W tych warunkach i z takich elementów złożona straż graniczna, nie mając w dodatku jakiejś jednolitej organizacji, ani dowództwa, niewiele zdziałała w toku całej tej kampanji. Najlepiej stosunkowo obowiązki swe pełniła wzdłuż części granicy pruskiej. A stało się to nie skutkiem jakichś specjalnych zarządzeń rządowych, lecz dzięki inicjatywie prywatnej. Mianowicie były kapitan p. 11-go piechoty Księstwa Warszawskiego, hr. Józef Skarbek zgłosił się do Komisji Rządowej Wojny z prośbą o powierze-

nie mu obowiązków komendanta nadgranicznego od strony Prus. Komisja zgodziła się na to i dnia 8 marca 1831 r. zamianowała go bezpłatnym komendantem straży bezpieczeństwa pogranicznego w województwach mazowieckim i kaliskim, „w celu zastąpienia skarbu publicznego od uszczerbku, jaki mu przynosi przemycanie towarów, niemniej dla przeszkodzenia przechodu ludziom do Kraju w szkodliwych zamiarach przybywających". Pozwolono mu używać do tej czynności ludzi ze straży bezpieczeństwa, lecz jedynie po poprzednim porozumieniu się z dowódcami wojewódzkimi i pochodzących tylko z gmin pogranicznych, z tem w dodatku z zastrzeżeniem, „aby z takowych wyprowadzeni nie byli".

Komisja Rządowa Wojny ofertę Skarbka przyjęła skwapliwie nie tylko, z tego powodu, że miał spełniać swe obowiązki zupełnie bezinteresownie, ale także i dlatego, że okazało się pilną już koniecznością wprowadzenie na tej granicy jakiegoś porządku. Już bowiem poprzednio, pod koniec stycznia, nadeszły wiadomości do Warszawy, że do Królestwa przybył pruski justitzkomisarz, a zarazem naczelnik tamtej policji z Gniezna — Goltz, w celu obserwowania wypadków w Polsce; potem przyłapano egzekutora podatkowego

z Bydgoszczy, Jana Wołowskiego, który przyznał się, że został wysłany przez dyrektora policji w Bydgoszczy pod Płock w celu śledzenia ruchów wojsk obu stron i zdradził zarazem dwu innych wysłanych w tych samych celach szpiegowskich. — Wreszcie wdał się w tę sprawę gubernator Warszawy, generał Krukowiecki, który 8 marca 1831 r. wystąpił do Komisji Rządowej spraw wewnętrznych z zażaleniem, że granice od strony Prus nie są wcale strzeżone, wobec czego żądał przedsięwzięcia jak najszybciej zaradczych środków.

Skarbek, mimo znaczne trudności, zdołał w ciągu kwietnia zorganizować kordon graniczny tak, że w maju mógł spełniać swe czynności normalnie. Podzielił kordon na cztery oddziały, których główne siedziby mieściły się w Niezawie, Służewie, Radziejewie i Piotrkowie Żydowskim. Funkcje komendantów pełnili albo naczelnicy komor celnych, albo okoliczni obywatele. Podlegały im mniejsze posterunki, rekru-

tujące się z ludności pobliskich wsi, którymi znowu kierowali albo strażnicy skarbowi, albo wójci. Obowiązkiem ich było dostarczanie ludzi do obsadzania pasa granicznego i luk i dozorowanie ich. Służba strażnicza trwała przez 48 godzin na zmianę. Według zarządzeń Skarbka, do służby granicznej wyznaczano ludzi ze straży bezpieczeństwa na dni 14. Ogólna ich ilość wzdłuż całego pasa granicznego poddanego pod jego komendę, wynosiła 1.312, zmienianych co 14 dni.

Jak widać z raportu Skarbka, datowanego w dniu 19 maja, kordon ten spełniał wcale dobrze swe obowiązki, ponieważ do tego czasu ułatwiono przejście przez granicę przeszło 200 ochotnikom z Poznańskiego i pochwycono 7 większych transportów różnych towarów przemycanych z Prus.

Ale ta dodatnia działalność nie trwała długo. Już z początkiem maja Prusacy ustawili t. zw. kordon zdrowia na samej granicy polskiej i strzelali do każdego, kto się zbliżył na 60 kroków. Skutkiem czego straż celna i graniczna nie mogła pełnić skrupulatnie swych obowiązków. Skarbek wprawdzie pisał z zażaleniem do komendanta Torunia generał — majora Benkendorf-Hindenburga, ale osiągnął tylko tyle, że żołnierze pruscy przestali strzelać do strażników, kordonu swego jednak nie cofnęli z samej granicy. Nawiasem dodać należy, że Komisja województwa plockiego z tego kordonu pruskiego skorzystała w ten sposób, że zupełnie uwolniła straż bezpieczeństwa od pilnowania granic, a to w celu „zwrócenia gospodarstwu rolnemu tyłu rąk mało przy niem czynnych”. Lecz zarządzenie to, nie liczące się ze stanem bezpieczeństwa Kraju, rząd

słusznie zgał i polecił znowu zaprowadzić kordon graniczny.

Tymczasem stosunki z Prusakami stawały się coraz gorsze. Prusacy coraz więcej zgęszczali swój kordon, żołnierze ich coraz bardziej stawali się wobec Polaków napastliwymi, odgrzali się, że lada dzień wkroczą do Królestwa, a nawet jak to stwierdził Skarbek, część ich artylerji miała brać udział po stronie rosyjskiej w bitwie pod Ostrołęką. Takie postępowanie najbliższych sąsiadów, łącznie z wypadkami na groźnym teatrze boju, wielu zniechęcało do dalszej pracy. Nietylko chłopci, pełniący straż granic, ale i komendanci posterunków poczuli opuszczać swe miejsca. Skarbek jednak nie upadał na duchu. 17 czerwca projektował, by każdy ze straży bezpieczeństwa był opatrzony w dobrą kosę i by brać deklaracje wiernego wykonywania swych obowiązków od komendantów odcinków i posterunków. Ale wszystko to było już bezcelowe. Szala wojny zaczęła stanowczo przechylać się na stronę nieprzyjaciela. Przeprawa Paskiewiczza przez Wisłę i zajęcie znacznej części lewobrzeżnych województw przez wojska rosyjskie kładły tamę dalszej działalności tej słabej straży granicznej.

Chociaż rola jej podczas tej kampanji była bardzo nikła, to jednak w tym roku jubileuszowym należało wspomnieć o jej istnieniu, oraz o samorzutnych i ofiarnych usiłowaniach jej jedyne go wybitniejszego komendanta, kapitana Józefa hr. Skarbka.*)

*) Archiwum akt dawnych. Akta władz centralnych Nr. 234, 238, 508 i 555.

STANISŁAW OLECHNOWICZ por.

CO TO JEST KOLEKTYWIZACJA?¹⁾

Od początku 1930 r. jesteśmy świadkami stałego przekradania się przez granicę na naszą stronę chłopów, powszechnie nazywanych „kułakami”. Uciekają z Rosji Sowieckiej z narażeniem życia pojedynczo, całymi rodzinami, a nawet większymi grupami. Nieszczęśliwcy ci, zatrzymywani przez nasze patrole lub sami zgłaszając się na strażnicach, w stanie wzbudzającym litość, wyrażają zwykle jedną prośbę: aby ich nie oddawać w ręce władz sowieckich.

Z rozmów, prowadzonych z nimi, niezawsze wywnioskować można właściwy powód porzucenia ojcowizny, rodziny. Domyślamy się tylko, że chłop, naogół tak niewolniczo przywiązany do ziemi musiał mieć poważne przyczyny, by nietylko porzucić swój rodzinny kąt na zawsze, ale nieraz narażać się na utratę życia.

¹⁾ Dane statystyczne z „Stat. Jereg. Rossiji” i kwart. „Spr. Obce” zeszyt III.

Z wiadomości dochodzących nas z tamtej strony, jak również z rozmów prowadzonych z porzucającymi swą ojczyznę, chcemy Wam przedstawić, co to jest ta kolektywizacja i dlaczego tak odstrasza od siebie ludzi.

W roku 1917 bolszewicy, chcąc zyskać sobie pomoc chłopów, i przy ich pomocy opanovać Rosję, rzucili na wieś hasło, że wszystka ziemia należeć będzie do chłopów, nawołując ich jednocześnie do palenia dworów i zabierania gruntów większej własności ziemskiej. Chłop rosyjski od wieków spragniony ziemi, dał posłuch tym hasłom i ziemię dworską zagarnął. Niedługo jednak cieszył się zagrabioną ziemią. Po zakończeniu bowiem wojen, władze sowieckie przystąpiły do wprowadzenia swego programu w życie. Przemysł stał się własnością państwa, zaczęto więc powoli wprowadzać zasady komunistyczne w życiu wsi.

W myśl zasad bolszewickich ziemia, zabudowania, inwentarz stanowią własność państwa. Poszczególny człowiek nie może mieć swej prywatnej własności, powinien pracować, a zato państwo da mu wszystko, co jest do życia potrzebne, t. zn. jedzenie, mieszkanie, ubranie. Ludność pracująca na roli ma tworzyć t. zw. *kolchozy*¹⁾. *Kolchoz* czyli inaczej *kolektyw* ma obejmować część lub całą ludność wsi. Do *kolchozu* zatem powinna należeć część lub cała ziemia, która była własnością danej wsi, wraz z ich zabudowaniami, inwentarzem i t. p.

Kolchozy są trzech rodzajów: 1) *komuny*, 2) *artele*, 3) *sozy*.

Prawdziwym typem *kolchozu* są *komuny*. Organizacja *komun* polega na tem, że członkowie ich pracują wspólnie na roli, wspólnymi narzędziami i ogólne zbiory oddają do państwowego magazynu, a za pracę otrzymują od państwa mieszkanie, jedzenie, ubranie i t. d. Narzędzia rolnicze, nasiona, nawozy i t. p. dostarcza państwo.

Artele stanowią jakby typ pośredni, gdyż praca w nich jest wspólna, inwentarz też wspólny (ziemia państwowa), a zebrane plony dzielą się między poszczególnych członków, zależnie od ich pracy i wniesionego inwentarza.

Sozów nie można właściwie nawet nazwać, w pełnym słowa tego znaczeniu, *kolchozami*, gdyż wspólnie w nich są tylko maszyny rolnicze, inwentarz zaś, zabudowania i t. p. stanowią własność prywatną. Praca w nich odbywa się w ten sposób, że gospodarze — członkowie pracują na własnej ziemi. Można by je porównać do znanych u nas spółdzielni rolniczych.

Dążeniem władz sowieckich jest tworzenie *komun* jako właściwego typu *kolchozów*. Najwięcej jednak powstało *sozów*. W ostatnich czasach przestano je uważać za *kolchozy*, lecz za gospodarstwa indywidualne. Władze nie cofając się przed prześladowaniem *sozów* wywierają nacisk, by zamieniły się w *artele*, a następnie w *komuny*.

Pierwsze *kolchozy* powstały w latach 1920—

1922. Tworzono je jakby na próbę tylko tam, gdzie ludność wyrażała na to zgodę.

W latach następnych, z powodu trudności gospodarczych, władze sowieckie zaniechały wszelkich reform na wsi, ograniczając się tylko do przymusowego wykupu zboża od włościan, czyli t. zw. *chlebozagotowik*²⁾ i do prześladowania *kułaków*³⁾.

W 1927 r. XV Zjazd Partji Komunistycznej uchwalił przeprowadzić kolektywizację rolnictwa, rozkładając ją na pięć lat (t. zw. *piatiletka*⁴⁾), to znaczy, że co roku miała być skolektywizowana piąta część gospodarstw. Wobec oporu wsi akcja ta słabo się rozwijała, gdyż nie było wielu chętnych do tworzenia *kolchozów* pomimo, że władze dla zachęty zwalniały *kolchozy* częściowo od podatków, dając im niektóre maszyny rolnicze, nawozy i t. d.

W ten sposób potrafiły władze sowieckie stworzyć pewną ilość *kolchozów*, do których weszła ludność bezrolna lub małorolna, która nic nie posiadając, sądziła, że coś na tem zyska.

Jednocześnie niemal został zniesiony w Rosji wolny handel, tak że włościanie musieli swoje zboże oddawać władzom, które płaciły za nie tyle, ile chciały, albo i nic.

Z tego powodu chłopcy zaczęli zasiewać tylko tyle, aby wyżywić siebie i rodzinę. Władze

sowieckie w 1929 r. musiały walczyć z tym oporem włościan. Wreszcie przy pomocy wojsk G. P. U. i prześladowaniami złamano opór chłopów, zboże odebrano, surowo karząc opornych więzieniem, konfiskatą majątku, zesłaniem na Syberję, a nierzadko i karą śmierci.

W maju tegoż roku rząd sowiecki otrzymał od CIK-u⁵⁾, rozkaz przeprowadzenia w szybkim tempie kolektywizacji w całej Rosji z zastosowaniem najostrożniejszych środków w celu jak najszybszego zlikwidowania gospodarstw indywidualnych.

²⁾ Chlebozagotowka — przygotowanie chleba — przymusowe skupowanie po cenach rządowych.

³⁾ Włościanin posiadający 10—20 ha ziemi.

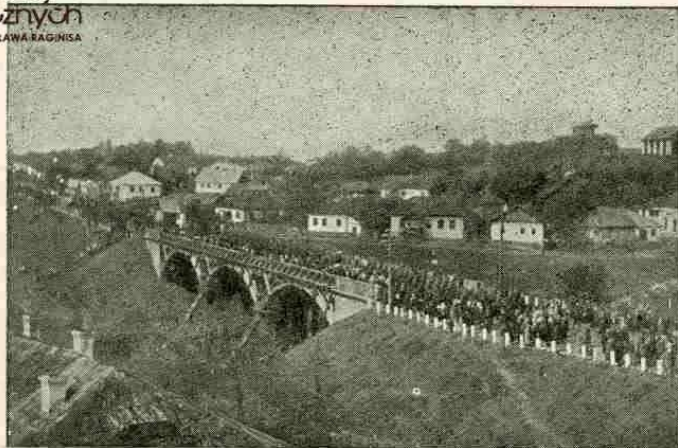
⁴⁾ Piatiletka — pięciolatka — plan gospodarczy obliczony na okres 5 lat.

⁵⁾ CIK = Centralny Inspołnitelnyj Komitet = Centralny Komitet Wykonawczy.



Pożegnanie rezerwistów

¹⁾ Kolchoz — kolektywne chozajstwo — zbiorowe gospodarstwo.



Pochód 3 maja w Korcu

Polecenie to uzasadniał CIK, twierdząc, że każdy posiadacz ziemi jest wrogiem władz bolszewickich.

Wywierając coraz to większy ucisk na włościan, osiągnięto pewne rezultaty, gdyż liczba *kolchozów* (właściwie *sozów*) do lipca 1929 r. wzrosła do 61.000 (w lipcu 1928 r. było 38.000). Liczba ta jednak wynosiła zaledwie 4% ogólnej ilości gospodarstw. Nie zadowoliło to władz sowieckich, bo właściwie nic się nie zmieniło, a chłopci nadal gospodarzyli na swojej ziemi.

Wreszcie w styczniu 1930 r. rząd zdecydował się na otwartą wojnę ze wsią. Ogłoszono, że wszyscy opierający się kolektywizacji i wszyscy „kułacy” są wrogami władzy sowieckiej, przyczem za „kułaków” uznano włościan posiadających nawet 5 — 10 ha ziemi. Dekretami z dnia 16.I.30 i I. II. 30 nakazano władzom miejscowym stosowanie wszelkich środków do przełamania oporu.

Przy pomocy nieludzkiego terroru osiągnięto zamierzony cel, tak że już w lutym 1930 r. *kolchozy* objęły ponad 45% t. j., prawie połowę ilości wszystkich gospodarstw rolnych.

Jaki jednak jest skutek tego terroru, najlepiej widzieliśmy na granicy, gdzie przez nasze ręce przechodziły całe partje uciekinierów. Od nich dowiedzieliśmy się, jak odbywa się ta kolektywizacja.

Władze sowieckie dążą do tego, by *kolchozy* powstawały „dobrowolnie”. Najpierw więc proponują ludności, by „dobrowolnie”, z własnej inicjatywy utworzyła *kolchoz*. Gdy propozycja ta nie odnosi skutku, wtedy ogłaszają że wszyscy, którzy w oznaczonym dniu nie wstąpią do *kolchozu*, są wrogami rewolucji, majątek ich podlega konfiskacie, a oni z rodzinami będą zesłani na Syberję. Chłopci bezrolni i małorolni, nie stawiają zbyt silnego oporu i wstępują do *kolchozów*, nic na tem nie tracąc, gdyż zwykle cały inwentarz żywy sprzedają lub zabijają. Znane są fakty, że ludność tych okolic, gdzie najpierw zaczęto wprowadzać kolektywizację, wysprzedawała in-

wentarz prawie za darmo, n. p. konia można było kupić za kilka złotych. Kto nie mógł inwentarza sprzedać, niszczył go. Widząc, co się dzieje, władze wydały dekret, że za niszczenie i ubój inwentarza będą stosowane kary ciężkiego więzienia i zesłanie na Solówki lub na Syberję, a w niektórych wypadkach nawet kara śmierci.

Pomimo tych wszystkich zarządzeń i terroru, przejawiającego się w masowych aresztowaniach, zesłaniach a nawet karach śmierci, ludność ciągle opiera się kolektywizacji, a godzi się z tem niechętnie dopiero po wyczerpaniu wszystkich środków obrony. W końcu ulegając przemocy, przystępuje do *kolchozów* po zniszczeniu całego inwentarza, dosłownie z gołymi rękami, tak że utworzone *kolchozy* nie mają ani narzędzi, ani inwentarza, ani też ziarna na zasiew. Wprawdzie, według zapowiedzi, wszystko to ma dać państwo, ale w rzeczywistości wygląda to znacznie gorzej. Według obietnic *kolchozy* mają otrzymać traktory, pługi motorowe, kultywatory, siewniki, nasiona, jednym słowem wszystko, co potrzebne w dobrze prowadzonym gospodarstwie. Jest to tylko gołosłowna obietnica. Nawet statystyki sowieckie przyznają, że na wiosnę 1930 r. *kolchozy* posiadały najwyżej 54% niezbędnej ilości traktorów, w niektórych rejonach tylko 3%, pługów około 54%, siewników 38%. Gorzej jeszcze przedstawia się stan nasion, który w wielu rejonach nie przekraczał 20% potrzebnej ilości, a według źródeł sowieckich wynosił w całej Rosji średnio 85% potrzebnej ilości. Jest to stan rozpaczliwy, gdyż olbrzymie obszary ziem leżą odłogiem, bo niema narzędzi i nasion.

Niezbyt wrogo usposobieni do *kolchozów* są bezrolni i małorolni, którzy wstępując do nich, nic nie tracą. Natomiast największy opór stawiają włościanie zamożni i średnio zamożni, którzy z gospodarzy na własnej roli, przechodząc do *kolchozów*, stają się najemnymi parobkami, otrzymującymi za swoją pracę tylko jadło i obietnicę ubrania. To też przeciwko nim zastosowano największy terror. Za kułaków uznano nawet posiadających od 5 do 10 ha gruntu. Całe więc masy włościan wyjęto z pod prawa, a tem samem jako wrogów państwa gnębiono i prześladowano. Tysiącami wysyłano na Solówki i w najgorsze okręgi Syberji, zapelniono nimi więzienia, za najmniejsze przewinienie rozstrzeliwano, a wszystkim bez wyjątku konfiskowano cały majątek. Mało jest takich szczęśliwych, którym udało się przejść granicę i schronić się w sąsiednich państwach, gdyż władze sowieckie zorientowawszy się, że będą oni zagranicą najgroźniejszymi agitatorami przeciwkomunistycznymi, wzmocniły ochronę granicy. Z tego też powodu, aby tym nieszczęśliwcom uniemożliwić ucieczkę zagranicę nie został zwolniony do rezerwy ostatni rocznik,

a w ten sposób stan liczbowy pogranotrajdów¹⁾ wzrósł prawie w dwójnasób.

Pomimo tak wzmocnionej ochrony granic wielu mieszkańcom wsi nadgranicznych udało się zbiec do Polski i innych krajów. Ucieczka z głębi Rosji jest prawie niemożliwa.

Często na granicy słyszymy po stronie sowieckiej strzały, są to odgłosy „polowań” na kula-ków, którzy usiłują przekraść się przez granicę.

Najsmutniejszy los jest udziałem zesłanych na Solówki lub na Syberję. Głód, choroby i nę-dza dziesiątkują szeregi zesłanych, a władze sowieckie nic nie robią dla ulżenia ich doli, chcąc w ten sposób pozbyć się wszystkich nieprzychylnych sobie. Jakie są warunki życia zesłanych — wiemy z opowiadań uciekinierów. Przytoczę tylko jako przykład opowiadanie jednego, któremu udało się zbiec do nas. Został zesłany na Syberję w jesieni 1929 r. Wcielono go do grupy liczącej 1.000 ludzi, przeznaczonej do rabania drzewa. Pracowali całą zimę. Kto podarł swoje obuwie, pracował bosą na śniegu. Chodzili w łachmanach. Mieszkali w nieopalonych barakach. Na wiosnę 1930 r. z tysiąca pozostało około 400, a reszta przez zimę wyginęła z głodu i zimna.

Dawniej chłop bezrolny lub małorolny mógł przy gorliwej pracy dorobić się kawałka własnej ziemi, a oszczędnie żyjąc, wyżywił w zupełności swoją rodzinę i pozostawiał jej krwawicę swego trudu — niewielkie, lecz własne gospodarstwo.

Dzisiaj nie posiada żadnej własności. On, ziemia, dobytek jego cały należy do państwa. Jego rodzina skoszarowana, ziemia upaństwowiona. Nic go nie cieszy. Nie widzi żadnych rezultatów pracy. Stał się niewolnikiem, obrabiają-

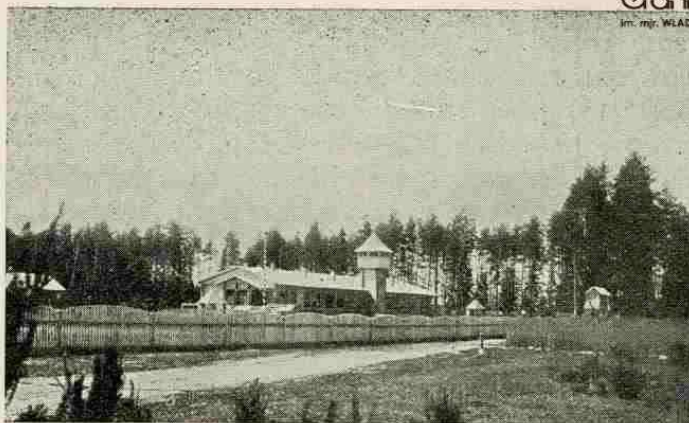
¹⁾ oddziałów strzegących granicy.

ZDZISŁAW KOWALEWSKI

PIERWSZY ZNAK GRANICZNY

Czołowa sekcja kaprala Stefana Marciniaka budziła gniew w kompanji. Z gęstwy kolumny leciały ku niej raz po raz złośliwe okrzyki: Galopiarze! Wolniej!

A kiedy padła upragniona komenda „Stój!”, szeregi rozsypywały się w mgnieniu oka do przydrożnych rowów i kładły się tam na zrudziałą jesienną murawę. Zakurzeni, zziązani żołnierze ocierali pot z czoła i wyciągali z lubością przemęczone nogi; jedni przewijali onuce, drudzy ciągnęli pośpiesznie parę łyków z manierek i zagryzali chlebem, a inni znów poprawiali rzemie-



Obwód kompanji Chominka w 1930

cym z konieczności ziemię, aby nie umrzeć z głodu. Sterrozywany, umęczony strachem stał się bydłem roboczym, zepchniętym do ostatniego rzędu ludzi. Za swoją pracę dostaje tylko jedzenie ze wspólnej kuchni, obietnicę, że otrzyma kiedyś ubranie, a mieszkać musi tam, gdzie mu każą, nieraz po kilka rodzin w jednej izbie.

Często zachodzą wypadki, że chłopci nie mogąc znieść tych warunków porzucają kolchozy i wędrują w okolice, gdzie jeszcze nie wprowadzono kolektywizacji. Władze sowieckie występują energicznie przeciwko tej wędrowności chłopów i noszą się z zamiarem wydania zarządzenia, mocą którego każdy będzie jak za czasów pańszczyźnianych do swego kolchozu „przywiązany”, nie mogąc z miejsca swego pobytu wyjechać bez pozwolenia władz. Jednym słowem, rosyjscy chłopcy wracają do tego stanu, w jakim żyli przed rokiem 1861, t. zn. przed uwłaszczeniem, z tą tylko różnicą, że wtedy byli niewolnikami i odrabiali pańszczyznę dla magnatów i szlachty, a teraz stają się niewolnikami komisarzy i krwawego kata Rosji — Stalina.

nie i troki, oglądając, czy nie da się jeszcze czego wyrzucić z plecaka. Dopiero w ostatnich minutach krótkich odпочynków sypały się znowu docinki. „Na kiego djabła lecicie, jak na odpust? Trzymać tempo! Propellerów nie mamy. I tak dogonimy czubów”. Marciniak słuchał tych urągów spokojnie, spoglądając z uśmiechem na dowódcę kompanji. W marszu jednak powtarzało się to samo. Pierwsza czwórka, równając do swego dowódcy, przyspieszała ciągle kroku i wleciała wprost na pięty porucznika. Wreszcie na którymś z dłuższych postojów odczytano żołnie-

rzom rozkaz wyższego dowódcy. Było w nim powiedziane, że nieprzyjaciel rozbity przez zwycięskie wojska polskie, nie ma już sił do dalszego prowadzenia wojny i zgadza się na zawarcie pokoju. Za kilka dni wejdzie w życie zawieszenie broni, lecz teraz trzeba się spieszyć, bo „przemaszerowanie kilometra jest równoznaczne z rozszerzeniem o kilometr granic naszej Ojczyzny”. (Z rozkazu dowódcy II-ej armji generała Edwarda Rydza-Śmigłego).

W kompanji zapanowała podniosła cisza. Wszyscy zrozumieli, że stoją w przededniu ukończenia wielkiego dzieła, budowy wolnej i potężnej Polski, dzieła, do którego przed dwoma zgórą laty powołał ich Naczelny Wódz Józef Piłsudski, pod którego buławą zwycięskiego marszu teraz dokonywują. W serca żołnierskie wstąpiła duma, ogarnęła je wielka radość, jasna świadomość swej mocy i potęgi czynu. Wyrazem tych uczuć był gromki okrzyk: „Pierwszy Marszałek Polski Józef Piłsudski niech żyje!”

A kiedy kompanja rozeszła się, na Marciniaka poczęto spoglądać z większym szacunkiem. Autorytet jego wzrósł. Niewiadomo było, czy pierwszy sekcyjny, korzystając ze względów u przełożonych, dowiedział się od nich wcześniej o istotnych celach i motywach ostatnich działań wojennych, czy też odczuł je w swojej prostej a przepojonej wielką miłością ojczyzny—duszy. Widząc zmianę w zachowaniu się kolegów, ani się zdziwił tem, ani chełpił. Po dawnemu troszczył się o swych podwładnych, pilnował porządku w sekcji, czuwał nad wszystkim i pilnie wpatrywał się w porucznika, gotów jak zawsze na ochotnika wykonać każdy jego rozkaz.

Gdy potem ruszono dalej, w kompanji nie było już słyhać żadnych kpın ze zbyt szybkiego tempa marszu. Przeciwnie, wszyscy pośpieszali jak mogli, a nawet najslabsi, zacisnąwszy zęby, wieszali karabin na szyji i wyciągali nogi, byle

tylko nie zostać wtyle. Był to naprawdę wyścig o granice Polski.

Nadszedł wreszcie dzień 18-go października 1920 roku. Wiedziano już, że o północy nastąpi zawieszenie broni. Nareszcie na froncie miały ucichnąć odgłosy strzałów armatnich i karabinowych. Pełne tajemnic przedpole wyżenie ze swych mroków śmierć, która dotychczas królowała tam niepodzielnie.

Zatrzymały się dywizje i pułki w zwycięskim swoim pochodzie. Na upatrzone zgóry linje wyrzucono oddziały ubezpieczające, by czuwając

z bronią w rękę, nie dopuściły wroga na ziemię, które za parę chwil miały stać się wieczną własnością Państwa Polskiego.

Na jedną z takich placówek poszedł plutonem i jednym karabinem maszynowym kapral Marciniak. Zadaniem jego było wysunąć się o kilometr przed wieś Wilkołatkę i zamknąć przed młynem skrzyżowanie dróg, wiodących do tej wsi. W prawo o kilkaset kroków stała placówka numer jeden, w lewo za rzeczką placówka numer trzy. Reszta kompanji rozlokowała się jako odwód w Wilkołatce. Chwilowo na przodzie pracowały patrole, które po zaciągnięciu ubezpieczeń, miały opuścić przedpole.

Marciniak, przechodząc koło młyna, mimowoli zwolnił kroku. Stanął mu przed oczyma taki sam duży, niezdarny, gontem kryty budynek, w którym spędził dziecinne lata. Stary Marciniak bowiem dzierżawił przez długi czas młyn wodny w Komornikach pod Warszawą. Stefan lubił przypatrywać się kiedyś, jak ojciec podnosił stawidła i woda wartkim jasnym nurtem padała na szczeble koła, wprawiając je w miarowy ruch, a potem jakby zmęczona leciała już bezwładnie białą, pianistą strugą wdół, gdzie było królestwo kielbi, okoni i jazi. Młyn terkotał, dygotał cały, a z grubych czworokątnych, drewnianych rur sypała się do podstawionych worków śnieżna mąka. Ta monotonna,



Marciniak przechodząc koło młyna mimowoli zwolnił kroku...

głucha pieśń wirującego koła, wody i ciężkich kamieni, trących zboże, kołysała kiedyś do snu małego Stefanka. Teraz, patrząc na pusty, cichy, opuszczony, tak dobrze mu znany warsztat pracy, uczuł, że ogarnia go smutek. Lecz w tejże samej chwili zrozumiał ważność swego nowego posterunku. Przecież jego placówka ma bronić właśnie tego młyna. Napewno bolszewicy chcieliby go mieć w swych rękach w dniach pokoju, który zawita zarazem z północą. A niezadługo będą się zjeżdżały na dziedziniec przed młyn całe szeregi wozów. Pochyleni pod ciężarem będą ludzie znosić do wnętrza worki z jasnożółtym owsem i jęczmieniem, z twarogiem, ciemnym żytem i złotą pszenicą. Otrząśnie z siebie wówczas pleśń zadumane koło i pójdzie w radosny płas z utęsknioną wodą.

Wkrótce Marciniak rozstawiał już czujki, dając im szczegółowe instrukcje, skąd i dokąd mają obserwować, co jest przed nimi i obok, jak mają się zachować, skoro zobaczą coś podejrzanego; powiedział im hasło i odzew, poczem wrócił na stanowisko placówki przy skrzyżowaniu dróg

Przez resztę popołudnia nie zdarzyło się nic ciekawego. Co dwie godziny starszy szeregowiec Koziółek przeprowadzał zmiany czujek, a reszta półplutonu, za wyjątkiem wartownika alarmowego, używała z lubością wypoczynku. Powoli nadchodził zmrok. Słońce stoczyło się płomienistą kulą na skraj liljowego widnokregu i znikło. Rżyska, ugory i łąka poszarzały nagle, czerniały, jakby zamarły. Od rzeki wionął chłód. Bezlistne wierzby przydrożne przybrały dziwnie pokręcone kontury. Żołnierze na placówce mimowoli skupili się, otaczając swego dowódcę. Zaprzestali palić papierosy a wokoło roztaczała się coraz większa ciemność i cisza. Około godziny ósmej przybył łącznik od dowódcy kompanji. Okryli Marciniaka szczelnie ze wszystkich stron płaszczami, a on, zapaliwszy zapałkę przy ziemi, wolno czytał: „O północy wchodzi w życie za-

wieszenie broni. Trębacze punktualnie o godzinie 24 dadzą znać o tem postanowieniu sygnałem. Od tej chwili ustają wszelkie działania bojowe. Oddziały zostają na swoich stanowiskach. Czołowa linja będzie prawdopodobnie stanowiła przyszłą granicę państwa”.

Jeszcze cztery bez mała godziny, — mignęło w myśli wszystkich żołnierzy. Ale jakos powoli, w ogólnem podnieceniu i zdenerwowaniu, minęła jedna i druga w zupełnym spokoju. Na niebo wypełził bład księżyc i, przemykając między chmurami niknął, pozostawiając ziemię w czarnej ciemni, to znów wyglądając ciekawie, sypał ku niej mleczno-łśniącą poświatę. Wschodni wiatr przyniósł na swych skrzydłach chłód, który lekkim zamrozem chwycił ziemię, ściskając ją w grudy i pokrywając kałuże cienkiem szkliwem.

Nagle od strony pierwszej czujki padło dalekie echo strzału. Jednocześnie prawie rozległo się zduszone, wściekle „hurra”. Drżący sznur czerwonych ogników zamigotał w ciemności, wyprzedzając o ułamek sekundy bezładny, szybki grzechot liczniejszych już wystrzałów. W górze zabręczały pociski, strącając na głowy placówki małe gałązki.

„Na stanowiska!” — rozległ się spokojny, donośny głos Marci-



W pewnej chwili Marciniak podniósł się...

niaka. Żołnierze sprawnie wykonali wszystkie rozkazy dowódcy. Karabin maszynowy, wycelowany już za dnia, sypnął momentalnie długą serję w kierunku wroga, a potem krótką — po głównej drodze. I tak na zmianę obsiewał swemi strzałami te dwa najdogodniejsze dla nieprzyjaciela podejścia, patrolując ponadto co chwila ogniem poprzecznym przestrzeń pomiędzy nimi. Półpluton zaległ pod drzewami i w rowie. Na nałożonych bagnietach łamało się srebrem światło księżyca. Pod ręką leżały zaostrome granaty. Oczy pilnie wypatrywały drapieżnych cieni wroga. Z bronią przy oku czekano jego wystrzałów, by w różowe

jarzących się nimi luf wysyłać stalową odpowiedź.

Czujki łukiem wróciły szczęśliwie do placówki. Meldowały, że nacierają dwie kompanie, albo i cały bataljon. Z wiadomościami temi skoczył łącznik do dowódcy kompanji.

Położenie placówki stawało się jednak groźne. Nieprzyjaciel nacierał większymi siłami i na sąsiednich odcinkach toczyła się również zacięta walka. Odwód mógł przybyć za późno lub skierować się gdzie indziej.

Kłębiąca się dołem nadrzecznej łąki puszysta mgła mogła być wspaniałem ukryciem dla wroga.

Wdzierając się w jej białe nieprzenikliwe zasłony mógł łatwo przejść aż na tyły placówki. To najwięcej niepokoiło Marciniaka. Zdawał sobie doskonale sprawę, że wtedy nietylko znalazłby się ze swoimi żołnierzami w bardzo trudnem położeniu, ale co gorsze nie mógłby już myśleć o obronie młyna, do którego droga stałaby dla nieprzyjaciela otworem. Do tego zaś nie chciał dopuścić za wszelką cenę. Dziwnym, tajemnym porywem uczucia ten milczący, pusty młyn stał się już bliskim i drogim sercu dowódcy placówki Nr. 2.

I wola Marciniaka stężała w upór, a męstwo żołnierskie stalowym pancerzem okryło mu piersi. Wiedział tylko jedno, że cofnąć mu się nie wolno, że ma stać na posterunku aż do ostatka. Nie oczekiwał już pomocy i własnymi siłami postanowił wypełnić zadanie.

Na łąkę wysunął mały patrol, aby się nie dać zaskoczyć zbliska, a sam pozostał na drodze czujny, przygotowany na wszelkie niespodzianki.

Szczęściem księżyc, jakby zaciekawiony tą bohaterką postawą garstki żołnierzy, wydzwignął

swą błyszczącą tarczę wyżej w górę i zawiesiwszy ją nieruchomo między gwiazdami, zaprzestał nurkowania w chmurach, oświetlając wyraźnie cały plac boju. Było widno prawie jak w dzień.

Rosjanie, skutecznie i niespodziewanie powstrzymani w ataku, stracili impet i ograniczyli się do żywej wymiany strzałów. W głębi ich linii słychać było gniewne i widocznie bezskuteczne okrzyki komisarza: „w pierod! w pierod!”

W pewnej chwili Marciniak podniósł się. Zdawało mu się, że z cieni drzew po prawej stronie drogi, w odległości kilkuset kroków, zamigotał zielony ogień rakiety zwiastującej nadejście posiłków. Nagle poczuł na czole jakieś ostre, palące uderzenie. Jednocześnie pod czyszką zaszalał potworny szum, stukot jakby się całe waliły góry, — zaszalał i ścichł...

Blade wargi dowódcy placówki uśmiechnęły się lekko i razem z ostatniem tchnieniem spłynął niedosłyszalny szepot: „To młyn poszedł w ruch”.

W tejże chwili niedaleko z boku rozległ się buńczuczny, dumny, bojowy zew idących do natarcia polskich odwołów.

A w jakiś czas potem na cichem już po-bojowisku w perłowej jaśni księżycowego światła zadźwięczały rozgłośnie chrapliwe sygnały trębaczy. I szły tak po całej linii bojowej od Dźwiny aż po Zbrucz, zwiastując całej Polsce nowe życie w bezkrwawej, twórczej pracy.

Nie słyszał ich kapral Marciniak, który leżał z rozpostartemi rękoma na środku drogi, zagrządzając jakby swem ciałem dostęp do młyna. Z maleńkiej rany na czole spływała wąska wstążka krwi i zwolna wsiąkała w przymarznąętą ziemię, znacząc purpurowy ślad pod przyszłe słupy graniczne.

STANISŁAW FALKIEWICZ

P A P I E R O S.

Polowaliśmy w lasach nadbużańskich na lisy. Dzień był listopadowy, mroczny. W powietrzu czuć było zapach odwilży. Pierwszy w tym roku, puszysty śnieg nasiąkał wodą.

Na linii staliśmy ze strzelbami my dwaj — ja i leśniczy, oraz dwaj gajowi, najlepsi w leśnictwie kołodziąskim strzelcy — Glibowski i Gasztoł. Reszta gajowych, około dziesięciu, zbliżała się z oddali przez przyprószone śniegiem zagajniki i części starego lasu, bez okrzyków i nawoływań, z przyciszonym jedynie pogwizdywaniem.

W głęboką ciszę polanki wpadł nagle nerwowy kłus spłoszonych saren, które zatrzymawszy się prawie tuż u wylotu dubeltówki, — może przestraszone nieznacznem drgnieniem mej ręki, porwały się w susach w bok i skoczyły w ciemny stary bór po drugiej stronie linii. Po chwili zaszepelił śnieg pod skokami ostrożnie kicającego

zajączka. Stał słupka, wypatrzył bezpieczniejszy przesmyk pod świerkami i znikł cicho jak duch.

Wreszcie zjawił się lis. Ciemny, zapadający się w śniegu, niski a długi, bo z kita, jak psiak sznuruje bezszelestnie. Skryła mi go kępa krzaków, u której skraju trzymam muszkę i czekam. Jest. — Grzmi strzał głośny, tak głośny, że zda się — wszystek śnieg pospada z obwisłych gałęzi świerkowych. Lis znieruchomiał. Leży martwy — a może przywarował i czeka, by zmylić myśliwego... Lecz nie, ani drgnie.

W drugim miocie strzelił Glibowski do przebiegającego przez wąską linię — na pięćdziesiąt kroków. Strzał był tak dobry, że lis nie doskoczył już do drugiej strony lasu. W trzecim miocie Gasztoł położył ostatniego w tym dniu zboja — także bardzo celnym strzałem.

Gdyśmy schodzili ze stanowisk, a wiadomo

było, że polowanie w tej stronie skończone, zebrani g jowi wzniesli na moją cześć okrzyk „niech żyje piechota!” Pan leśniczy, lubiący starszego gajowego Glibowskiego, zawołał „niech żyje artylerja!” — Glibowski służył w artylerji. Na leśniczówce przed wyjazdem do lasu spostrzegłem na kurtce Gasztoła odznakę Korpusu Ochrony Pogranicza. Rzuciłem więc gromko „niech żyje Kopl!” Okrzyki, powtórzone przez gajowych, odbiły się długiemi echem od ściany starego lasu na pobliskiem wzgórzu.

Dnia tego dopisało nam wyjątkowe szczęście. To też humory przy ognisku były przednie, zwłaszcza gdy jeden i drugi raz flaszka żubrówki okrążyła koło strzelców i gajowych. Języki rozplątały się i popłynęły opowiadania myśliwskie.

Obok mnie na pniu siedział Gasztoł. Rok temu wrócił z granicy polsko — sowieckiej, gdzie pełnił służbę w kompanji Dołhinów, na straźnicy Sołonoje. Służbę w Korpusie wspominał z przyjemnością. Nic dziwnego — synowi gajowego, wychowanemu w lesie, patrole i zasadzki na „grubego zwierza” w borach nadgranicznych dawały pole do popisu i najwyższe zadowolenie. Opowiadając o nich, ożywił się, policzki mu pokraśniały, oczy roziskrzyły ogniem.

Otworzyłem papierośnicę i poczęstowałem. Podziękował, lecz nie wziął papierosa. Wyraziłem zdziwienie, że wysłużony żołnierz i nie pali. Odpowiedział z uśmiechem, że palił, lecz właśnie na granicy przestał palić. Na moją prośbę opowiedział, jak to się stało.

— Raz o północy zbudził mnie starszy strzelec Piotrowski, przynaglając, żebym ubierał się co prędzej, gdyż dochodzi dwunasta i czas najwyższy iść na wyznaczony przez dowódcę straźnicy patrol. Skoczyłem z pryczy, wciągnąłem mundur, zarzuciłem chlebak, zapiąłem pas, zabrałem granaty i karabin. Piotrowski stał nade mną i tak palił, że nie było czasu zapalić papierosa. A jak to przykro tak „naczczo” iść na dwór! Zrozumie to tylko tęgi palacz, któremu najlepiej smakuje ten pierwszy papieros... Cóż było robić? Piotrowski gorączka, we wrzącej wodzie kąpany żołnierz!

Zauważył, jak ociągam się, stojąc z niezapałonym papierosem w ustach i jak pragnąlbym raz — dwa razy zaciągnąć się. Uśmiechnął się złośliwie i rzekł:

— Niema już czasu na palenie! Zapalisz po służbie. Będzie ci lepiej smakował. Chodźmy!

Wyszliśmy za próg. Uderzył w nas gwałtowny wicher. Nad nami, jakby czarny namiot, rozdymało się i dygotało w podmuchach wiatru niebo usiane gwiazdami.

Było mi zimno. Podążyłem więc szparko za Piotrowskim, aby rozgrzać się. W dłoni niosłem papierosa, jakby w nadziei, że go w drodze zapalę.

Szliśmy w milczeniu dobrze znaną ścieżką patrolową. Oczy, oswoiwszy się z ciemnością bezksiężycowej nocy, rozpoznawały ponad pachnącemi, świeżo zoranemi zagonami cienie grusz polnych, na których wiatr gwizdał dziko, zagajniki olszowe po zacisznych łączkach i zarysy chat na wzgórzu.

Gdy wieś pozostała za nami, wyszliśmy na polną drogę i skręciliśmy do lasu. Na rozstaju zatrzymał się Piotrowski i zawiadomił mnie szeptem, że pozostanie tu na chwilę, a potem pójdzie dróżką leśną, krętą i w niektórych miejscach podmokłą, ale krótszą. Mnie zaś kazał maszerować dalej drogą, którą przyszlismy, okrężną wprawdzie i znacznie dłuższą, ale prowadzącą suchemi zboczami wzgórz i tak wyraźną, że trudno było zbłądzić. Mieliśmy spotkać się przy grobli, która przez bagna i grzęzawiska prowadziła nad brzeg granicznej rzeczki.

Poszedłem. Choć tyle już razy przechodziłem tym lasem, zawsze czułem się w nim, zwłaszcza w nocy, nieswojo. Miejsce to głośnie było z licznych spotkań naszych patroli z dywersantami i przemytnikami. Tędy prowadził ulubiony ich szlak, którym przekradali się z jednej na drugą stronę pobliskiej granicy. Niedawno u stóp omszałych świerków stoczył nasz patrol w jasny dzień prawdziwą bitwę z bandą szpiegowską — przemytniczą. Połała się krew — jeden z bandy padł zabity, a drugi, ranny, dostał się w nasze ręce.

Idąc tym ponurym, ciemnym lasem, stawiałem cicho kroki. Stąpałem bezszelestnie po mchu, rosnącym na krawędziach drogi i po miękkim, suchym piasku na górkach. Pilnie też nastawiałem uszu, aby wśród poszumu sosen ułoić każdy podejrzaný szelest. Czułem jednocześnie całą swoją bezsilność wobec wroga, który mógł stać za pnieniem najbliższej sosny lub gęstwą gałęzi świerkowych.

W obie ręce ująłem karabin i lekko a czujnie, jak kot, kroczyłem. O papierosie zapomniałem.

Po kilku minutach wyszedłem z wysokopiennego, ciemnego lasu. Droga zdradliwa, wyboista skręcała na północ, zakreślając łuk poprzez młody zagajnik.

Gdy wychyliłem się z pod mrocznych sosen i świerków, a nad głową ujrzałem niebo usiane migotliwemi gwiazdami, odetchnąłem, jakby mi ciężka zmora spadła z piersi. W tym niskim zagajniku czułem się swobodniej i jakoś bezpiecznie.

Wnet jednak skończył się zagajnik i droga znów wpadła w ciemny wilgotny las, zbiegając do stóp niedalekiej już grobli.

Ciekaw byłem, kto z nas w oznaczonym miejscu będzie pierwszy.



Humory przy ognisku były przednie...

Zatrzymałem się na chwilę, nasłuchując. Nic jednak nie posłyszałem.

Postąpiłem kilkanaście kroków.

Wtem — co to? Przedemną, niedaleko, gdzie las kończył się pod groblą — zajarzył się ogieniek z papierosa. Przystanąłem. Ogień zgasł, lecz po dłuższej chwili znów rozbrzysnął czerwona iskrą.

— Piotrowski przyszedł pierwszy i czeka — przemknęła mi myśl.

Ruszyłem żwawym krokiem i wyciągnąłem papierosa z kieszeni.

Wtem, gdy dwa — trzy kroki dzieliły nas od siebie, buchnął strzał z boku. Uczułem piekące uderzenie w lewą rękę (papierosa oczywiście wypuściłem) i — upadłem, ażeby zniknąć z przed oczów napastnika. Jednocześnie uczepliłem się nóg palącego. Strzał mnie — sennego dotychczas, odurzonego wiosenną nocą, wiatrem i zapachem lasu — obudził. Jasno, przeraźliwie jasno, zrozumiałem swoją głupotę i zamroczenie, oraz groźbę niebezpieczeństwa. Miałem przed sobą co najmniej dwóch wrogów. Z jednym borykałem się na ziemi, dobywając wszystkich sił, aby co prędzej skończyć z nim i — jeśli to będzie możliwe — rzucić się na drugiego.

Podczas walki i przetaczania się na wilgotnej ziemi lewe ramię sprawiało się bez zarzutu.

Zbocze było dość strome. Staczaliśmy się po niem, obijając sobie głowy o pnie i korzenie. Podczas szamotania nie widziałem, lecz czułem tego drugiego, jak biegł za nami, nachylał się, usiłując zapewne wziąć rozstrzygający udział w naszych zapasach.

Wkońcu, oparłszy się kolanem o korzeń, przychwyciłem wroga, gdy leżał poniżej, lewą ręką za szyję, a prawą dwa — trzy razy zdzieliłem po głowie lufą karabinu. Zajęczał głośno i puścił mnie.

Już porywałem się, aby wstać i rzucić na drugiego, gdy posłyszałem szybkie kroki, potem jeden i drugi strzał.

— Piotrowski — pomyślałem z ulgą.

Z trudem podniosłem się. Bolały mnie wszystkie kości, a lewe ramię piekło dotkliwie ponad łokciem.

Rozejrzałem się wokoło. Ciemność i cisza zaległy pobojuwisko. Wróg leżał bez ruchu opodal.

Po kilku minutach usłyszałem kroki na grobli. Gdy nadchodzący zbliżył się, po czapce, karabinie i ruchach poznałem Piotrowskiego.



Piotrowski zaświecił latarką elektryczną napastnikowi w oczy...

— Piotrowski! — zawołałem.

— A z tobą co, żyjesz?

— Żyję — odparłem, ale tak żalonym głosem, że Piotrowski roześmiał się głośno. Wróg, leżący dotychczas jak nieżywy, poruszył się i jęknął.

— A to kto? — zapytał zdziwiony Piotrowski.

— Jeden z bandy.

Piotrowski pochylił się i zaświecił latarką elektryczną ptaszкови w oczy.

— A toś go ładnie oporządził! A ty nie oberwałeś?

— Coś mnie lewa ręka boli — rzekłem, obmacując ramię nad łokciem. Mundur był mokry, ciepły. Piotrowski oświecił mnie latarką.

— Rannyś, chłopie, ale to chyba lekko. Nic nie będzie, skaleczenie. Opatrzymy na strażnicy. Wstawać! — krzyknął do leżącego.

Pomogliśmy mu i po chwili podniósł się drab z ziemi. Piotrowski związał mu ręce sznurkiem, zrewidował, obszukał dokładnie miejsce walki i kazał iść.

Ruszyliśmy w drogę powrotną na strażnicę.

— Bardzo boli?

— Et, głupstwo, draśnięcie...

— Masz papierosa, zapalimy — rzekł Pio-

trowski serdecznym głosem, jakby przeprasząc za złośliwość, jaką okazał mi przed wyjściem na patrol.

— Dziękuję ci, nie zapalę — rzekłem bez gniewu. Wzdrygnąłem się jednocześnie na myśl o papierosie, który został na pobojowisku. — Jedyny, niemy świadek mojego gapiostwa i mojej głupoty!...

Zdziwiła prawdopodobnie Piotrowskiego moja odmowa.

— Słabo ci? — zapytał.

— Ot tak sobie — zbagatelizowałem, choć wszystkie mnie kości jeszcze bolały i ręka dokuczała.

— Jakżeż to było? — zapytał.

Opowiedziałem pokrótce, jak natknąłem się, idąc ku grobli, na dwóch drabów, z których jeden poczęstował mnie — chwała Bogu — nieszkodliwie kulą. Nie wspomniałem oczywiście o jarzącym się papierosie i o tem, jak bezmyślnie, niczem ćma urzeczona, leciałem do tego ognia.

— A ja — opowiadał Piotrowski — załatwiłem sprawę i puściłem się lasem ku grobli. Już byłem niedaleko, gdy gruchnął strzał, ale nie karabinowy, a z rewolweru. Wypadłem na groblę. Wtedy strzelił ten drugi do mnie i puścił

się do granicy. Wygarnąłem za nim, ale jak przekonałem się — bez skutku. Uciekł drab...

Wracaliśmy tą samą drogą, którą niedawno maszerowałem. Dniało już. Z mroków wychodziły coraz bliżej drzewa i krzaki. Na błędnym niebie gasły gwiazdy. Wiatr nabierał sił i uderzał chwilami z wzmagającą się gwałtownością w las, przeginał smukłe, podniebne sosny, niósł się z poszumem i jękiem konarów.

Gdy wyszliśmy na pole, tak było jasno, że przyjrzeć się już mogłem mojemu wrogowi. Miał starą potarganą kurtkę wojskową i długie buty. Piotrowski włożył mu na głowę kaszkiet kroju rosyjskiego — znalezione na pobojowisku pod groblą. Młoda twarz była szpetnie posiniaczona. Poznałem ślady mego karabina.

Patrzył jednym tylko, bardzo sprytnym, małym oczkiem. Drugie było zapuchnięte.

Na strażnicy, zaalarmowanej strzałami, zdaliśmy jeńca i zameldowaliśmy panu porucznikowi przebieg zajścia.

Pan porucznik wyraził swe zadowolenie i jak to miał zwyczaj, gdy był w dobrym humorze, podniósł leżącą na stole papierośnicę i podał najpierw Piotrowskiemu, a potem mnie. Wstyd, piekący wstyd poczułem w gardle. Nie mogłem wykszusić słowa i wyznać prawdy o papierosie. Po chwili nieswoim, obcym głosem rzekłem.



Pan major udekorował nas przed frontem...

— Dziękuję, panie poruczniku, przestałem palić.

Nigdy nie zapomnę zbaraniałej miny Piotrowskiego.

— Idźcie, Gasztoł — rzekł porucznik. — Niech wam Przepiórka opatrzy ramię i kładźcie się spać, bo zmęczeni jesteście setnie.

Pan porucznik podał nas do odznaczenia. W kilka miesięcy później nadeszły do bataljonu dyplomy i krzyże. Pan major udekorował nas przed frontem kompanji szkolnej w Budstawiu „krzyżami zasługi” i odznaka Korpusu Ochrony Pogranicza. Wkrótce skończyła nam się służba. Z sercem naprawdę ściśniętem pożegnaliśmy dowódców i kolegów i pojechaliśmy do domów.

Odtąd już nigdy nie miałem papierosa w ustach. A kiedy mnie kto poczęstuje, staje mi w pamięci ten czerwony ogieniek nad granicą w ową marcową noc i przykro mi, i wstyd, że tak zagapiłem się wtedy.

— Dobrze, że taki był koniec. Mogło być gorzej — dodałem.

— Czas iść na Kulis. Późno, niezadługo zmrok zapadnie — zawołał, zrywając się z miejsca pan leśniczy.

Wstaliśmy i podążyliśmy na nowe stanowiska.

JERZY SZYSZKO-BOHUSZ

PRZEORANY ZAGON

Słońce już dawno wstało za rzeką. Dawno już posłało swe powitalne promienie schylającym się nad wodą wierzbom, poranny hymn szemrzącym trzinom nadbrzeżnym, chcącym jego pozdrowień brunatno-żółtym słonecznikom, pasowym malwom, rosnącym w opłotkach... Obudziło już jaskółki, które gniazda sobie ulepiły u gontów, skowronka wśród polnych skib i plebejskie plemię wróbli, co swym świergotem i hałasem wypełniły zarośla. Krzewy

i drzewa, zabudowania i chałupy posłały swe długie, strzeliste cienie, co pobiegły hen daleko, naprzelaj przez pola, doły i wzgórza, by potem, w miarę jak słońce będzie wznosiło się — cofać się kurczyć i pęcznić.

Ruchem i gwarem wypełniły się szybko drogi i obejścia ukraińskiej wioski, budzącej się do szarego dnia chłopskiego życia.

Zaspani wyłażą ludzie z chat. Baby drób i bydło karmią i poją, dla chłopów jadło wa-

rzą. A potem ruszają ludzie w pole by ostrzem pługa rozorać urodzajne, brunatne łono matki-ziemi, plonem obfitym darzącej bogaty, słoneczny i pogodny ten kraj...

Tylko w obejściu Prakseady, po Mykycie Traczuku wdowy, życie jeszcze się nie obudziło i panuje zupełna cisza.

* * *

Przeciąga się Prakseada na twardem, biednem posłaniu. Oczy kułakiem przeciera, zaspnym wzrokiem wodzi „po” pustej, samotnej izbie. Wie, że trzeba zwlec się z barłogu, że trzeba szparko zwinąć się z robotą w domu i wyjść w pole z pługiem. Wie, że ani ją nikt w tem nie wyreczy, ani jej nawet dopomoże.

Ale jest dziś zupełnie rozbita. Próbuje się dźwignąć. Kości ją bolą. I mięśnie...

Tak ją wczoraj zbił ten drab!

Jednego dnia tyle się odrazu zważyło na jej starą głowę. Wanię zabrali. Może go już nigdy nie zobaczy. A tu ją jeszcze ten podlec zbił. Jakby co była winna!

Żalność wielka weszła w samotnem sercu Prakseady i po raz pierwszy, odkąd na świat przyszła, zamysliła się nad swoją smutną dolą. Po raz pierwszy zatopiła się w niewesołych wspomnieniach, uciekając od niewesołego „dzis” od tego, że trzeba iść i samej ciągnąć swoją taczkę.

A przecie życie niezawsze wydawało się — taczka!

Były dni słoneczne, wiosenne, kiedy wszystko zdawało się pięknem i kochanem. A najpiękniejszym i najukochańszym — Mykyta! Biegała z nim się spotykać tam w gaju, za rzeką. I w borze ciemnym. I z wieczora za opłotkami. A jak całował! Jak miłował! Kiedy nieraz prowadził ją potem całą splanioną — wszystkie dziewczęta patrzyły z zazdrością, przez złość i zemstę strzępiły na niej ozory.

Ale on ją poprowadził przed ołtarz i po świętym sakramentem małżeńskim ich połączył.

Zły Mykyta nie był. Czasami pił. A kiedy po pijanemu parę żeber przetrzącił, Prakseada wiedziała, że to przecie nie ze złości. Wszak „jak muž żynki nie bije, to u nij utroba hnije”...

I dziecko jedno sypało się za drugim, i pracy było dużo, i młodość uciekała. Ale ona nie sarkała na los.

Aż raz...

Przyjechały żandarmy. Rozlepiły jakieś

wielkie „ukazy” na gminie, na cerkwi i na szynku. Ludzie „uczenni” powiadali, że to car batiuszka w obronie słowiańskiego narodu wojnę „germańcom” wypowiedział i że chłopów biorą teraz w żołdacy.

Wzięli i Mykytę. Co za lament był! Dzieci darły się jedno przez drugie! Prakseada z bólu skamieniała. Wczepiła się dziko, spazmatycznie w fałdy jego rubachy, że aż musieli ją siłą odrywać. Mykyta, w oszłomieniu nie wiele jeszcze rozumiejąc, wciąż głupawo się uśmiechał i z bezmyślnie wdal wlepionym wzrokiem wołał na odchodnem:

— „Prakseada, zobaczysz, wrócę jeszcze przed zimą”. I dodał z błyskiem w oczach: „A zdradz mnie babo! To zobaczysz!”



I zaczął się nad nieszczęśliwą znęcać...

Nie zdradziła...

Ale też nigdy go już więcej nie zobaczyła. Ani przed zimą. Ani na wiosnę. Ani później... Jak poszedł, tak wszelki po nim zaginął ślad. Wojna pochwyliła go w swe potężne tryby i gdzieś tam zmęła na drobny proch, czy może żywo i cało wyplunęła kędyś w drugim świecie krańcu, by nowe w nieznanym kraju rozpoczął życie.

A Praksedę wkrótce wdową po Traczuku przewzano.

I wdowi też dla niej zaczął się los.

Sześcioro drobnych dzieciaków wykarmić, gospodarstwa dopilnować, na jarmark do miasteczka

pojechać. Samej bez chłopca wszystkiemu wydołać. Ciężka jest wdowia dola! Kiedy jeszcze wieczór przyjdzie, a tu baba sama, to aż cknąć się i do białego rana z tej samotności oka zmruczyć nie może.

Ale Prakседа wszystko cierpliwie znosiła i na Boga nie szemrała.

Aż na Mikulińce w całej swej grozie spadła wojna, co to w proch i pył roztała już tysiące wsi i setki miast.

Gdzieś, coś się załamało, front drgnął i potoczył się na wschód, potopem wojennym zalewając czarnoziemny, urodzajny w zboża, buraki i chmiel, obfity w miód i słodsze od miodu czarnobrewę krasawice,—Wołyń.

W oddali zadudniła kanonada. Mikulińce rozedrgały się życiem odwrotu wielkiej armji. W panice, ratując skąpy dobytek, rzuciła się wieś do ucieczki na wschód.

Prakseda została.

„Tuteczki prijszła na swit, tuteczki i pomiraty mene treba!”

Widziała tedy, jak w odwrocie „swoi” żołnierze splondrowali wieś, a opuszczając ją podpaliłi. Szczęściem wiatr silny dał na pola—i pożar, strawiwszy część tylko zabudowań, wygasł powoli.

Wtedy spadł na Mikulińce deszcz żelaza. Siedząc w lochu myślała, że to już koniec świata i dziwiła się bardzo, kiedy, po zmilknięciu kanonady wyjrawszy na świat Boży, zobaczyła, że wieś wprawdzie pogruchotana, ale na dawnym stoi miejscu.

Nie przyszedł też koniec świata, kiedy po tej krótkiej ciszy wpadły do wsi niemieckie kompanje i pognały przed siebie za uciekającym wojskiem cara.

Na noc Niemcy wrócili.

Jedyną córkę Olenę ukryła przezornie Prakседа na strychu. Przeszukując całą chałupę, znaleźli.

— Dać ją tu!

Wyciągnęły się szwabskie ręce po młodycę.

Pazurami, zębami broniła córki, wierzgała, kopała, klęła, Boga i czartów wzywała na pomoc. Wreszcie padła pod ciosem kolby.

A kiedy przyszła do siebie, Olena już nie potrzebowała ani jej obrony, ani opieki. Skorzystawszy z chwilowej nieuwagi swego pierwszego kochanka, który chciał zdobyczą podzielić się z towarzyszami broni—w najwyższym osłupieniu i przerażeniu dopadła studni i w jej ciłej głębi znalazła bezpieczne schronienie.

Prakseda myślała, że tego nie przeżyje. Pierwszy raz w życiu jej nawpół tylko świadoma dusza zbuntowała się przeciwko Bogu i, miotając się w paroksyzmie niezmiernego bólu, przeklinała Go za hańbę i śmierć córki.

Ale przeżyła i to. I wiele jeszcze potem przeżyła...

Zagarnięci przez niemiecki pościg powrócili uciekinierzy i zamieszkali na zgliszczach i ruinach wsi. Popłynęły dni i miesiące nędznego żywota.

Przez Mikulińce, położone nieopodal ważnego traktu, przewalały się tam i zpowrotem różne armje i bandy. Niemieckie i moskiewskie, „białe” i „czerwone”, a każda jeszcze coś znalazła do zabrania, do wyniesienia z niegdyś bogatej izby. Każda miała jeszcze z czego ją ogołocić.

Nie miała sił, nie umiała też obronić swych synów, gdy los po nich wyciągnął kościstą dłoń. Porywały ich grasujące epidemie, porywały grasujące watahy i wojska, burzliwe życie, wartki potok wojny i rewolucji.

Aż została stara Prakседа z jednym jedynym najmłodszym Iwanem, Wanią.

Wzerała się w ziemię wszystkimi swymi siłami i przez całą wieś zapomniana, zostawiona własnemu losowi, z twardym chłopskim uporem potrafiła tyle z niej wydobyć, by siebie i Wanię wyżywić.

Tymczasem skończyły się przemarsze tam i sam włóczących się oddziałów; przyszło „pańskie” wojsko i tuż za Mikulińcami wytknęło granicę polskiego państwa.

Przyszły spokojne czasy. Zaczęły odbudowywać się zgliszczka i ruiny, powracał dobrobyt. Zrazu niepokoiły jeszcze bandy, wpadające z za bolszewickiego kordonu na gwałt i rabunek. Od chwili jednak, kiedy na skraju wsi stanęła strażnica K. O. P-u, zapanował spokój. Naprawiano zniszczone przez wojnę na drogach mosty, dzwignięto we wsi szkołę, odbudowano spaloną cerkiew, by naród prawosławny miał gdzie Bogu dziękować, iż przeszły już lata wojny, i prosić, żeby nigdy nie wrócili.

A po wojnie pozostał już tylko wysoki kurhan pod lasem gdzie, jak to napis na krzyżu głosi, śpi w bratniej mogile 200 żołnierzy rosyjskich i niemieckich. I czasami echa wojny budzi terkot karabinów maszynowych i łuna pożarów, bijąca z za granicy sowieckiej. Wtedy każdy krzyżem świętym się żegna i okiem życzliwym spogląda na żołnierzy K. O. P-u, którzy w dzień i w nocy czuwają nad spokojem i bezpieczeństwem wsi.

Prakseda była ze swym Wanią sama jedna. Ludzie mówili, że przez tę wojnę zdurniała i zdziczała, a że bieda była stałym gościem pod jej strzechą, więc od niej stronili. Baby spluwając mówiły o niej, że spała z każdym żołnierzem, jaki stanął u niej na kwaterze.

Cała jej nadzieja w Iwanie. Już podраста, już duży chłopak. Jeszcze dwa, trzy lata, a będzie sam gospodarzył. Odpocznie wtedy Prakседа, odpocznie za wszystkie czasy...

— Co wam, matko?

Iwan, Iwanuszka, Waniusza, najśladzsy synek zachorował nagle. Zaslął i było mu coraz gorzej. Wiął w oczach, z godziny na godzinę.

Jak oszalała biegła od chaty do chaty o radę, o pomoc.

Ludziska jednak mieli swoich kłopotów dosyć. Ktoby tam przejmował się Praksedy bólem. Zachorował — to i wyzdrowieje. Jak chłop silny, to go żadne słabości nie zmogą. A jak słaby, to i tak pomrze. Zresztą — Bóg dał, Bóg weźmie.

Jedna tylko jakaś staruszka zlitowała się i poradziła. Tu niema co marudzić, chłopak pewnikiem umrze. Chyba, że jedyna Marfuszka z Trebuchów, znachorka i zamawiaczka na cały powiat sławna, może coś pomóc. Ale trzeba zaraz, nie zwlekając po nią jechać.

Jakże Prakseda nielitościwie gnała wychudzoną szkapę. Byle prędzej!

Marfuszowa, dobrze opłacona, raczyła odwiedzić chorego.

Tartą cegłę łykać kazała, popijając wywar z suszonego gnoju, ziołami okadziła i codziennie akuratnie o dwunastej w nocy poleciała dobrze w plecy nakłuwać chorego, żeby krew obficie wystąpiła, to czort ciało grzeszne opuści i do piekła powróci. Byleby przy tem nie zapomnieć trzy świece lojowe zapalić i czarnego kota do izby przygonić.

Z tym czarnym kotem było najtrudniej. Ale wkońcu ktoś litościwy pożyczyl i zaczęła się kuracja co się zowie. Prakseda bacznie czuwała, by wszystko się działo według wskazówek znachorki.

A jednak z Waniuszą było coraz gorzej. Znękana matka głową tłukła o ścianę, wyla głucho z bólu i jak szalona miotła się po całym obejściu.

— Wielki Boże! Zmiłuj się nad niewolnicą swoją! Zmiłuj się! Zmiłuj!

Siedząc na przyźbie głośno łkała.

Podniosła zapłakane oczy na jeźdźca, który przystanął przed chałupą.

To kapitan dr. Pawelec, bataljonowy lekarz K. O. P-u, przejeżdżając przez Mikulińce do strażnicy, zainteresował się lamentującą babą.

Pawelec był jednym z tych lekarzy, w którym nawet zawodowe obcowanie z niedolą ludzką nie potrafiło zabić wrażliwości na ból człowieka. Nie mógł obojętnie minąć człowieka, którym ból targa.

— Co wam, kobieto?

I po chwili był już w chałupie. Długo chłopaka badał, oglądał, długo kiwał nad nim głową, wkońcu głosem stanowczym rzekł:

— Trzeba będzie wziąć go do szpitala. Ale bądźcie, kobieto, spokojną. My jeszcze z niego zrobimy ludzi.

Poczem, nie powiedziawszy już ani słowa, skoczył na konia i zawrócił zpowrotem do bataljonu.

W parę godzin potem zajeżdżał przed zagrodę Praksedy wózek sanitarny K. O. P-u i „łapiduchy“ weszli do chorego.

Stara padła w progu na kolana i, ręce w błagalnej prośbie składając, łkać zaczęła i zaklinać, żeby Waniusza nie ruszali.

— Ja go nie dam, nie puszcę! Ja nie pozwolę, żebyście go zabierali. Waniusza może jeszcze żyć!

— Może i będzie, babo — z irytacją rzucił jej sanitariusz, torując sobie z noszami drogę przez drzwi. Ale tu go zostawić nie możemy, bo i samby umarł i epidemję rozwlóczył. W szpitalu będzie mu lepiej.

— Ja nie dam zabrać go do szpitala. Gwałtu, jedyne dziecko mi mordują, ludzie dobrzy, ratujcie! Ratujcie!

Biegła za wózkiem czepiając się poręczyci i zawodząc.

Aż zacięli konia i sanitarka zginęła w tułach kurzu...

Rozbita i znękana wróciła do domu...



Co wam, matko?

im. mjr. WŁADYSŁAWA RAGINIS

Sama jedna do pustej chałupy...

Nazajutrz trzeba było iść w pole do roboty. I tak już zapóźniła się z nią o cały tydzień przez tę chorobę. Więc popłakując jeszcze trochę, poszła.

Kawałek gruntu maleńki miała po tamtej stronie granicy. Za przepustką rolną wolno było przechodzić przez kordon, co dzieli dwa światy.

Niczem te pola się nie różniły, jednakowe były i jednakowy plon dawały. Tylko, że człowiekowi, kiedy te kilkadziesiąt kroków za granicę zrobił, jakoś markotno było i nie zszedł spokoju, zanim nie wrócił z pola.

Postrachem tych wszystkich, co musieli przechodzić za kordon, był brutalny łotysz Dimze, naczelnik pobliskiej sowieckiej strażnicy. Lubił włóczyć się po granicy i pastwić się nad napotkanymi chłopami z Polski.

Bieda w parze chodzi. Praksesta nie miała tego dnia szczęścia.

— Wasz dokument?

Znał babę dobrze z widzenia, ale zawsze...

— Tak, w porządeczku. A cóż to sama? Gdzie synoczek? Słyszałem, wy oddaliście go w żołdacy, tak po dobrej woli na ochotnika do pańskiego burżujskiego wojska? A?

Praksesta tłumaczyła jak mogła, że nie, że chory, że może już nie żyje.

Ale Dimza tej nocy przerznął w karty swoją pensję na trzy miesiące naprzód. Pił do rana. Teraz szukał ofiary. Był w takich wypadkach nielitościwy. Dzika jego, niezająca hamulców, natura wybuchała w atakach nieposkromionego szału.

Nie chciał słuchać, co tam baba plecie.

Ach ty takaja skotina! Ty swołocz takaja! Ja ci pokażę syna w pańskie żołdacy oddawać!

I zaczął się nad nieszczęśliwą znęcać, bijąc ją ręką rewolweru. Pod jednym z takich uderzeń zachwiała się i runęła na ziemię.

Niewiadomo jak długo pastwiłby się jeszcze nad bezbronną, sponiewieraną kobietą, gdyby nie spostrzegł w oddali żołnierzy K. O. P-u, patrolujących granicę.

Kopnął więc babę jeszcze raz na odchodnym, splunął i, oglądając się trwożliwie na zbliżających się polskich żołnierzy, szybko oddalił się, podśpiewując sobie pod nosem:

„My nowyj, ludszyj, ład postroim”*)...

Praksesta nie wiedziała wcale, co się stało, kiedy zaś ocknęła się, była już na polskiej stronie, pod opieką polskich żołnierzy, którzy ją troskliwie cucili. Potem, wzięwszy pod rękę, odprowadzili na strażnicę.

Przyzwyczajona do tego, że przez tyle lat każdy mógł ją poniewierać bezkarnie, nie skarżyła się nawet i dowódcy strażnicy z trudem

dopiero udało się wydobyć z niej zeznanie, które miało posłużyć do wystąpienia przed mieszaną komisją graniczną o ukaranie zbira, napastującego bezbronną obywatelkę polską.

Z beznadziejną determinacją zapewniała, że przecie nic jej z tego nie przyjdzie, jeśli nawet łotr będzie ukarany.

Odprowadzona do chałupy rzuciła się na posłanie i przeleżała resztę dnia. Dziś oto czuje się tak jeszcze obolała, że zdaje się ani ręką, ani nogą ruszyć nie będzie mogła.

Ale twarda, rogata jest dusza chłopca, a nawet baba, gdy koło gospodarstwa zakrzętnąć się trzeba, znajdzie w sobie siły wtedy, gdy już wszyscy będą myśleli, że ich nie ma za grosz.

W końcu więc, jęcząc i stękając, wyszła i Praksesta do roboty w pole, matkę ziemię obrządzić, łono jej brunatne ostrzem pługa otworzyć i na przyjęcie rodnoego ziarna przysposobić, by rosło Bogu na chwałę i plon stokrotny przyniosło.

* * *

Franek Kubiak, powracając z nocnej służby, rozmyślał właśnie, że w K. O. P-ie nie dają człowiekowi pofolgować i ganiają jak psa. Jakby to był tront.

Potem zastanowił się, że właściwie to naprawdę tak, jakby na froncie. W stałem oczekiwaniu, gdzie i kiedy nieprzyjaciół wypad jaki zrobi i co nabroi. W stałem czuwaniu, a bacznie...

— No tak, to piękne, ale... ale pieska i ciężka służba.

Ziewnął głośno, nogi włókł ociężałe i tylko patrzył, kiedy nareszcie będzie strażnica, gdzie można służbę zdać, karabin zostawić i położyć się wypocząć.

Przyszła jednak nowa fala uczuć, — roześmiał się głośno.

— Właściwie, to ci nie dużo potrzeba, żeby narzekać. Kilka godzin na nocnym patrolu i już ci źle. A jeszcze wczoraj z wieczora pisałeś list do domu, wielce sobie chwalać służbę w K.O.P-ie, że lepiej tu niż w koszarach i jedzenie lepsze i rozmaitość jest.

Na wspominek o domu, o swoich starych, zrobiło mu się jakoś lżej na duszy. Jakoś pogodniej rozejrzył się dookoła.

Tę ścieżkę zna jak własną kieszeń. Ileż to razy szedł nią wzdłuż kordonu aż do samej strażnicy. Wiedział już nawet, do kogo mijane zagony należą. Czasami przechodząc pozdrawiał pracujących w polu chłopów po imieniu.

O, tam na wzgórkach zaczyna się półko Praksedy Traczuk, biednej wdowy po żołnierzu. Pracuje zawsze z chłopakiem — swym jedynym synem.

*) My stworzymy piękny nowy świat..

Zupełnie tak, jak jego własna matka w czasie wojny, kiedy to ojciec byli w żołdatkach i tylko on, maleńki wówczas Franek, jak miał i na ile sił starczyło, pomagał jej.

Na wspomnienie tych dawnych, niewesołych dni dzieciństwa, rozrzewnił się trochę, tak, jak się rozrzewnia czasami żołnierz w surowym, wojskowym życiu na myśl o domu i domowych troskach...

Na wzgórzu, na tle nieba zarysowała się zgarbiona, znękana, jakby czemś przybita do ziemi, samotna kobieca postać, ostatkiem sił krocząca za pługiem.

Pozdrowił ją przyjaźnie.

— A gdzie syn?

— Och, panie, słaby, do szpitala zabrali — pochlipując skarżyła się kobieta.

Blado się do niej uśmiechnął i poszedł dalej.

Nagle jednak zrobiło mu się strasznie głupio. Jakież to podłe i niegodziwe! Tylu chodzi mężczyzn pełnych sił i nikt nie pomoże tej biednej, opuszczonej kobiecie. Nikt nie okaże jej choćby odrobiny serca, nie ulży w niedoli.

Przed jego oczy uparcie powracała wizja własnej matki, kiedy tak samo znękana i słaba uparcie ziemię pługiem krajała, ziarno siała i żniwo czyniła. Jakże strasznie z życiem się łamała i jak żałosne było jej łkanie, kiedy czasami nie mogła podoląć krzywdzącemu cierpieniu.

Silna jednak była ta jego matka!

Tak, jak silną jest ta Ukrainka!

W znużonej jego głowie wciąż kojarzył się los dwóch kobiet.

I oto ta zupełnie obca mu wiara, językiem i narodowością kobieta przez swe cierpienie stała się taką bliską, że niemal fizycznie czuł ból jej duszy i zmęczenie ciała.

Już widzi co ma uczynić.

Przyspieszył kroku. Na strażnicy chyżo załatwił swe sprawy, uzyskał pozwolenie wyjścia i, ani myśląc o spoczynku, szparkim krokiem

powrócił w pole. — Ej, kobieto, puście mnie do pługa — rzekł wesoło, łagodnym ruchem odsuwając Praksedę nabok.

— Gdzie wam! Nie żartujcie pan z biednej kobiety.

A jednak puściła pług. Odsunęła się i patrzyła na Franka ze zdumieniem. Nie rozumiała, co to za fantazja przyszła mu do głowy. Wiodła za nim okiem, jak prowadził pług zagonem, patrzyła na tego obcego człowieka, tego „pana”, bo tak na Kresach mówi się na polskiego żołnierza, jak obcą orał ziemię. Nie mogła wyjść z podziwu, nie mogła tego zrozumieć, nie mogła znaleźć odpowiedzi na pytanie — dlaczego?

Dlaczego ten „pan”, przemawia do niej miękkim, ciepłym głosem, jak do rodzonej matki, dlaczego on właśnie, ten Polak, wyciągnął do niej dłoń pomocną, z którą nie spieszył nikt ze swoich.

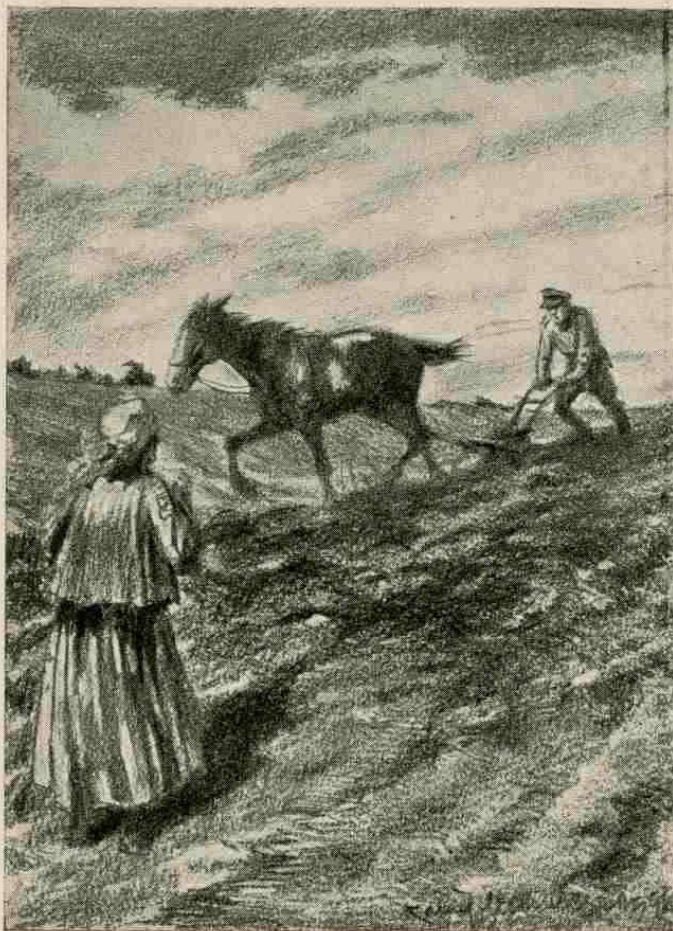
Nie umiała znaleźć na to odpowiedzi. Łzy wzruszenia i radości wypełniły jej głębokie oczy. Od wielu, wielu lat nikt nie okazał jej tyle serca, nikt dla niej tyle nie zrobił, co ten obcy chłopak.

Pobiegła za nim. Złapała za rękę. Chciała pocałować. Ale on się szarpnął i szorstko ofuknął ją.

Potem z uśmiechem na ustach, wesoło poganiając konia, orał dalej cudzą ziemię. I chociaż rąk nie czuł, jakby były drewniane, choć nogi pod nim się gięły w kabłąk, było mu na duszy jakoś lekko i dziwnie pogodnie. Wszystko w nim śpiewało, tak jak wówczas, gdy człowiek kocha, lub kiedy czyni coś bardzo, bardzo pięknego.

Orał jeden zagon za drugim, z pasją wżerając się w ten czarnoziem, tak, jakby to była jego ojcowizna w Sandomierskiem, tak, jakby dla siebie szykował żniwo.

Chwilami wybuchał śpiewem. Rzucił w przestrzeń piosenki, których nauczył się jeszcze jako małe, bosc pacholę, pasając bydło, piosenki, które poznał w szkole, które dziewczętom na



...patrzyła na Franka ze zdziwieniem...

wsi wyśpiewywał, które kompanja w marszu śpiewała.

Wszystkie pokolei.

Chwilami znów robiło mu się tak uroczyste, jakby za procesją świętą szedł, a we wsi we wszystkie bito dzwony.

A kiedy robota dobiegała końca, rad z siebie, siwka w opłotki odprowadził, babę dobrem słowem pożegnał, otuchy dodał i na strażnicę poszedł.

Tymczasem już cała wieś wiedziała, że Praksedu zagon przeorał.

O niczem innym tego wieczora nie mówiono w karczmie „Pod Zielonym Dubem”.

I tu też jednak nie mogli znaleźć odpowiedzi na pytania „dlaczego”?

— Żeby baba młodsza była — wywodził ktoś — no to rozumiem, chłop się przywał. Ale Praksedu?

— Ona w dodatku przecie i tak na to skora.
— A cóż to dziewcząt mało, żeby się ze starą zadawał?

— Ważna rzecz — pole zorał.

— Jak nieważna, to czemuś ty tego nie zrobił? Czemu nikt?

— I jaki on w tem miał interes?

Nie mogli zrozumieć przecie, że to odezwała się na ból i niedolę ludzką wrażliwa polska dusza. Że to zagadało polskie gorące serce, co pod „pańską” marynarką, chłopską sukmaną, czy żołnierską bluzą jednakowo drga współczuciem dla człowieczej krzywdy i łez...

Serce polskie, co dobrem i miłością promieniuje...

Co najpiękniejszą, najwspanialszą trzyma straż tam, gdzie o miedzę pleni się nieszczemność i nienawiść...

JERZY K. MACIEJEWSKI

TYTOŃ GAWRYŁY

(PRACA NAGRODZONA NA KONKURSIE NOWEL Z ŻYCIA ŻOŁNIERZY K. O. P.)

— Roczek, wstawajcie! Czas na was! — wołał kapral, gniewnem okiem łypiąc na zegarek.

Roczek wstawał, zbyt nie spiesząc. Drapał się w głowę zawzięcie i nadśluchiwał: za oknami strażnicy hulał wiatr, niosąc całe tumany śnieżycy. Trzaskały od mrozu drewniane bale, okna zasnutę były wzorzystymi, niewidzianymi kwiatami.

Zapinając płaszcz, przypomniał sobie nagle Roczek wyświechtane kiedyś na pogadance wzory śnieżynek. Wierzyć mu się nie chciało, że te delikatne, tak pomysłowe gwiazdki powstają „same z siebie”. „Sprytna bestja, ten mróz” — pomyślał z uznaniem i odtąd — stojąc podczas mrozu na zasadzce — rozważał, jakto też idzie na tym świecie, że tyle, tyle cudów dookoła, tylko widzieć ich trza...

— Roczek, ch... jedna, kiedy skończysz się guzdrać?! — wściekał się kapral. — Że też taką offermę do KOP'u wzięli — dziwię i nadzieić się nie mogę!

— Dobrze ci gadać, bracie — pomyślał Roczek, — a żebyś tak na tę parę godzin w pole na wicher i mróz pilnować przemytnika i czubaryka poszedł, to inaczejbyś śpiewał...

A w duchu wnet przyznawał, że kapral ma rację, że i kapral na piecu nie siedzi, a swe dwie naszywki dostał właśnie za to, że granicy dobrze pilnował.

— Kto na drugiego idzie? — pytał pozornie obojętnie, umykając roześmianego wzroku przed gniewnem okiem zwierzchnika.

— Leszczyński. Już dawno czeka. No ruszaj się, ruszaj, ofiaro!

Ostatnie przewisko chybiło celu, bo drzwi już zamknęły się za Roczekiem, który szedł przez izbę i sapał, szedł i wzdychał, a spluwał hałaśliwie „na niby”, bo płuć na podłogę nie było wolno. Spróbujcie nie sapać, jeżeli was w zimie w taki bolszewicki mróz obudzą o trzeciej rano i każą iść na zasadzkę.

— Każdy robi, co powinien — powiecie mi na to. — Roczek służy w KOP-ie, więc musi pilnować granicy. Przejdzie do cywila, to na innego ten zaszczyt spadnie.

Tymczasem Roczek spotkał się z Leszczyńskim, który nie spał, bo bolały go zęby. Skrzywiony był, jak środa na piątek i nawet nie wiele rozchmurzył się, kiedy Roczek grubachnym papierosem częstował. Szli obok siebie w milczeniu, każdy przeklinający na czem świat stoi: jeden pogodę, drugi zęby. Roczek miał chęć do pogawędki, ale o czem tu gadać z człowiekiem, który ma gębę spuchniętą jak bania?

Ku jego zdziwieniu pierwszy odezwał się Leszczyński, a głos jego miał rzadko słyszane ciepłe brzmienie.

— Te, Roczek, a skądżeś taki morowy tytoń wytrzasnął?

W to mu graj! Nadał się zaraz jak indor.

— Ja tam takiego palenia zwyczajny... A chcesz wiedzieć, skąd je mam? Tobie, żeś byczy chłop, powiem.

Milczał dłuższą chwilę, jakby tem milczeniem chciał podkreślić wagę swego zwierzenia. Wła-

śnie wyszli z lasu i wietrzyśko szarpnęło nimi, zawinęło poły płaszców, wtoczyło słowa w otwartą gardziel, zasiekło milionem lotnych kryształków.

— Szlagby trafił! — powiedział Leszczyński, osłaniając twarz rękami.

— ...Więc powiem ci, bracie, że tego tytoniu to ile chcąc dostaniesz od Gawryły. A naszym kopistom to nawet dycht tanio liczy. Lubi, powiada, polskich żołnierzy. Życ człowiekowi dają, handlować... Nie to, co bolszewiki — piespary. Użał się nad naszą ciężką służbą. Powiada: „Toć wy tam, biedaki, pomarzniecie, w taką „stużę”*) nad rzeką stojąc. Koło brodu płaszczyzna, już nadto tam wiatr hula!...” A ja mu na to, że nie koło brodu, a w szuwarach na rzece, dla niepoznaki. Brodu pilnować nie trza, nikomu na myśl nie przyjdzie, że pilnowany nie jest... To on znów tytoniu, na „krydkę” nawet. Z sercem człowiek...

— To pewnie dlatego ty tak często do tego Gawryły łazisz? — stwierdził obojętnie Leszczyński. Po chwili dodał: — A nie rozgaduj się zanadto...

— E, bogac tam — puścił uwagę koło uszu Roczek — tylko dla palenia — i znów występując pawiem ciągnął: — palenie paleniem... Tam, bracie, dziewczucha jest jak rzepa. A nawet nie prosta wsiowa dziewczyna. Edukowana, w Baranowiczach do szkół chodziła, na forte... forte — pijanie gra.

— Skądże takiego Gawryłę na kształcenie córki stać, na co to mu? — zapytał Leszczyński.

Rybka połknęła haczyk. Roczek spostrzegł, że zaciekawil towarzysza, więc, zachłystując się ze wzruszenia, opowiadać począł, jakto panna mądra a rozmowna, a mieszkanie urządzone „dycht” po pańsku, zaś stary gościnny i szczerzy — ot, duszę na talerz tak i położyłby. Wiadomo — ruskij człowiek.

— Jakoś panna wpadła ci w oko — powiedział Leszczyński. — I co ci po tem? Ona tobie nie para. Taki bogaty kacap nie wyda córki za chudeusza. Może wywieziesz ją w radomskie

*) Mróz.

piaski i miast na fortepianie grać — każesz gnój na kartoflisku trząsać?

Roczek nie zdążył odpowiedzieć, gdyż doszli właśnie do szeroko rozlanej rzeki i poczęli się przedzierać poomacku wąską ścieżynką w zwartej szumiącej żałośnie ścianie suchych szuwarów. Pod nogami potrzaskiwały cienkie tafelki lodu lub skrzypiał ugnieciony pod stopami śnieg. Po kilkunastu minutach znaleźli się na miejscu, zmienili napół skostniałych kolegów i zkolei sami zostali poddani usypiającemu działaniu mrozu, poszumu wichury i swoich zmaconych myśli.

Zrazu Roczek miarowo dreptał po wydeptanym w śniegu placyku o powierzchni trzech kroków wzdłuż i tyłuż wszereż. Myślał o Larissie, córce Gawryły.

— Ma, bestja, nóżki jak... — przez chwilę szukał właściwego określenia, a nie znalazłszy dokończył: — galante nóżki. Mądra ci jest. I fajnie gra, tak...

Jednak choć skupiał uwagę i myśl na wspomnieniu Larissy, obraz jej zamglony odsuwał się w dal, natomiast mróz coraz dotkliwiej dawał się we znaki, szczypiąc policzki i ręce, mimo grubych o jednym palcu, rękawic.

— Ki djabeł każą pilnować tych bagien! — złościł się, rozcierając uszy i nos. — Kto tu przyjdzie i pocco? Podobno oparzeliska te nie zamarzają na dobre nawet w zimie. Nic, tylko wypoczynku żoł-

nierzowi szkodują... — Po chwili dodał:

— Ale wiatr, że no... A tu choć cygarke zapalić... Prędeżby już dzień... Świta już, świta — uspokoił sam siebie, patrząc na wschód, gdzie przez polatujące podmuchy wichury rozpałał się czerwienią i złotem pas na horyzoncie. Nad nim chmurki nabierały perłowego odcienia, górą różowiały, obracając ku słońcu swe zarumienione, wypukłe policzki.

Otucha wstąpiła w serce Roczka. Jeszcze godzina, a przyjdzie zmiana i będzie mógł powrócić do ciepłej strażnicy, gdzie tak miło i przytulnie. Dziś powinien być list z domu i nowy numer „Żołnierza”. Co też w nim będzie tym razem? Czy dużo o Kopie?



Poczęli się przedzierać poomacku wąską ścieżynką...

Roczka zaświerzbiał język. Chciał się podzielić swemi myślami z Leszczyńskim i szukał go wzrokiem, ale kolega stał o kilkanaście metrów pod drzewem i stąd ledwo majaczył zarys jego pochylonej postaci z nikłym prętem karabina u nogi.

Od Leszczyńskiego wzrokiem prześlizgnął się po szerokich rozlewiskach wodnych na przeciwny brzeg i nagle drgnął.

Z wysokiego stromego brzegu szybko zjeżdżały sanie, zaprzężone w parę koni. Gnały nawprost przez zamrażnięte oparzeliska, dojechawszy do środka skręciły wprawo do drogi, kędy jeździli wieśniacy do swoich szeroko po łąkach rozrzuconych stogów.

Roczek karabin przerzucił pod prawy łokieć i odbezpieczył go. Przyklęknął. Senność i wszelkie inne myśli pierzchły jak stado wróbli. Poza temi saniami przestał istnieć dla niego cały świat. Tymczasem świt nasiąkał coraz bardziej światłem budzącego się dnia i na saniach, w miarę jak zbliżały się, można było rozróżnić powożącego i siedzącą w tyle okutaną w kozuchy drugą postać. Sanie musiały być ładowne, gdyż piętrzyły się wysoko i pozostawiały za sobą głębokie koleiny w śniegu.

—Przemyt, czy co?—szepnął drżącymi ze wzruszenia ustami Roczek. Kurczowo ścisnął w garści karabin, przez głowę błyskawicznie mknęły myśli.

— A jeśli przemyt? Może tytoń, sacharyna lub futra? Może nawet kawior? Zaraz ich za łeb — drani szmuglerów...

Był tem tak podniecony, że do znajdujących

się jeszcze o kilkadziesiąt kroków zmierzyl z karabina i krzyknął nieoczekiwanie wysokim głosem.

— Stój, kto jedzie?!

Skutek tych ostrych słów był natychmiastowy. Z sań prysnęła siedząca w tyle figura i ze zwinnością zająca sadzić zaczęła w lewo (jak skrzydła nietoperza powiewały za nią rozwiane poły kozucha), akurat w kierunku drzewa, gdzie czuwał Leszczyński. Doświadczonem okiem oceniwszy tę okoliczność ryknął po raz drugi:

— Stój, bo strzelam!

Woźnica uniósł się na siedzeniu, zaciął konie i zawróciwszy zaczął uciekać wielkim półkolem powrotną drogą.

— Stój, cholero, powiadam ci! — Trzy suche wystrzały rozdarły cichnący poszum wichury i skonały bez echa w mroźnym powietrzu. Czy to ze wzruszenia, czy z powodu zimna chybił, a może kule ugodziły, lecz w ładunek sań, dość, że jakby nigdy nic pomykały przed siebie. Roczek rzucił się naprzód i równie szybko stanął.

— Rety, człowieku, toć na swą własną śmierć uciekasz! — zawołał pod adresem uciekającego.

Sanie pędziły wprost na niezamarzające oparzeliska, przetykane rzadkimi źdźbłami sitowia i pokryte cieniutką warstwą porowatego lodu.

Dalsze dwa wystrzały były już strzałami przestrogi. Daremnie. Chłop ani obejrzał się. Oddalał się natomiast coraz bardziej.

Z lewej strony rozebrzmiał krótki, urwany



Sanie musiały być ładowne, gdyż piętrzyły się wysoko...



Przed strażnicę zajechali z wielką paradą...

krzyk przestachu. Spojrzawszy tam przez ramie dojrzał Roczek, jak Leszczyński pod lufą karabinu kazał paść w śnieg nadbiegającemu osobnikowi. A kiedy wzrokiem powrócił do zmykających sań—nie dojrzał ich, a raczej dojrzał szarpiące się, zanurzone po grzbiecie konie i machającą rękami postać ludzką na obładowanych saniach.

Ruszył tam bez namysłu.

Szczęściem nie było bardzo głęboko. Konie rzucały się z kwikiem i wystraszonem rżeniem, ale znać było, że nogami dostawały gruntu. Natomiast sanie pławiły się do połowy ładunku, zaś na wierzchu...

Przebóg! Roczek miał zdrowy chłopski rozum, a karabin w garści, w przywidzenia nie wierzył, tu jednakże przetaił oczy: Gawryła!

— Tys-li? Pewnie... A no, zobaczymy...

Znakami przywołał Leszczyńskiego.

— Leć na spotkanie patrolu. Muszą tu niedaleko być. Chyba! Konie zmarnują się.

— A ta baba?

— Jaka baba?

— A ta, co uciekała?

— Baba?? Pokaż ją.

Głowę miała pochyloną nisko, — nogami, obutymi w ordynarne, smarowane tłuszczem buciska, przestępowała z nogi na nogę.

— Czego drepcesz, jak źrebica na jarmarku?—ofuknął.—Głowę! Rety, a toż to... Larissa. Co panią tu przyniosło?

Nie odpowiadała nic.

Roczek, jako gospodarski syn, nie zapomniał o koniach. Lód dookoła nich był wylamany szerokim pasem i Gawryła zeskoczył z sań nie mógł. Żołnierz obejmował komendę.

— Przejdźcie, Gawryła, na konia, odpręgnijcie go, wyprowadzimy najpierw jednego, potem drugiego. No, żywo! — zaciął go jak biczem rozkazem.

Potem z politowaniem patrzył, jak chłop drżącymi palcami odpinał sprzączki i rozsypywał rzemienie, jak bił piętami opierającego się konia...

Sam, stojąc na lodzie, podchwycił rzuconą mu uzdę i ciągnął konia, pod którym lód załamywał się coraz to dalej i dalej. Wreszcie przy jakiejś kępie wydobył się na wierzch i dyszał ciężko, robiąc bokami.

To samo powtórzyło się przy następnym, lecz przy ostatnim wysiłku lód prysł i Roczek zapadł po pierś w przeraźliwie zimną wodę. Larissa krzyknęła.

Wygramolił się szcękając zębami i, grożąc chłopu, warknął: ↓

U, djabie stary, to przez ciebie. Co tam masz na saniach, gadaj.

Gawryło za przykładem córki milczał.

— Milczysz? I tak obaczym. A teraz ściągaj kożuch, przyodzieję się, bo szmaty w oczach sztywnieją. Jeżeli ci zimno, to okryj się brezentem z sań. Ino myk! — ofuknął groźnie.

Larissa nie poznawała go. Gdzie się podział ten potulny „żołnierzyk”, którego zdawało się można było dookoła palca owinać? Spróbowała z innej beczki.

— Panie Roczek, poco ten hałas i strzelanina? Co pan najlepszego zrobił? Niech pan pozwoli nam odjechać, a wieczorkiem zajdzie — pogadamy...

— Zaraz patrol przyjdzie, to możecie gadać, co wam ślina przyniesie!

Prosta natura Roczka nie mogła strawić ni darować zawiedzionego zaufania. Ta edukowana panna, taka zgrabna i miła, co nawet na fortepianie potrafi grać, i nagle jakaś brzydka historia z przemytem, czy czort wie czem... „Spryciarze, dobrą noc sobie wybrali” — pomyślał z uznaniem.

Gawryło przesłizgnąłby się bezwątpienia, lecz po drodze pękły mu postronki i ładunek rozsypał się, to było przyczyną opóźnienia. Stał teraz ponuro i rozmyślał, że wpadł z kretesem. Już się teraz nie wyłże.

Z sitowia wynurzyli się i biegli żołnierze patrolu, zmiana i zadyszany Leszczyński.

Kapral zakrzętnął się żywo.

— A no, chłopcy, dobywamy sanie. A ty, Roczek, syp do strażnicy. Zmarzniesz.

— Nic mi nie będzie, pobiegam se na rozgrzewkę...

Ciekaw był wyniku no i, poczęści, zawartości sani. Wszak to go najżywiej obchodziło.

Mozolili się bardzo. Jedną mieli pewność, że woda pod saniami była coraz płytsza, a wreszcie przód sani udało się podnieść i oprzeć na powierzchni lodu. Zdawało się, że zbliża się już szczęśliwy koniec wysiłku, gdy z sowieckiego brzegu trzasnął daleki wystrzał i kula żałośnie zawodząc przeleciała nad nimi.

Obejrzeni się wszyscy. Słońce już weszło i na przeciwległym, jaskrawo oświetlonym brzegu wyraźnie rysowała się sylwetka krasnoarmiejca, składającego się do nowego strzału. Głupio być zwierzyną, którą bezpieczny strzelec bierze na muszkę. Komu sądzona kula? Chwilę stali bezradnie. Nowy wystrzał i pogwizd kuli, bardziej ostro i przenikliwy.

— Warjat, czy co? — mruknął kapral. — Żywo, chłopcy, kończyć i w nogi stąd.

Zakrzętnęli się żywo, a pomagał im nawet Gawryła z córką. Trzecia kula pacnęła w lód, czwarta poszła bokiem, złościąc w lodzie długą ryś, niczem drapnięcie djabelskiego pazura.

Sanie były już na wierzchu i zaprzęgano do nich konie.

— Jazda, jazda. Adamczyk i Mikołajczyk na miejsca. A ty czerwony durniu, patrz... — kapral rozgniewał się na dobre. Skoczywszy za sanie wykonał jakiś mocno nieparlamentarny i z pewnością obraźliwy gest... Zacięte konie szarpnęły z miejsca i cwałem ruszyły w kierunku strażnicy.

* * *

Przed strażnicę zajechali z wielką paradą. Pewną niespodzianką była obecność kapitana, który zwiedzał strażnicę na odcinku swej kompanji. Z uśmiechem na wąskich ustach patrzył na triumfujących żołnierzy i na wielkie poruszenie załogi strażnicy. Cisnęli się hurmem i pytaniami zasypywali przybyłych.

Kapral meldował służbiście:

— Panie kapitanie...

Ale kapitan przedewszystkiem wysłał przebrać się Roczka, a potem z powagą wielką wysłuchał meldunku. Trochę krzywił się na wiadomość o wybryku krasnoarmiejca, potem jednak machnął ręką.

— Mądry zawsze ustępuje. Zresztą będzie mieszana komisja. Wyjaśni się. Pokażcie teraz, co tam macie na saniach?

Ściągnięto przemoczony brezent. Na górze paki doskonałego tytoniu (Roczek strzelił w palce i spojrzał znacząco na Leszczyńskiego), dolna zmoczona warstwa zawierała całe bele zadrukowanego papieru. Ulotki, broszury propagandowe, część drukowana w polskim języku, wreszcie na samym dole pod siedzeniem teka skórzana. Kapitan zajrzał do niej i twarz mu się rozjaśniła.

— Świetnie! Dobry połów! — szpicrutą się po cholewach uderzył. — Doskonale — powtórzył. — To Roczek był tym zuchem, co ich nakrył?

— Tak jest, panie kapitanie.

— Zapamiętam to. Kapralu — zawiadomić posterunek żandarmerji, żeby w mieszkaniu przyłapanego dokonać rewizji. Pilnować ich, a do brze, odpowiadacie za nich.

— Rozkaz, panie kapitanie.

— O godz. 14-ej odesłać ich do dowództwa kompanji łącznie z ładunkiem sań.

Jeszcze parę zdań i kapitan pojechał dalej. Na podwórzu strażnicy zostały wyprężone sanie, przy nich posterunek, a w świetlicy koło Roczka i Leszczyńskiego wieniec płowych, krótko przyszytych głów, z zapartym tchem słuchających opowieści z dzisiejszej nocy.

W kącie na ławie, milczący, przytuleni do siebie, Gawryło z córką, oczekiwali z pozorną obojętnością wyniku rewizji i dalszych, nieciekawych losów.

— Roczek, a — ach ten Roczek, on wygrał w „oczko”, nasz drogi Roczek... — wyspiewywał któryś, streszczając wynik opowiedzianych przygód.

Ma bo szczęście, chłopak ma... Co tu gadać!

O G N I O W A P R Ó B A

Strażnica stała na piaszczystym wzgórku. Przy nowym, połyskującym parkanie wieńcem rosły stare, rozłożyste, umyślnie pozostawione sosny, od których w to upalne czerwcowe popołudnie wiaterek niósł mocny zapach żywicy i młodego igliwia. Między sosnami zabłąkała się samotna, wiotka, białokora brzoza, a przy południowej ścianie strażnicy chwiała giętką koroną przez żołnierzy zasadzona i pielęgnowana akacja, osypana mnóstwem wonnego, aż dusznego kwiecia, w którym wyglądała jak panna młoda.

Pod akacją na niskiej ławce odpoczywa dwóch żołnierzy. Właśnie wrócili ze służby, a że mieli wolną chwilę, przeto rozpięli haftki kołnierza munduru i zdjęli czapki, odsłaniając w ten sposób swe ogorzałe, spocone czoła, przecięte u góry wyraźną, mleczno-białą pręgą skóry, chronionej otokiem czapki.

Obaj czytali. Jeden z nich, blondyn o pospolitych rysach twarzy, przebiegał wzrokiem pismo, z którego formatu i licznych ilustracyj łatwo zgadnąć, że to „Żołnierz Polski”, drugi wertował pilnie wielkie płachty gazety, z których natarczywie rzucały się w oczy krzyczące tytuły zdarzeń i wypadków, ze branych z całego świata.

Kanciasty zarys szczęk i budowa czaszki zdradzały w nim znaczną domieszkę obcej krwi. Nazywał się Oskar Lindeman. Blondynowi było pospolicie—Maciej Kostrzewa. Dwa typy, dwa charaktery różne jak ogień i woda, ale tem niemniej zgadzali się z sobą doskonale, przyłgnąwszy do siebie zaraz w pierwszych dniach po przybyciu Lindemana na strażnicę.

Lindeman był powolny, milczący, systematyczny, niezawodny służbista; Kostrzewa, szalupa—Mazur, żywy jak iskra, o umyśle chwytliwym, giętkim, lecz nie lubiącym dłuższego wysiłku, ambicja natomiast szalona. I oto powstała

między nimi ukryta rywalizacja: obydwaj — acz nie przyznawali się do tego — starali się przewyższyć jeden drugiego w wykonywaniu zadań i obowiązków, nakładanych na nich przez ciężką i odpowiedzialną służbę na pograniczu. Dodać trzeba, że stosunek Kostrzewy do Lindemana zaprawiony był pewną rubasznością o lekkim odcieniu — zresztą nieuzasadnionej — ironji.

Kostrzewa opuścił swój tygodnik na kolana.

Tuż za płotem falował łąn rzadkiego w tym roku żyta, podchodzącego aż do obramowanej gęstwą olszyny rzeczułki, która nieco dalej rozlewała się w szerokie trzęsawiska, rzadko kiedy zamarzające nawet w zimie. W prawo na wysokim brzegu, rozsiadła się szeroko wieś, świecąca białą malowanymi chatami.

Było pięknie i cicho. Lekki wiaterek strząsał wonny kwiat akacji na odrzuconą wtył, lśniąca jak polerowany bronz, twarz Kostrzewy. Pod działaniem słońca drobniutkie kropelki potu występowały mu na twarzy. Smażył się w tym południowym żarze i... odpoczywał. Pod przymkniętymi powiekami widocznie przesuwwały się gałki oczne, leciutki usmiech jak chmurka czasami muskał twarz.

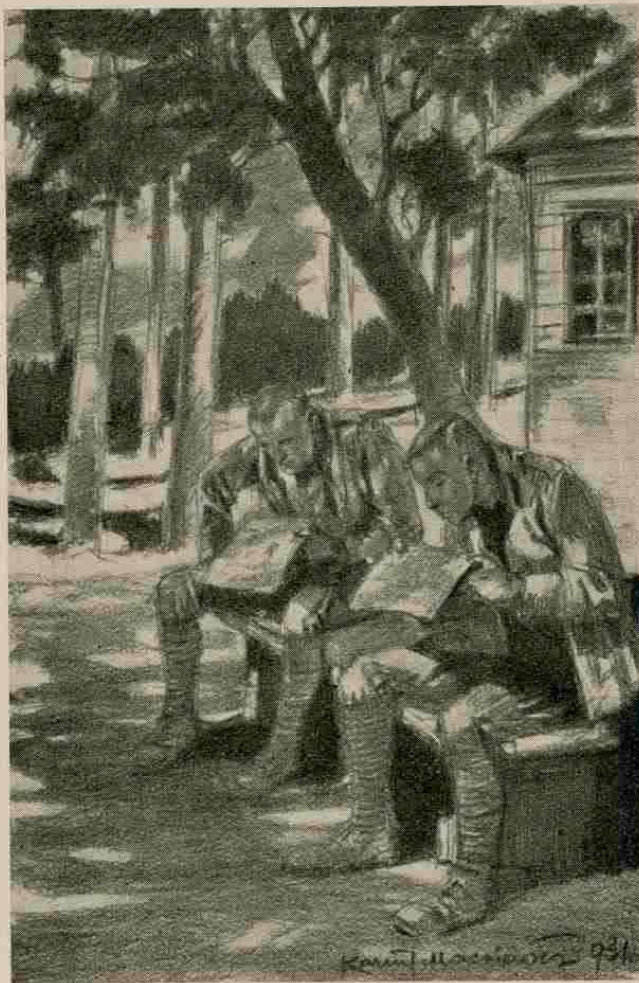
— Wiesz, Oskar,

chciałbym i ja zarobić sobie na „krzyż zasługi” — powiedział nagle.

Lindeman przestał czytać.

— A na co ci to?

— Jak to — na co? — obruszył się Kostrzewa. — Krzyż, bracie, to ho-ho! Potem pojechałbym na urlop: nowiuteńki mundurek, buty, czapka, a na piersi — krzyż. Bo KOP musi zawsze fason trzymać... Dopieroż do Zosieńki. Hej! — westchnął — byłaby dumna. Nie widziałem jej szmat czasu. Ostatnio, kiedy kapitan wysłał mnie do Warszawy, miałem tylko tyle czasu, żem wpadł do domu, gdzie ona mieszka



Obaj czytali

i przez stróża bukiet róż posłał. Tak mi doradził znajomy wachmistrz szwoleżerów. Człowiek bywały, powiada, że to dobrze robi.

— Ii, — machnął ręką praktyczny Oskar — jeżeli jej się podobasz, to czy z krzyżem, czy bez... A róże drogo kosztują.

Kostrzewa zamilkł, stropiony mądrością życiową kolegi. Ten zaś ciągnął:

— No i cóż, podziękowała ci za kwiaty?

Stała się rzecz nieoczekiwana. Kostrzewa, ten zdrowy, młody chłopak i pozornie — prostak, poczerwieniał nagle. Zdawało się, że krew tryśnie porami zbrunatniałej skóry.

— Nie, nie podziękowała... Bo... nie wiedziała kto... róże... przesłał — ciągnął, z wysiłkiem wydobywając z siebie wyrazy.

— Czego się jąkasz? Gadaj po ludzku — zaczęwał Lindeman.

— Bo widzisz, to jest panna z dobrego domu i wcale nie wie, że ona mnie się tak bardzo podoba.

— Jak nie wie, to jej powiedz.

— Dobryś... Napisałem list, może odpowie.

Oskar zagwizdał przeciągle. Milczeli obaj dłuższą chwilę. Tuż obok w strażnicy pulsowało wartkim prądem życie.

— Wiesz, że ten Paszczuk zwał zagranicę? — pytał Lindeman i, nie czekając odpowiedzi, mówił dalej: — Baba została sama, a ładna, psiakręć, że — no... Tylko ostra — zaraz kulakiem wali.

Kostrzewa jakgdyby nie dosłyszał tych słów. Nie zmieniając postawy, wypowiadał półgłosem tok swych myśli:

— Czemuby nie miała odpowiedzieć, przecieżem też człowiek... A kiedyśmy się poznali, tańczyła ze mną chętnie.

Przeciągnął się, pierś wyprężył, szeroką, twardą dłońią parę razy walnął, aż jękała jak dzwon, potem ręce splótł na karku i, kiwając się w takt swych myśli, ciągnął dalej:

— Tylko teraz trudno zasłużyć na odznaczenie. O, przed pięciu — sześciu laty, to był raj: przemytnicy, dywersanci, szpiedzy, a teraz co? Jakiś napół nagi chłop, uciekający przed kolektywizacją, przemytnik z paczką tytoniu lub sacharyny, albo ze sztuczką perkalu. Nie, za to krzyża nie dadzą...

Wewnątrz strażnicy zerwał się rozgwar. Słychać było nawoływania i tupot ciężkich butów na schodach. Ostry dzwonek telefonu. Obaj żołnierze, jak na komendę, zerwali się z ławki. Co to, alarm? zbiórka? Właśnie przebiegał Rajczak.

— Te, Franek, co jest?

— Pożar w Kotach Małych. Czego tu stoicie? Zbiórka!

Prowadził kapral Bagroński. Pół biegnąc, pół idąc patrzeli na olbrzymi słup czarnego dy-

mu, wzbijający się ku pogodnemu niebu. Dym był zdołu siwy, a z tej jego szarości złemi, czerwonymi językami przesmykiwał się płomień.

Od wsi dochodził krzyk zawołania i urywane, bez sensu nawoływania. Ludzie biegali bez celu i planu, imali się gaszenia — przeszkadzając sobie wzajemnie.

— Oskar, przecież we wsi jest straż ognio- wa? — pytał Kostrzewa.

— Pewnie jest — mruknął zapytany — przecie łażą w niedzielę w mundurach i hełmach.

— Więc czego jej nie widać? Tyś przecie też strażak z „miasta Łodzi“!

— To się spytaj, kiedyś ciekaw.

Jakoż pytać nie było potrzeba. Beczkowóz stał przy studni, z której paru ludzi drżącymi rękami przy pomocy żórawia wyciągało ciężkie wiadro wody, potem wlewało przez malutki otwór do beczki. Trzy czwarte drogocennego płynu spływało na ziemię, a reszta obficie sączyła się przez szpary rozeschniętej beczki. Inni bezradnie biegali z bosakami, wiadrami, rozwijali zleżalego węża sikawki — śmieszni i niezdarni w swych sukiennych mundurach, opasanych zwojami niepotrzebnego sznura.

Kapral Bagroński wytrawnym okiem ogar- nął i ocenił położenie. Właśnie wiatr przerzucił naręcze żagwi na sąsiednią chatę. Buchnął krzyk i płacz. Chwila — i płomień rozlał się po słomianej strzesze, liżąc ją i trawiąc pożądliwie.

— Rajczak z trzema ludźmi do beczkowozu!

— Kostrzewa zorganizuje dostarczanie wo- dy z sąsiedniej studni!

— Lindeman nie dopuści ognia do dal- szych zabudowań!

— Reszta ze mną — do gaszenia. Pokażmy, chłopcy, co potrafi KOP!

Żołnierze rozbiegli się na wszystkie strony. Gwar ciżby ludzkiej zaczęły pruć odgłosy wojsko- wej komendy, której żywa masa ludzka poddawała się biernie, bez wiary w skuteczność wysiłku.

Kostrzewa bez ceremonji ugniatł tłum w potrzebne kształty. Młodych i starych zgarnął w jeden łańcuch, co cięższych dał do studni, wiadra w garść i — jazda! Czerpać wodę, po- dawać z rąk do rąk aż do ogniska pożaru. Tam już kapral zużytkuje ją. Żywo, prędko! Dla wa- szego dobra!

Jednocześnie nie omieszkał wykorzystać każdą wolną chwilę, aby rzucić okiem na Lindemana. „Zwija się, facet, no...“ stwierdzał każdorazowo i z nowym zapalem rzucał się w wir pracy.

Lindeman na dachy powsadzał parobczaków z wiadrami wody. Mieli nią zalewać tu i tam rodzące się zarzewie ognia. Najbliżej pożaru położone strzechy nakazał okładać mokremi płachtami (parowały i dymiły od wielkiego go- rąca), wreszcie tłące się dopiero lub już dopa-

lające się zabudowania kazał rozwłóczyć bosakami i zasypywać piaskiem, sam dając najpierwszy przykład nieustannej, niezmordowanej czynności. Wszak w Łodzi był w ochotniczej straży ogniowej. Rzec całą dobrze znał, dumny był z należenia do swej straży, słusznie za najlepszą w Rzeczypospolitej uchodzącą. Wyteżona, wyczerpująca praca, żar płynący z nieba i od pożaru sprawiły rychło, że czarne plamy potu wystąpiły na mundurze, w oczach latały różnobarwne pląty, a usta zaschły na węgiel.

— Te, Oskar, aleś mokry... Ty się napewno nie spalisz — przygadał mu Kostrzewa.

— Nie bój się. Pılnuj, abys studni nie osuszył, bo drugiej w pobliżu niema.

— A jak wody zabraknie i wieś pójdzie z dymem, to krzyż koło nosa — fiut!... — Kostrzewa wykonał znaczący ruch ręką.

Lindeman poczuł się dotknięty do żywego. Wszak poczucie obowiązku przyjscia bliźniemu z pomocą było jedynym motorem jego działania. Wszak myśl o krzyżu nawet mu nie przyszła do głowy. W poczuciu krzywdy, płynącej z niesłusznego, acz wypowiedzianego żartem posądzenia, Oskarowi opadły strudzone ręce.

— Nie o nagrodę mi chodzi!... — krzyknął, lecz przedzielał ich tłum, a dalsze słowa zagłuszył nieustający krzyk, ryk bydła, trzask palącego się drzewa i załamujących krokwi.

Chwilowe załamanie się Oskara natychmiast znalazło wyraz w zachowaniu się powierzonych mu ludzi. Poruszali się wolniej, jakoby sennie, z tępem zaciekawieniem śledząc postępy ognia, który za chwilę mógł przecież opanować i ich sadyby. Fatalizm tych chłopów był zupełnie niezrozumiały dla Lindemana.

— A przedewszystkiem obowiązuje mundur żołnierza — przeciął swe wątpliwości. Podniósł głowę i oczy mu zabłyśły...

— W gumnie kobieta! Kobieta w gumnie! — zelektryzowały wszystkich okrzyki. — Baba się pali! Rzeczywiście z płonącej jak stos stodoły

dobywały się przeraźliwe zwierzęce okrzyki bólu i śmiertelnego przerażenia. Wierzeje były zatrzaśnięte i zamknięte od wewnątrz, a miotająca się w obłądnym strachu kobieta nie umiała czy nie mogła ich otworzyć. Zwarte koło ludzi to zaciskało się obręczą, to pryskało na poszczególne, rozkrzyczane dzwona, bezradne, zrezygnowane.

Lindeman ocknął się.

— Ludzie z siekierami do mnie!

Znalazło się dwóch.

Skoczył z nimi do śmiertelnego potrzasku, wskazał na calowej grubości deski w wierzejach.

— Rąbać!

Rąbali. Tępe siekiery, psiakrew!

— Donnerwetter! — kłął głośno. — Dajcie siekiere mnie. Cholera! Biegnąć-no po drugą, żywo! — zakrzyknął groźnie na parobka.

Tamten, skoczył, jakby mu przypieczono pięty.

W wyrąbanym otworze ukazała się straszna, wykrzywiona okropnie maska kobiety. Gdzie Lindeman ją widział?

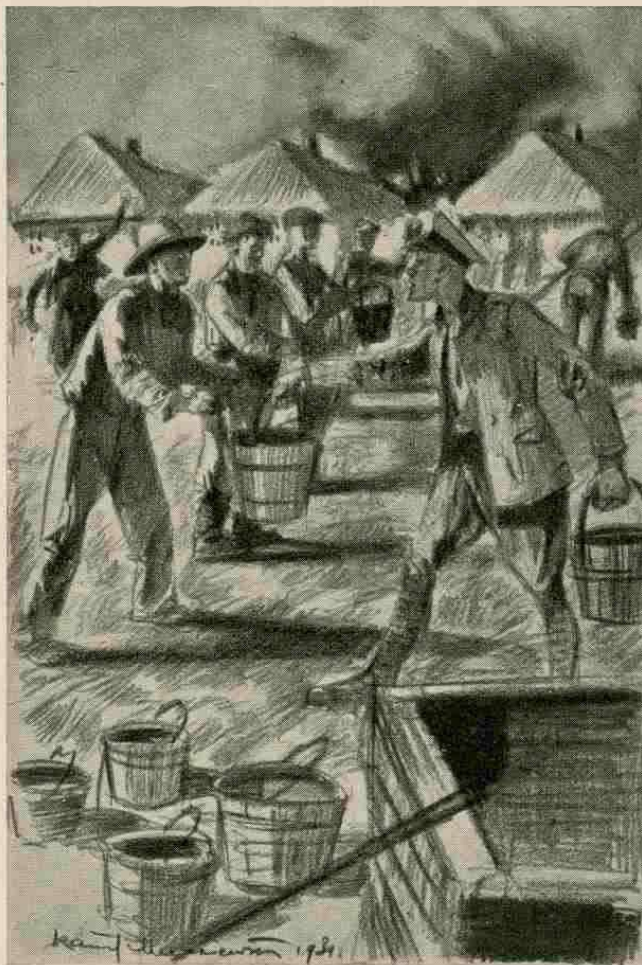
Rąbał i myślał gorączkowo:

— Rzeczywiście... To Paszczukowa! Co za przypadek...

Jej chłop siedzi bezpieczny w Sowietach. Szukała go nasza policja, ledwie się wymknął. Zagroda Paszczuków miała jak najgorszą sławę w okolicy, a i sama gospodyni, rzadką pięknoscia obda-

rzona kobieta, uchodziła za zdolną do wszystkiego: wszak to jej przypisywano otrucie wachmistrza żandarmerji w 1925 roku. W parę lat po zawarciu pokoju powróciła z Rosji, przywożąc z sobą paroletnie dziecko — owoc przygodnego związku.

Przez głowę Oskara przeleciała błyskawiczna myśl, że nie warto się trudzić dla takiego „ziółka”. Przeleciała i natychmiast ustąpiła wewnętrznemu oburzeniu na siebie za podobne myśli. Przecież to jest — człowiek! Skoro winna, niech się nią zajmą władze. To nie jest jego rzeczą rozstrzygać o winie lub niewinności palącego się człowieka.



Żywo, prędko, dla waszego to dobra...

— Teraz już rwali rękami nadrabane deski, aż wreszcie z trudem, rozszarpując w strzępy spódnice, przecisnęła się przez otwór kobieta. Padła wyczerpana na ziemię. Padła i zerwała się po chwili jak pantera.

— Moja Marfoczek tam! — i zpowrotem do stodoły.

Lindeman chwycił babę za przyodziewek.

— Gdzie? Szalona, spalisz się!

Spojrzała błędnie i, nim się spostrzegł, chwyciła zębami z całej siły za rękę.

Puścił. Paszczukowa jak kotka skoczyła do wierzei. Ale Kostrzewa, który przed chwilą nadbiegł, nogę jej podstawił. Runęła jak długa.

— Trzymać ją!

Trzymali wrzeszczącą przeraźliwie. Wydierała się jak szalona: czterech ludzi ledwie radę dało.

— Puście, Irody okajannyje! Szczob was, przekłęci Polacy!

— Gdzie dziecko? — pytał Lindeman.

Piana puściła się jej z ust. Dusiła się, czy co?

— W którym miejscu zostawiłaś dziecko? — nie ustępował żołnierz.

Jakby w odpowiedzi, przez syk płomieni i martwą ciszę zebranych ludzi, jasnym grotem przebił się żalony głosik dziecięcy.

Kostrzewa spojrzał pytająco na Lindemana i natrafił na takie pytanie w jego wzroku. Zrozumeli się bez słowa. „Jaka mać, taka nać”... Ale ten głosik, rozpaczliwy głosik dziecka... Nie, nie mają prawa poniechać ratunku. Oczy Oskara przeniosły się w górę, gdzie przepalały się wiązadła dachu. Wytrawnym okiem ocenił czas ich trwania w tym piekielnym żarze. Tymczasem Kostrzewa głęboko westchnął, machnął ręką, co miało oznaczać zapewne lekceważącą rezygnację, i ruszył do wierzei.

Lindeman za nim, ciężką rękę na ramieniu kładzie.

— Zostaw, ja pójdę. Ty masz rodziców, pomagać im musisz. Nie sprzeczasz się, bardzo ciebie proszę... — zebrał się w sobie, czapkę na uszy nacisnął, kiedy Kostrzewa kubłem wody na niego chlustał.

— Czekał, jeszcze jeden! Mokrą chusteczkę w zęby! Daj grabę, bracie...

Tak - ci sobie sciskali dłonie ku podziwowi nic nierozumiejących chłopów. Potem Lindeman mokry i lśniący jak foka, wsunął się w otwór i zniknął w dymnej otchłani.

Jedno wielkie „ach” przetoczyło się nad tłumem. Dach był porowatą, czerwoną, żarzącą się masą, lada moment runie, pogrzebie wszystko w ogniowej topieli.

Paszcukowa, wyciągając białą szyję, rozszerzonymi oczami patrzyła na wieże, za którymi zniknął Lindeman. Nie rozumiała jeszcze: jest człowiek, który dla zupełnie obcego dziecka idzie na pewną śmierć... Polski żołnierz... A ona?

Nagle zawyla jak wilczyca. Przeciągle, strasznie. Tłoczącym się opodal ludziom zimne dreszcze przebiegły po krzyżach.

— Zdureła baba...

Mijały sekundy. Ogień huczał jak w kominie. Buchało stamtąd żarem, spiekotą niesłychaną, wystać w pobliżu nie można było. Od iskier tlił się mundur Kostrzewy, który wbiwszy do krwi paznokcie w dłoń patrzył tępo na przepalające się krokwie dachu. Cemuż pozwolił tamtemu iść w to piekło? Zginie!

On powinien być na jego miejscu. Czy nie na każdym żołnierzu spoczywa honor wojska?

Opanowany, spokojny, wylał na siebie wiadro wody i, zasłaniając oczy

ręką, skoczył do środka. Martwa cisza zaległa w tłumie. Tu, na oczach wszystkich, rozgrywała się jakaś wielka tragedia, jakiś wielki akt poświęcenia. A przecież upływały tylko sekundy, choć każda wydawała się wiekiem.

I nagle wybuch szalonych, dzikich okrzyków: w otworze wierzei ukazała się noga tyłem cofającego się człowieka, potem reszta tułowia i ręce z wysiłkiem ciągnące kształt inny — osmalony i czarny. Jeszcze chwila...

Kostrzewa włókł Lindemana, ten na rękę trzymał drobne ciało Marfuszki.

Runął dach i strzelił ku niebu jasnym płomieniem.



Rąbali...



Wielkie, płomienne słońce opuszczało się już za czarne pasmo olszyny. Wieś cichła powoli — kapral Bagroński z załogą strażnicy stłumił pożar i dogaszał zgliszcza. Tamci dwaj byli żywi, choć mocno poparzeni. Leżeli na ziemi podziwiani przez wszystkich. Opodal zaprzęgano konie, mające odwieźć poparzonych do powiatowego szpitala.

Paszczukowa na kolanach obchodziła i całowała pokryte bąblami ręce tych dwóch, w milczeniu wijących się od straszego bólu.

— O rodnieńkije, ludi bożyje... płakała, chlipiąc głośno.

Kapral Bagroński myślał długo.

— Ale sta się urządzili, chłopaki, nima co... — powiedział tonem wymówki. — No, wydobrejecie chyba niezadługo. Jeszcze na zasadzkę nieraz pójdą? — patrzył pytająco na Rajczaka.

Lindeman jęknął głośnie, więc obaj pochylili się nad nim skwapliwie.

— Boli, co?
— Yhym.... A mała, małej co? — zapytał
— Popalona galancie, ale felczer powiada, że wydobreje.

— A Kostrzewa?

Ale Kostrzewę pochłaniała inna sprawa. Przekonawszy się, że z tej ogniowej próby wyszli względnie obronną ręką, szukał ucieczki przed skręcającym jego ciałem paroksyzmem bólu w zgadywaniu: „odpisze, czy nie odpisze”? To też pierwsze i ostatnie jego słowa zapisał Bagroński na poczet gorączkowego majaczenia. Czemużby tak uporczywie dopominał się, aby wszelkie listy, któreby nadeszły pod jego adresem, natychmiast wysłać do szpitala? Cóż w tem pilnego? — dziwił się kapral, przyrzekając choremu spełnić jego prośbę.

Ostrożnie i powoli ładowano ich na obficie wymoszczone fury. Łagodny zmrok otulał ziemię, po ścianach chałup pełzały jeszcze ostatnie pobłyłki dopalających się bierwion. Cisza spływała na świat.

Ruszyli.

ADAM KOWALSKI

HEJ, TAM NAD GRANICĄ

PIOSENKA ŻOŁNIERZY K. O. P.

(Na melodję piosenki legionowej: „Hej tam pod Warszawą, Kędy Wisła płynie”).

Hej, tam nad granicą,
Od Sejn po Podole,
Stoją nasi zbrojni chłopcy
Hej, hej — jak topole.

Słońce twarz im pali,
Deszcz jak biczem siecze.
Stoją chłopcy żywym murem
Hej, hej — jak fortece.

Litwin, Łotysz, Moskal,
Rumuny — sąsiady
Salutują, bo nasz mundur
Hej, hej — jak z parady.

Litwin chciałby Wilno
Zagarnąć — a juści!
Ale KOP go przez granicę
Hej, hej — nie przepuści.

Łotysz niezły sąsiad,
Ale szmugiel lubi.
Ile razy się przekrada
Hej, hej — transport gubi.

Bolszewickie gady
Kłonią nas do zdrady,
Ale z KOP-em nie tak łatwo
Hej, hej — nie da rady

Rumunki wiewają
Chusteczkami w ręce —
Podobają im się polskie
Hej, hej — sprzymierzeńce

Niema lepszej służby,
Wierz mi, wierz mi chłopie,
Jak na wschodniem pograniczu
Hej, hej — w naszym KOP-ie.

Brzmi wesola śpiewka,
Bagnety się świecą,
Czuwa pilnie polski żołnierz
Hej, hej — nad granicą.

Dla milej Ojczyzny,
Pod przewodem Dziadka,
Daj nam Boże służyć wiernie
Hej, hej — do ostatka.

HUMOR

NIEPOROZUMIENIE

(autentyczne)

Pewnego zimowego dnia musiałem udać się w sprawach służbowych, do dowództwa baonu, odległego od mojej strażnicy o trzydzieści kilometrów z „hakiem”. Wyznaczony mi termin był bliski, musiałem więc dobrze spieszyć się. Droga była niemożliwa, gdyż rozhułała się wściekła zadymka.

Wypożyczone od chłopca sanie, sklecone z kilku luźnych ze sobą spojonych patyków, budziły we mnie mocne wątpliwości, ale po solennem zapewnieniu woźnicy, szer. Małeckiego, że w promieniu dziesięciu kilometrów lepszych nie znajdzie, z westchnieniem zdecydowałem się powierzyć im swe kości i niepokalaną reputację służbisty.

Już na drugim kilometrze sanie — bęc... wywróciły się. Ja z woźnicą wpadliśmy do jaru pełnego śniegu, sanie — rozleciały się na wszystkie strony świata. Konie, zerwawszy orczyki, lekkim truchcikiem pobiegły dalej. Wściekły, z trudem wygramoliwszy się z śniegu, rzuciłem się w najwyższej pasji do Małeckiego.

— Cóż, hultaju, kpiny sobie ze mnie robisz?

Woźnica, pełen poczucia winy milczał zasępiony. Wreszcie stanął na baczność i sprostował:

— Melduję posłusznie, panie poruczniku, że sobie nic z pana porucznika nie robię.

Na takie dictum*) roześmiałem się mimowoli i już w najlepszej zgodzie przystąpiłem z szer. Małeckim do naprawy sań.

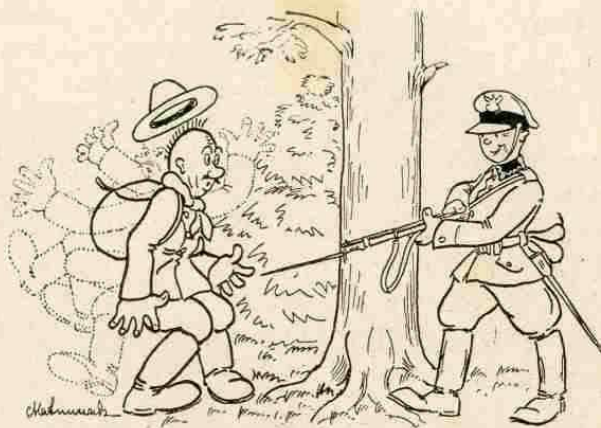
PRZEZORNY

W czasie pościgu za bandytami, zdajemy sobie sprawę, że nie obejdzie się bez rozlewu krwi. Leżymy przyczajeni w lesie tuż przy granicy. W pewnej chwili

*) Powiedzenie



Felek wyrusza na patrol



Gdy przemytnik niespodzianie „wejdzie” na zasadzkę

widzę, że starszy strzelec Grzęda zaczyna wiercić się niespokojnie. Oburzony pytam go:

— Boisz się?

— Boję, panie poruczniku.

— ?

— Zostawiłem na strażnicy mięso z obiadu i boję się, żeby mi nie zjedli.

TRUDNA PRZESZKODA

W zawodach konnych o mistrzostwo armji udział bierze „ekipa” z szwadronów K. O. P. Rotmistrz N. bierze jedną z przeszkód. Rotmistrz chce wziąć, ale koń nie chce i po dobrze zapowiadającym się galopie zatrzymuje się nagle tuż przed przeszkodą.

Jeden z widzów odzywa się ironicznie:

Stój — Granica!...

ZROZUMIAŁ

— Żołnierz powinien w każdym wypadku zachować przytomność umysłu. Nigdy nie powinien „tracić głowy”.

— Czy strzelec Mądralski może mi objaśnić dlaczego?

— Mogę, panie poruczniku. Jeśli stracę głowę, to stracę i czapkę-kopówkę, a kopówka jest rządowa i będę za nią odpowiadał.

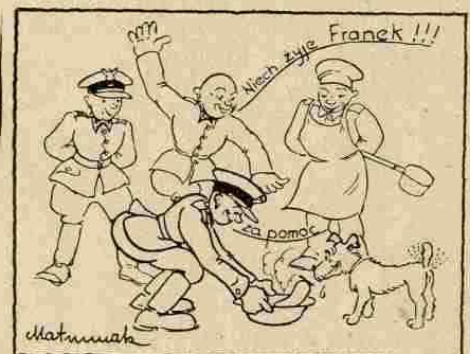
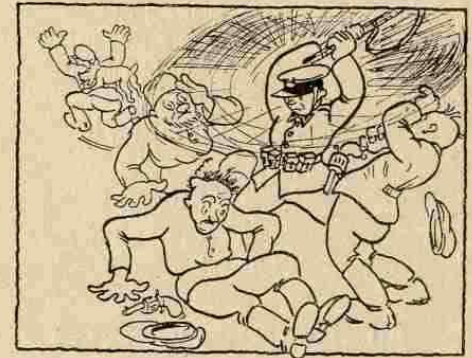
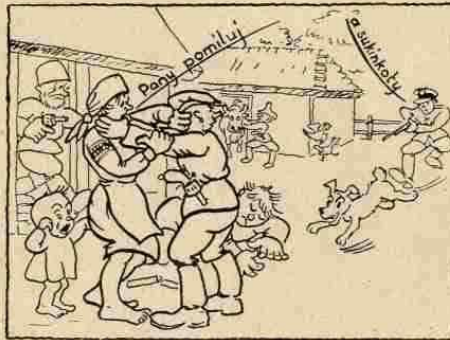
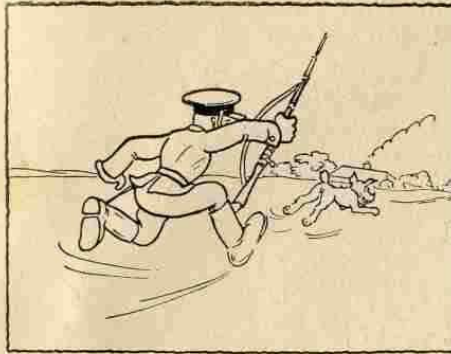
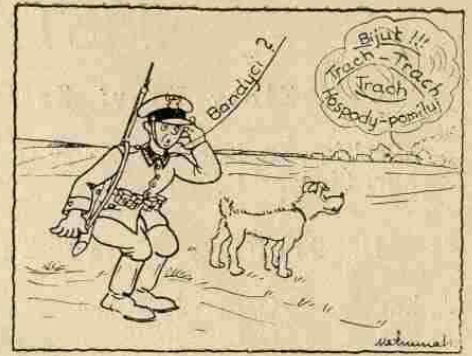
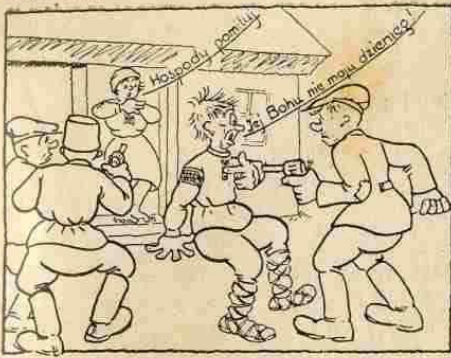
CIERPLIWY

Powiedzcie mi Byczek — pyta dowódca strażnicy nowoprzybyłego na strażnicę strzelca — co byście zrobili, idąc na patrol, a na swojej drodze napotkali byście szeroką rzekę?

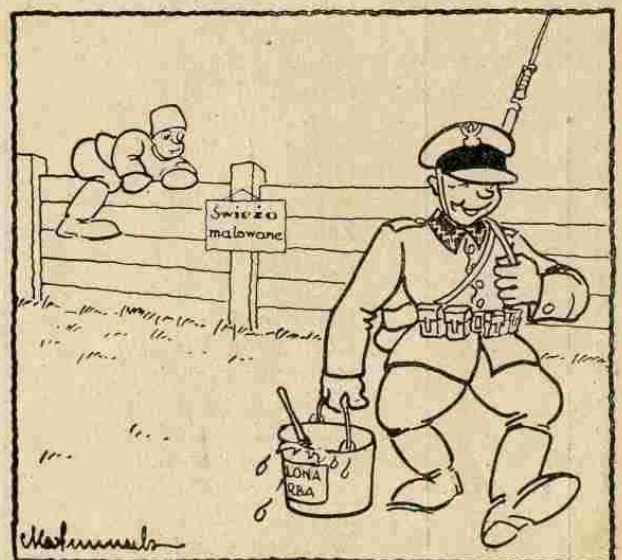
— Czekalby, aż zbudują most, lub aż rzeka zamarźnie, panie sierżancie.

CZYN

FRANKA BOHATERA



JAK REKRUT BAMBOSZ WYOBRAŻA SOBIE PRZEJŚCIE PRZEZ „ZIELONĄ GRANICĘ”



LISTA ODZNACZONYCH

I. Złoty Krzyż Zasługi.

1. Mjr. lek. wet. Kochanowski Julian
2. Mjr. Słowiński Józef

II. Srebrny Krzyż Zasługi.

1. kpt. Getter Stanisław
2. kpt. Herzog Józef
3. kpt. Krachelski Kazimierz
4. kpt. Matys Wawrzyniec
5. kpt. Przybylski Antoni
6. kpt. Rowiński Józef
7. rtm. Spasowicz Eugenjusz
8. por. Chuderski Tadeusz
9. por. Czekański Jan
10. por. Lebedziewicz Jan
11. por. Maciejewski Jerzy
12. por. Moyzes Aleksander
13. por. Rosiek Adam
14. por. Ulatowski Juljusz
15. por. Ulawski Franciszek

III. Brązowy Krzyż Zasługi.

1. chor. Markowski Waław
2. chor. Nowacki Stanisław
3. chor. Seneszyn Włodzimierz
4. st. sierż. Hoffman Leon
5. st. sierż. Kamiński Andrzej
6. st. wachm. Kwiatos Stanisław
7. st. wachm. Miniurski Aleksander

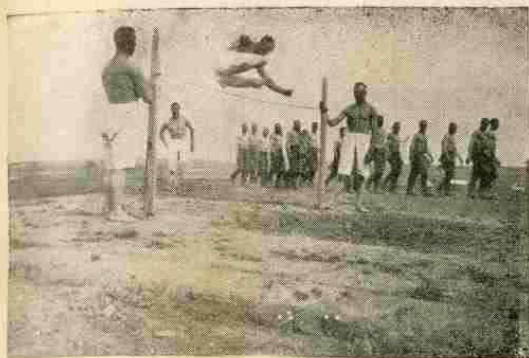
8. st. sierż. Rynkiewicz Szymon
9. st. sierż. Sadowski Michał
10. st. sierż. Skorobohaty Alfred
11. st. sierż. Siegel Franciszek
12. st. wachm. Stępień Jan
13. st. sierż. Warchoń Marjan
14. st. sierż. Waszak Franciszek
15. wachm. Brzeziński Kazimierz
16. sierż. Chudzik Antoni
17. sierż. Dutkowiak Stanisław
18. sierż. Florczak Stanisław
19. sierż. Hauzer Gustaw
20. sierż. Jamrozik Piotr
21. sierż. Józefiak Józef
22. sierż. Kurek Szczepan
23. tyt. sierż. Myczkowski Stefan
24. sierż. Olejnik Stanisław
25. sierż. Płaneta Stefan
26. wachm. Rachuta Stefan
27. sierż. Sojka Stanisław
28. sierż. Szylejko Antoni
29. tyt. wachm. Strzyżewski Kazimierz
30. tyt. wachm. Uniatowski Walenty
31. tyt. wachm. Walkowiak Szczepan
32. tyt. wachm. Wolniakowski Roman
33. plut. Bednarski Władysław
34. plut. Durczak Bolesław
35. plut. Sawicki Józef
36. plut. Strączyński Szymon
37. plut. Switajło Antoni
38. plut. Szuster Julian
39. kapr. Cygan Michał
40. strzelec Moskal Józef

LISTA ZMARŁYCH.

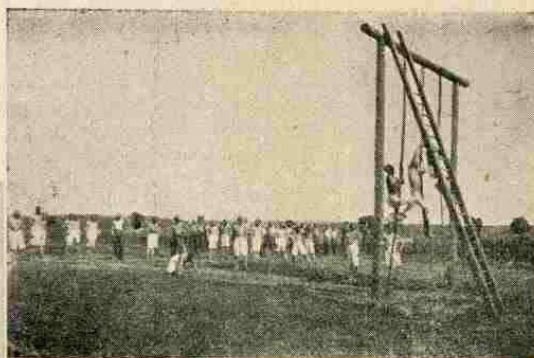
W OKRESIE OD DNIA 31 PAŹDZIERNIKA 1929 R. DO DNIA 1 LISTOPADA 1930 R.

L. p.	Szarża	NAZWISKO I IMIĘ	Przydział	Data zgonu	Gdzie pochowany
1	kpt.	Oleksowicz Józef	16 baon	30.4.1929	w Brześciu n/Bugiem
2	por.	Kasprzykiewicz Edward	14 baon	10.10.1930	w Nowym Sączu
3	st. sierż.	Huzarek Karol	18 „	9.6.1930	we Lwowie
4	sierż.	Latosiński Bolesław	1 „	4.2.1930	w Budslawiu
5	plut.	Nowak Feliks	2 „	3.3.1930	w Bereźnie
6	„	Piekarski Mieczysław	19 „	21.2.1930	w Słobódce
7	„	Urbanek Jan	7 „	14.6.1930	w Podswilu
8	„	Wysocki Wiktor	—	28.8.1930	w Iwieńcu
9	„	Żak Waław	12 „	16.9.1930	we Lwowie
10	kpr.	Andrzejczak Jan	6 „	4.6.1930	w Iwieńcu
11	„	Bochonos Grzegorz	11 „	16.6.1930	w Chełmie
12	„	Brykowski Jan	15 „	24.10.1930	w Hancewiczach
13	„	Kostrubala Waław	18 „	27.12.1929	w Rokitnie
14	„	Potoczny Franciszek	11 „	23.10.1930	w Ostrogu
15	„	Wybraniec Franciszek	12 „	21.10.1930	w Podwołoczyskach
16	„	Saborski Kazimierz	—	28.8.1930	w Iwieńcu
17	„	Strączyński Stefan	4 „	18.11.1930	w Wilnie
18	st. strzel.	Staranny Stanisław	7 „	18.10.1930	w Wilnie
19	„	Stępień Adam	—	6.8.1930	w Brześciu n/Bugiem
20	„	Woźniak Stanisław	7 „	3.1.1930	w Podswilu

**OBRAZKI
Z NASZEGO
ŻYCIA**



Trening przed zawodami



Ilektoatletycznymi
w 11 szwadronie



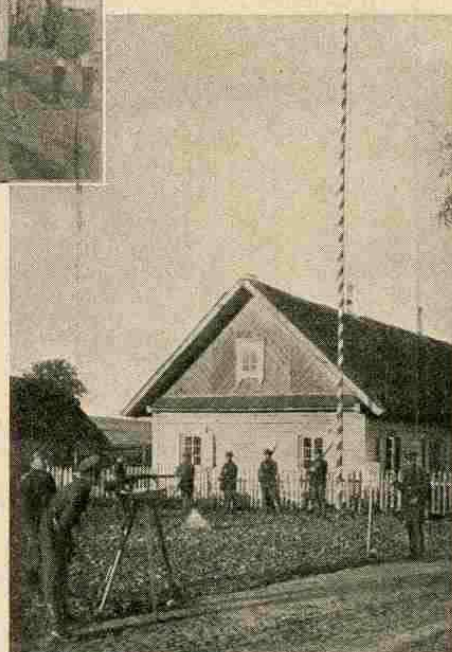
Siatkówka w kompanji Husiatyn



Sprawdzanie przepustek na strażnicy
Michalino



Marsz 10 km w czasie zawodów 21 baonie



Ćwiczenia strzeleckie na strażnicy
Soboliszki



Zawody sportowe brygady wileńskiej w Niemenczynie



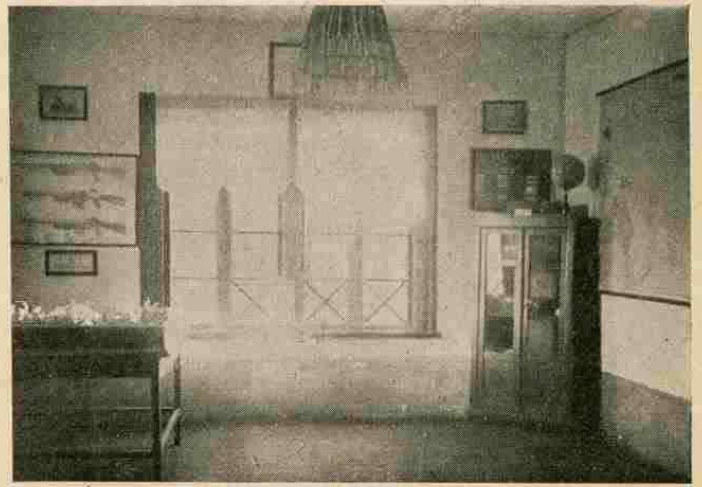
Start biegu na 800 m w 20 bataljonie

L.p.	Szarża	NAZWISKO I IMIĘ	Przydział	Data zgonu	Gdzie pochowany
21	strzelec	Bogdanowicz Grzegorz	8 „	16.1.1930	w Kunosach
22	„	Bładek Wojciech	25 „	24.5.1930	w Czortkowie
23	„	Bartoszek Stanisław	10 „	27.6.1930	w Wilnie
24	„	Cenzek Wojciech	4 „	28.9.1930	we Lwowie
25	„	Czarnecki Wojciech	2 „	3.12.1930	w Cycowie
26	„	Domin Ludwik	—	9.7.1930	w Równem
27	„	Fiszter Teodor	Pułk Sarny	—	—
28	„	Goliński Jan	8 baon	7.6.1930	w Siejłowiczach
29	„	Grzyb Kazimierz	20 „	7.3.1930	w N. Święcianach
30	ułan	Grzelczyk Józef	1 szwadron	2.1.1930	w Sieradzu
31	strzelec	Kruk Stanisław	9 baon	22.4.1930	w Brześciu n/Bugiem
32	„	Kokosza Józef	24 „	31.5.1930	w Grodnie
33	„	Kowalski Józef	4 „	12.1.1930	w Równem
34	ułan	Klockiewicz Wacław	7 szwadron	11.5.1930	w Podświlu
35	strzelec	Księżyc Józef	11 baon	21.6.1930	w Ostrogu
36	„	Kotecki Zygmunt	21 „	14.6.1930	w Podbrodziu
37	„	Kocyk Józef	27 „	3.10.1930	w Snowie
38	„	Klula Franciszek	4 „	6.1.1930	w Jadłowie
39	„	Kryszek Ignacy	6 „	23.11.1930	w Warszawie
40	„	Łukasiewicz Józef	8 „	12.10.1930	w Nieświeżu
41	„	Łakota Władysław	4 „	12.10.1930	w Dederkałach
42	„	Majcher Wincenty	7 „	4.6.1930	w Wilnie
43	„	Nowacki Franciszek	Pułk Sarny	—	—
44	„	Nawara Józef	25 baon	28.11.1930	w Czortkowie
45	„	Osiński Józef	22 „	28.11.1930	w Wilnie
46	„	Pracek Jan	3 „	27.12.1929	w Korcu
47	ułan	Paślawski Jan	16 szwadron	27.12.1930	w Brześciu n/Bugiem
48	ułan	Ponch Mikołaj	6 szwadron	11.1.1930	w Brześciu n/Bugiem
49	strzelec	Pięta Józef	12 baon	11.2.1930	we Lwowie
50	„	Ptasznik Jan	1 „	25.6.1930	w Budstawiu
51	„	Parzętny Teodor	1 „	3.8.1930	we Lwowie
52	„	Pierzyniak Jan	28 „	31.8.1930	w Kościeniewiczach
53	„	Roszkiewicz Leon	23 „	10.1.1930	w Grodnie
54	„	Straszewski Antoni	23 „	21.12.1929	w Marcinkańcach
55	„	Śpiewak Alojzy	25 „	28.11.1929	w Czortkowie
56	ułan	Stachowiak Jan	3 szwadron	25.12.1929	we Lwowie
57	strzelec	Spasówka Władysław	16 baon	24.4.1929	w Łunińcu
58	„	Sliz Stanisław	11 „	13.7.1929	w Równem
59	„	Seel Karol	22 „	30.9.1930	w N. Trokach
60	„	Strączyński	—	18.11.1929	w Wilnie
61	„	Torbiński Walery	10 „	3.11.1929	w Krasnem
62	„	Trybuła Stanisław	16 „	1 ² .12.1929	w Sienkiewiczach
63	„	Tomicki Stanisław	23 „	15.4.1929	w Grodnie
64	„	Trześniewski Stanisław	17 „	22.4.1929	w Dawidgródku
65	„	Walczak Czesław	23 „	5.5.1930	w Marcinkańcach
66	„	Wawrzyczek Jan	9 „	8.11.1930	w Klecku
67	„	Witkowski Stefan	29 „	17.11.1930	w Suwałkach

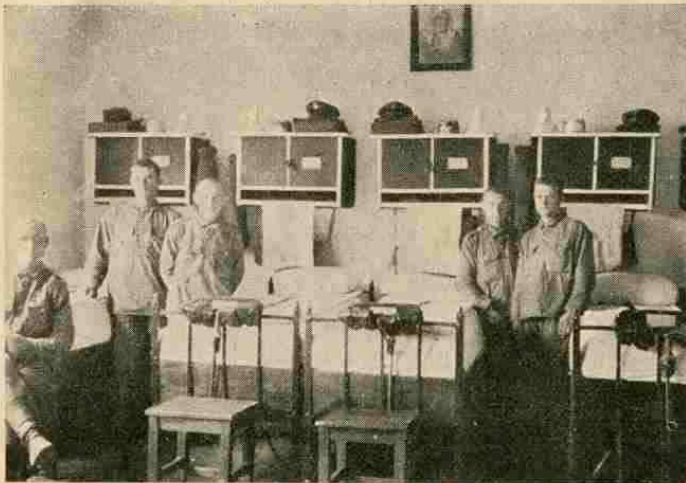
OBRAZKI Z NASZEGO ŻYCIA



Strażnica



Świętlica strażnicowa



W izbie sypialnej na strażnicy



Przy stole plastycznym



Na manewrach



Przy pracy

foto. Lachowicz

STATUT

T-WA ZACHĘTY DO HODOWLI KONI I ROZWOJU SPORTU JEŹDZIECKIEGO OFICERÓW KORPUSU OCHRONY POGRANICZA .

Art. 1.

N A Z W A.

Stowarzyszenie nosi nazwę: „Towarzystwo Zachęty do Hodowli Koni i Rozwoju Sportu Jeździeckiego Oficerów Korpusu Ochrony Pogranicza“ i jest osobą prawną.

T-wo posiada własną pieczęć z nazwą jak w tytule i odznakę członkowską.

Art. 2.

S I E D Z I B A.

Siedzibą władz T-wa jest m. st. Warszawa.

Art. 3.

C E L.

Celem Towarzystwa jest dążenie do rozwoju hodowli koni, podniesienie poziomu i udoskonalenie sportu konnego.

Art. 4.

TEREN DZIAŁANIA.

Tereniem działalności T-wa są te województwa Rzeczypospolitej Polskiej w których stacjonowane są organa Korpusu Ochrony Pogranicza.

Art. 5.

PRAWA TOWARZYSTWA.

a) Nabywanie ogierów, klaczy i młodzieży dla siebie i dla rozpowszechniania wśród hodowców.

b) Urządzanie punktów kopulacyjnych.

c) Subwencjonowanie i wydawanie pism, dotyczących hodowli, sportu i wiedzy hippologicznej.

d) Utrzymywanie i wspieranie stajni wyścigowych.

Art. 6.

CZŁONKOWIE.

Towarzystwo składa się: a) z członków honorowych, b) z członków wspierających, c) z członków zwyczajnych, d) z członków nadzwyczajnych.

a) Członkiem honorowym może być osoba tak wojskowa, jak cywilna, która położyła specjalne zasługi społeczne, lub dla samego Towarzystwa.

Godność członka honorowego nadaje walne zgromadzenie na wniosek zarządu.

b) Członkiem wspierającym może być osoba prawna i fizyczna, która ofiaruje jednorazowo na rzecz T-wa conajmniej 500 zł., względnie miesięcznie conajmniej po 25 zł.

O przyjęciu ofiary i nadaniu godności członka wspierającego decyduje zarząd.

c) Członkiem zwyczajnym może być każdy oficer Korpusu Ochrony Pogranicza.

Członków zwyczajnych przyjmuje zarząd.

d) Członkiem nadzwyczajnym może być każda pełnoletnia osoba fizyczna, korzystająca z pełni praw cywilnych i obywatelskich.

Członków nadzwyczajnych przyjmuje zarząd.

Wszyscy członkowie otrzymują odpowiednie legitymacje.

Art. 7.

PRAWA CZŁONKÓW.

Wszystkim członkom Towarzystwa przysługuje prawo:

a) Bezpłatnego wejścia na wszelkiego rodzaju imprezy, urządzane przez Towarzystwo.

b) Bezpłatnego korzystania z lokali Towarzystwa.

c) Noszenia odznaki Towarzystwa.

Art. 8.

O BOWIĄZKI CZŁONKÓW.

Do obowiązków wszystkich członków należy:

a) Popieranie celów Towarzystwa.

b) Przestrzeganie statutu i regulaminu Towarzystwa.

c) Poddawanie się uchwałam i zarządzeniom Walnego Zgromadzenia i Zarządu.

Członkowie zwyczajni i nadzwyczajni obowiązani są wpłacać:

a) wpisowe w wysokości 3 zł.,

b) wkładkę miesięczną w wysokości 2 zł. płatną 1/2 rocznie.

Art. 9.

WYSTĄPIENIE I WYKLUCZENIE CZŁONKA.

Prawo członkowskie gaśnie przez:

a) śmierć członka,

b) likwidację Towarzystwa,

c) zgłoszenie pisemne do Zarządu o wystąpieniu.

Wykluczenie członka z Towarzystwa następuje:

a) w wypadku nieprzestrzegania statutu,

b) „ „ działania na szkodę Towarzystwa,

c) „ „ zalegania z wpłacaniem wkładek w ciągu roku,

d) „ „ wykluczenia z Korpusu Oficerskiego i pozbawienia praw obywatelskich w stosunku do osób niewojskowych,

e) wskutek dyskwalifikacji honorowej osoby cywilnej.

Art. 10.

FUNDUSZ TOWARZYSTWA.

Fundusz Towarzystwa składa się: a) wpisowego członków, b) ze stałych wkładek miesięcznych, c) subwencji, d) pożyczek, e) procentu od kapitału, f) dochodów z przedsiębiorstwa Towarzystwa, g) zapisów i darowizn.

Fundusze Towarzystwa dzielą się:

a) Fundusz zasobowy,

b) „ „ obrotowy.

Fundusz zasobowy służy na pokrycie strat bilansowych i składa się:

a) z wpisowego członków Towarzystwa,

b) procentu od kapitału zasobowego Towarzystwa,

c) części zysku Towarzystwa, które z mocy uchwały walnego zgromadzenia przelane zostaną do funduszu zasobowego.

Fundusz obrotowy Towarzystwa tworzą jednorazowe wkłady, oraz inne fundusze, wymienione w § 9 za wyjątkiem tych, które są wliczone do funduszu zasobowego.

Art. 11.

WŁADZE TOWARZYSTWA.

Władze Towarzystwa stanowią: 1) Walne Zgromadzenie, 2) Rada Nadzorcza, 3) Zarząd.

Art. 12.

WALNE ZGROMADZENIE.

Prawo uczestnictwa na walnym zgromadzeniu mają wszyscy członkowie. Prawo głosowania przysługuje tylko członkom zwyczajnym. Nie są jednak obowiązani przybywać osobiście i mają prawo pisemnie zgłaszać wnioski do zarządu na 2 tygodnie przed terminem walnego zgromadzenia i głosować przez pełnomocników pisemnie do tego upoważnionych.

Pełnomocnikiem może być tylko członek zwyczajny Towarzystwa.

Walne zgromadzenie rozstrzyga sprawy Towarzystwa w szczególności zaś:

a) wybiera i odwołuje członków Zarządu i Rady Nadzorczej,

b) nadaje godność członków honorowych,

c) zatwierdza regulaminy, sprawozdania, bilanse i budżety,

d) decyduje w kwestjach zaciągania pożyczek powyżej 1000 zł. i większych inwentycyj,

e) zatwierdza projekty zmian statutu,

f) decyduje o wykluczeniu członków,

g) decyduje o likwidacji Towarzystwa.

Walne zgromadzenia bywają zwyczajne i nadzwyczajne.

Walne zgromadzenia zwyczajne zwołuje zarząd raz na rok, nie później niż w ciągu kwartału po ukończeniu każdego roku obrachunkowego, t. j. do dnia 1 kwietnia każdego następnego roku.

Nadzwyczajne zgromadzenie zwołuje zarząd w miarę potrzeby, na żądanie Rady Nadzorczej lub też na pisemne żądanie $\frac{1}{10}$ wszystkich członków Towarzystwa.

Nadzwyczajne walne zgromadzenie ma być zwołane najpóźniej w ciągu 40 dni od dnia otrzymania przez zarząd pisemnego żądania Rady Nadzorczej, względnie wyżej wymienionej ilości członków.

O miejscu, czasie, porządku dziennym każdego walnego zgromadzenia, zarząd pisemnie podaje do wiadomości członków przynajmniej na 20 dni przed terminem.

Walne zgromadzenie, zwołane w porządku przewidzianym powyżej, są prawomocne bez względu na liczbę członków, z wyjątkiem zebrań w celu rozwiązania Towarzystwa lub zmian statutu.

Walne zgromadzenie otwiera i zagaja jeden z członków zarządu, przewodniczy obradom członek zwyczajny, obrany z pośród obecnych.

Uchwały zapadają zwykłą większością głosów (w razie równości rozstrzyga głos przewodniczącego) przez głosowanie jawne.

Na żądanie jednak Rady Nadzorczej, Zarządu lub $\frac{1}{10}$ obecnych, winno być zarządzone głosowanie tajne.

Do powzięcia uchwał, dotyczących zmiany statutu, oraz likwidacji Towarzystwa, wymagana jest obecność na walnym zgromadzeniu takiej ilości członków zwyczajnych, która reprezentuje nie mniej $\frac{3}{4}$ głosów wszystkich członków zwyczajnych, oraz większości $\frac{3}{4}$ głosów obecnych na zgromadzeniu. W razie niestawienia się w pierwszym terminie dostatecznej ilości członków, zarząd zwołuje następne nie później niż w 30 dni od daty poprzedniego zgromadzenia i jest ono prawomocne bez względu na ilość obecnych.

Uchwały walnego zgromadzenia winny być wpisane do księgi protokołów i podpisane przez przewodniczącego i 2-ch obecnych na zebraniu członków.

Art. 13.

RADA NADZORCZA.

Rada Nadzorcza składa się z Prezesa, którym jest każdorazowo D-ca Korpusu Ochrony Pogranicza i 4 członków i 2-ch zastępców, wybranych na walnym zgromadzeniu na jeden rok.

Członkowie rady nadzorczej pełnią swe czynności bezpłatnie. Zadaniem rady nadzorczej jest sprawowanie ogólnego nadzoru nad działalnością zarządu, w tym celu rada nadzorcza sprawdzi w pełnym składzie lub przez delegowanych członków w każdym czasie księgi, dokumenty, kasę i majątek Towarzystwa.

Wnioski swe rada nadzorcza przedstawia walnemu zgromadzeniu, przesyłając je zarządowi do wiadomości przynajmniej na 7 dni przed terminem walnego zgromadzenia. Rada Nadzorcza może w każdej chwili w razie potrzeby zawieszać do czasu uchwały Nadzwyczajnego Walnego Zgromadzenia w czynnościach członków zarządu, w tym wypadku winna ona poczynić tymczasowe zarządzenia, celem uniknięcia przerwy w prawidłowym funkcjonowaniu Towarzystwa.

Zawieszanie w czynnościach zarządu wymaga ze strony Rady Nadzorczej niezwłocznego zwołania Nadzwyczajnego Walnego Zgromadzenia.

Art. 14.

Z A R Z A D.

Zarząd składa się z 5 członków i 2-ch zastępców wybieranych na Walnym Zgromadzeniu na 2 lata. Członkowie zarządu wybierają z pośród siebie prezesa, jego zastępcę, skarbnika, sekretarza i kierownika stajni wyścigowej, rozdzielają między sobą poszczególne czynności.

Do obowiązków zarządu należy prowadzenie wszystkich spraw, wpływających z działalności Towarzystwa i rozporządzanie jego funduszami, zgodnie z zatwierdzonymi przez Walne Zgromadzenie budżetem i dodatkowymi uchwałami walnego zgromadzenia.

Zebrania zarządu odbywają się w miarę potrzeby, nierzadziej

jednak niż raz na miesiąc. Uchwały zapadają zwykłą większością głosów i są prawomocne przy udziale na posiedzeniu najmniej 3-ch członków.

Wszystkie uchwały winny być niezwłocznie wpisane do księgi protokołów i podpisane przez wszystkich obecnych.

Członkowie zarządu pracują bezpłatnie.

Art. 15.

RACHUNKOWOŚĆ.

Zarząd Towarzystwa powinien prowadzić księgi i rachunki zgodnie z przepisami prawa i przyjętymi zwyczajami.

Okresem sprawozdawczym jest rok kalendarzowy.

Za każdy rok ubiegły zarząd przygotowuje roczne sprawozdanie ze swej działalności w celu zatwierdzenia przez walne zgromadzenie.

Sprawozdanie winno zawierać:

a) nazwiska wszystkich członków: przybyłych, wykreślonych i obecnych.

b) bilans oraz rachunek strat i zysków,

c) inwentarz Towarzystwa.

Art. 16.

ROZWIĄZANIE TOWARZYSTWA.

Rozwiązanie Towarzystwa następuje:

a) wskutek zmniejszenia się liczby członków zwyczajnych poniżej 15.

b) na mocy decyzji Komisarjatu Rządu m. st. Warszawy.

c) na skutek uchwały Nadzwyczajnego Walnego Zgromadzenia.

Art. 17.

LIKWIDACJA.

Sposób likwidacji określa Nadzwyczajne Walne Zgromadzenie, wybierając za pomocą tajnego głosowania Komisję Likwidacyjną, złożoną z 5 osób.

Członkowie Zarządu i Rady Nadzorczej mogą być wybierani do Komisji Likwidacyjnej.

Komisja Likwidacyjna ma te same prace co i zarząd.

Nowe tranzakcje zawierać wolno o tyle o ile są one niezbędne do ukończenia dawniejszych.

Przed przystąpieniem do likwidacji, Komisja Likwidacyjna obowiązana jest zestawić bilans i rozesłać go członkom.

Po zaspokojeniu wierzycieli, względnie zdeponowaniu ich należności spornych i bezspornych pozostała suma osiągnięta z likwidacji przeznaczona się na cele społeczne stosownie do uchwały nadzwyczajnego Walnego Zgromadzenia.

Na członków założycieli zapisali się następujący oficerowie: D-ca Korpusu TESSARO gen. bryg., BADOWSKI ppłk., BĄKOWSKI rtm., BOGUSZ mjr., BRANICZ kpt., BROZDZIŃSKI por., CICHOCKI kpt., DUCZMAŁ por., FALTUS mjr., GAJEWSKI ppor., GRUDZIŃSKI mjr., HEINE por., JAGODZIŃSKI ppłk., KIRSZENSTEIN ppłk. dypl., KRZYŻANOWSKI mjr. dypl., LASKOWSKI mjr., LIZAK kpt., MARKIEWICZ kpt., MENTZEL por., MICHAŁOWSKI ppłk., MOSTEK kpt., NIEDŹWIEDZKI mjr., OLSZEWSKI por., POBOROWSKI kpt., PODHALICZ por., RASZEK kpt., REKLEWSKI ppłk., ROZWADOWSKI kpt. dypl., RYBICKI mjr., SIERADZIŃSKI por., SKINDER kpt. dypl., SOBIESZCZAK pułk., ZABOROWSKI por., WALERJAN por., JAWORSKI por.

Władze Towarzystwa ukonstytuowały się następująco:

RADA NADZORCZA:

Dowódca Korpusu TESSARO gen. bryg. Prezes Rady Nadzorczej, MICHAŁOWSKI ppłk., KIRSZENSTEIN ppłk. dypl., KRZYŻANOWSKI mjr. dypl.

ZASTĘPCY:

BOGUSZ mjr., POBOROWSKI kpt.

ZARZĄD:

BADOWSKI ppłk. Prezes Zarządu, FALTUS mjr. Vice-Prezes, BĄKOWSKI rtm. Kierownik stajni wyścigowej, WALERJAN por. Sekretarz, OLSZEWSKI por. Skarbnik.

ZASTĘPCY:

ROZWADOWSKI kpt. dypl., BRÓDZIŃSKI por.

T R E Ś Ć

	Str		Str.
1. Rozkaz b. Dowódcy—gen. bryg. Stanisław Tessaro	3	10. Troki — A. S.	47
2. Nasze zadania — T. M.	5	11. Straż granic Królestwa Polskiego podczas wojny 1830—31 r.—ppłk. Bronisław Pawłowski	52
3. Rok pracy — j. k.	9	12. Co to jest kolektywizacja? — por. Stanisław Olechnowicz	54
4. Sport konny — ppłk. Tytus Badowski	19	13. Pierwszy znak graniczny—Zdzisław Kowalewski	57
5. Prace użytkowe saperów w K. O. P.—mjr. Eu- genjusz Oskierko	22	14. Papieros—Stanisław Falkiewicz	60
6. Jak 1-sza dywizja litewsko-białoruska utrwalała obecne granice Polski—mjr. Jerzy Dąbrowski	24	15. Przeorany zagon — Jerzy Szyszko-Bohusz.	64
7. Zawitał dzień (wiersz) — kpt. Zenon Lipiński	27	16. Tytoń Gawryły — Jerzy K. Maciejewski	70
8. Nasi przodkowie — Starosta czerkasko-kaniow- ski Eustachy Daszkiewicz — Starosta trem- bowelsko-barski Bernard Pretficz — gen. bryg. Józef Olszyna-Wilczyński	28	17. Ogniowa próba — Konrad Jotemski	75
9. Historyczna przeszłość Wołynia — gen. bryg. Józef Olszyna-Wilczyński	34	18. Hej tam nad granicą (wiersz) Adam Kowalski	79
		19. Humor	80
		20. Lista odznaczonych.	82
		21. Lista zmarłych	82
		22. Statut Towarzystwa zachęty do hodowli koni	86

WYDAWNICTWO ŻOŁNIERZY KORPUSU OCHRONY POGRANICZA

KOMITET REDAKCYJNY:

KPT. STANISŁAW FALKIEWICZ, KPT. ZENON LIPIŃSKI

REDAKTOR: KPT. FRANCISZEK JAMKA-KOPERSKI

KLISZE I DRUK ORAZ OKŁADKĘ DWUBARWNĄ ROTOGRAWIURĄ WYKONANO
W ZAKŁ. GRAF. E. I D-1a K. KOZIAŃSKICH W WARSZAWIE, KRAK. PRZEDM. 66.